



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

4(58) 2021

Rok XV

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



Franciszek Józef I - fot. Paweł Litwiński



Hotel Sacher



Schloss Schönbrunn



Schloss Belvedere



Stare i nowe



Schloss Schönbrunn



Kohlmarkt



Cukiernia Demel



Hofburg, Brama Szwajcarska

Nie ma drugiego takiego miasta, jak Wiedeń - jest wiele podobnych, bo tak, jak dworce kolejowe w dawnych Austro-Węgrzech były identyczne od Galicji po Dalmację, tak i na Wiedniu wzorowano się powszechnie w całej monarchii habsburskiej. Ale czar i urok Wiednia jest jeden, niezmienny i autentyczny - i ten czar przyciąga do dzisiaj. Przyciągają wspaniałe pałace, takie jak położony w centrum Hofburg i nieco dalej od centrum Schloss Belvedere oraz Schloss Schönbrunn. Przyciąga Stephansdom, czyli katedra św. Szczepana (nie Stefana). Przyciągają wspaniałe budynki usytuowane wzdłuż Ringstrasse, czyli ulicy biegnącej w miejscu dawnych murów obronnych Wiednia, od której nazwę wzięły wszystkie obwodnice w tej części świata („ring”) i która stała się pierwowzorem dla m.in. krakowskich Plant: Opera, Hotel Sacher. Właśnie - Sacher: Wiedeń słynie z różnorakich słodkości, wśród których najbardziej znany jest chyba słynny tort Sachera, czyli tort czekoladowy przełożony konfiturą morelową i obłany polewą czekoladową. Wśród wiedeńskich cukierni najbardziej znana jest z kolei cukiernia Demel, której zabytkowe wnętrza można zwiedzać, obserwując cukierników przy pracy.

Jeszcze całkiem niedawno i zakładając brak granic, z Krakowa do Wiednia można było dojechać koleją szybciej, niż do Warszawy; dzisiaj dojedziemy tam autostradą w kilka godzin. Pojedźmy więc na tort Sachera i przepyszny Wiener Melange, czyli kawę po wiedeńsku.

dr Paweł Litwiński

Burmistrz Krasnegostawu

oraz

zespół redakcyjny czasopisma „Nestor”

składają wyrazy głębokiego współczucia

Pani Marii Ewie Stołeckiej

z powodu śmierci Męża

dr. Kazimierza Józefa Stołeckiego

(19.03.1948-29.09.2021)

Orędownika

i Honorowego Obywatela Miasta Krasnystaw

oraz wieloletniego redaktora i dobrodzieja

Czasopisma artystycznego „Nestor”



Trudno powiedzieć czy łatwiej rozwiązać cudze języki, czy własny. Jedno jednak nie ulega wątpliwości - każdy pragnie być słuchany i „Nestor” niepostrzeżenie przyniósł taką możliwość, stając się swoistym areopagiem, który - ku powszechnej satysfakcji - z numeru na numer przyciąga coraz więcej oratorów.

Obecny numer przedstawia twórczość poetycką Iwony Chudoby, Bartłomieja Chudoby (debiut), Ireny Iwańczyk, Elżbiety Rogalskiej, Wojciecha Bielunia, Lucjana Cimka, Jarosława Kapłona, Henryka Kozaka i ks. Edwarda Wolskiego. Kwerendy historyczne kontynuują: Janusz Wanot, Lucjan Cimek, Kazimierz Stołecki i Waldemar Seroła, który od lat broni honoru fałszywie, a może nieświadomie oskarżanych żołnierzy wyklętych. Ciągłe inspirujące, każde w swoim rodzaju wspomnienia i opowieści snują: Jacenty Jarocki, Marian Rybczyński, Leszek Janeczek oraz debiutująca Marta Kafarska. Lekturę ubarwia ciekawa twórczość dziecięca - legendy ziemi krasnostawskiej. Nie mogą ująć uwadze ostatnie strony, na których zazwyczaj publikuje swoje rozważania i felietony Wiesław Krajewski. Niektóre zaskakują, inne prowokują do dyskusji, ale wszystkie imponują niecodzienną tematyką i taktem.

Andrzej David Misiura

Redakcja Czasopisma artystycznego „Nestor” ogłasza

**Rok Marszałka Mikołaja Sienickiego
w 500-lecie urodzin
Demostenesa herbu Bończa**



Mikołaj Sienicki, mal. Stanisław Miszczuk.

Spis treści		Spis treści	
Wiedeń	1	Poezja - Wojciech Bieleń-Targosz	49
<i>Paweł Litwiński</i>		Petarda w helmie	50
Słowo redaktora	1	<i>Marian Rybczyński</i>	
<i>Andrzej David Misiura</i>		Poezja - Iwona Chudoba	65
Marszałek wszech czasów sejmu Rzeczypospolitej rodem z Siennicy Różanej	3	Moje wspomnienia	66
<i>Andrzej David Misiura</i>		<i>Marta Kafarska</i>	
Ostatni list żołnierza Tadeusza Sidora	4	Podróż przez życie	80
<i>Janusz Wanot</i>		<i>Irena Iwańczyk</i>	
Poezja - Jarosław Kapłon	9	Poezja - Irena Iwańczyk	81
Wrześniową drogą - wspomnienia wojenne ks. płk. prałata mgr. Franciszka Ringwelskiego	11	Wpływ Ewangelii na lirykę ks. Edwarda Wolskiego	83
<i>Lucjan Cimek</i>		<i>Irena Kulik</i>	
Poezja - Lucjan Cimek	14	Z zakazem powrotu	87
Powiat krasnostawskiina łamach „Głosu Lubelskiego”, organu prasowego lubelskiej Narodowej Demokracji w latach 1924-1925	15	<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
<i>Kazimierz Stolecki</i>		Poezja - Henryk J. Kozak	88
Poezja - Elżbieta Rogalska	36	Najazd na Izbicę - dwie prawdy	89
Prace z XVIII powiatowego konkursu „Legendy ziemi krasnostawskiej” organizowanego przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie	37	<i>Waldemar Seroka</i>	
Poezja - Bartłomiej Chudoba	46	Poezja - Andrzej David Misiura	91
Opowiadania o zwierzętach	47	Opowieści niezmyślone	92
<i>Jacenty Jarocki</i>		<i>Leszek Janeczek</i>	
		Errare humanum est. Część 2	101
		<i>Wiesław Krajewski</i>	
		Zmarł redaktor dr Kazimierz Stolecki	106
		Książki nadesłane	107

Do grona darczyńców, którzy przyczyniają się do utrzymania ciągłości wydawniczej „Nestora” dołączyli: Katarzyna Maria Sawicka, Barbara Rusinek-Zdun oraz osoba anonimowa (200 zł.). Łącznie wpłynęło 350 zł. Serdecznie dziękujemy.

Darowizny na opłacenie usług drukarskich prosimy kierować na subkonto przy Powiatowej Bibliotece Publicznej: Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie 25 8200 0008 2001 0012 4067 0004. W tytule przekazu należy wpisać: Nestor. W imieniu czytelników, dziękujemy za każdą wpłatę - Zespół redakcyjny.



NR 4 (58) 2021 - ROK XV NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnostaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Oficyna Wydawnicza ELIPSA - Andrzej Misiura

Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie

Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnostaw

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura

Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com

Montaż elektroniczny: Paweł Pilat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnostaw

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Pilat (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnostaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnostaw)
Lucjan Cimek (Krasnostaw)
Leszek Janeczek (Krasnostaw)
Ewa Magdziarz (Krasnostaw)
Monika Nagowska (Krasnostaw)
Henryk Radej (Chelm)
Kazimierz Stolecki (Puławy)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szukla-Zygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Nestor redagowany jest pro publico bono.
Autorzy również nie otrzymują honorariów.

Andrzej David Misiura

Marszałek wszech czasów sejmu Rzeczypospolitej rodem z Siennicy Różanej



Kraków szczyti się lajkonikiem i hejnałem mariackim, Warszawa - syrenką, Warsem i Sawą, Toruń - Kopernikiem i piernikami, Gdańsk - fontanną Neptuna i żurawiem. Ostatnio szereg polskich miejscowości uporczywie poszukuje własnych wyróżników. A czyją ikoną zostanie marszałek Mikołaj Sienicki? Czy gmina Siennica Różana, gdzie urodził się i mieszkał, czy Bończa w gminie Kraśniczyn, gdzie wybudował kościół i dokonał żywota? Mocą talentu i dokonań Mikołaj Sienicki mógłby obdarzyć znacznie szersze kręgi, w tym ziemię krasnostawską i chełmską.

W 500-lecie urodzin wybitnego męża stanu, wielokrotnego marszałka Rzeczypospolitej, 7 września 2021 r. w Centrum Kultury w Siennicy Różanej odbyło się pierwsze spotkanie, które zapoczątkowało cykl wydarzeń poświęconych temu wybitnemu politykowi. Zaledwie kilka dni później, 12 września, w kościele parafialnym pw. św. Stanisława w Bończy, Tomasz Sienicki ponownie przywoływał imię swojego wielkiego krewnego Mikołaja. Wymienione miejsca dzieli zaledwie kilkanaście kilometrów, a wyznaczają drogę życiową naszego bohatera od urodzin do śmierci.

Siennickie spotkanie miało charakter wakacyjnego wykładu Uniwersytetu Trzeciego Wieku, jednak na zaproszenie dyrektora Centrum Kultury w Siennicy Różanej, zgromadziło również władze gminy, dyrektorów szkół, nauczycieli, uczniów oraz sympatyków kultury i historii. Jako goście specjalni powitani zostali: Tomasz Sienicki (prowadzący wykład), Dariusz Sienicki (rzecznik prasowy Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej), ks. kan. Janusz Ryń (proboszcz parafii św. Stanisława w Bończy).

Tomasz Sienicki podczas obu spotkań przekazał na ręce wójta Leszka Proskury i proboszcza Janusza Rynia okolicznościowe tablice z symbolami Mikołaja Sienickiego oraz wręczył pamiątkowe medale (1981) autorstwa Anny Jarnuszkiewicz admira-torom jubilatą i współorganizatorom cyklu spotkań.



Mikołaj Sienicki był wybitnym, zasłużonym dla Polski politykiem XVI wieku. Poślem został już w wieku 29 lat. Wystąpił wówczas z odważną mową upominającą senat i dzięki niej zyskał uznanie i przydomek polskiego Demostenesa. Zaledwie trzy lata później powierzono mu funkcję marszałka sejmu i od tamtej pory, według niektórych źródeł, pełnił ten urząd jedenastokrotnie. Jako sędzia i działacz ruchu egzekucyjnego, domagał się przestrzegania uchwalanych przepisów prawa. Był zwolennikiem wolności religijnej, której gwarancję zawarto po raz pierwszy w Europie w akcie konfederacji warszawskiej. Sienicki podpisał również akt unii lubelskiej jako przedstawiciel Korony Królestwa Polskiego i zwolennik połączenia Polski i Litwy. Po śmierci króla Zygmunta Augusta przyczynił się do powstania artykułów henrykowskich oraz inicjował utworzenie Trybunału Koronnego.

Mikołaj Sienicki piastował jedynie urząd podkomorzego chełmskiego. Mieszkał w Siennicy Różanej. Słynął z praworządności i nie zabiegał o wyższe urzędy oraz dobra materialne, więc nie dorobił się majątku w przeciwieństwie do ówczesnej szlachty.

Pomimo niebagatelnej roli, jaką odegrał w szesnastowiecznej Polsce, udziału w najważniejszych wydarzeniach ojczyzny oraz genialnego umysłu, Mikołaj Sienicki popadł w niepamięć. Trudno powiedzieć dlaczego tak znamienita osobowość zeszła na dalszy plan historii.

W bieżącym roku nadarza się niepowtarzalna okazja, aby wskrzesić pamięć o tym wyjątkowym polityku, albowiem mija 500 lat od daty urodzenia naszego bohatera. Warto więc podjąć próbę zbudowania regionalnej marki o nazwie MIKOŁAJ SIENICKI. Liczymy na to, że Czytelnicy wezmą w tym udział. Zapraszamy do dyskusji. Może pojawią się nowe inicjatywy i pomysły. Redakcja „Nestora”, „Ziarna” i Centrum Kultury w Siennicy Różanej planują dalsze działania. Mamy nadzieję, że tematem zainteresują się lokalne władze i społecznicy.

Andrzej David Misiura

Janusz Wanot

Ostatni list żołnierza Tadeusza Sidora



Wiosną 1945 roku Rosjanie, oczywiście jeszcze przed wojskami amerykańskimi, chcieli jak najszybciej zdobyć Berlin i możliwie jak największy obszar Niemiec. W końcu marca Stalin ściągnął z frontu marszałków Koniewa i Żukowa i dał im jedynie 48 godzin na opracowanie planu całej kampanii w celu zdobycia Berlina. Pierwszego kwietnia w Moskwie pod kierownictwem Stalina odbyła się narada dowódców wojsk radzieckich poświęcona planom kampanii berlińskiej. Atak z linii Odrę i Nysy Łużyckiej miał być przeprowadzony siłami 1 i 2 Frontu Białoruskiego oraz 1 Frontu Ukraińskiego. W operacji tej zaplanowany został także udział 1 i 2 Armii Wojska Polskiego. Plan tej wielkiej i trudnej operacji przygotowany został w niezwykłym pośpiechu, tak jak i konieczne do tego celu przegrupowanie wojsk. Przed wyznaczonym terminem rozpoczęcia ofensywy nawet nie wszystkie oddziały wsparcia zdołały osiągnąć planowane pozycje bojowe.



Plan operacji berlińskiej w kwietniu 1945 roku [1].

Zgodnie z planem przygotowanym przez Żukowa 1 Armia Wojska Polskiego miała sforsować Odrę na 20-kilometrowym odcinku między miasteczkiem Cedynia/Zehden i wsią Gozdowice

ce/Güstebiese. W okolicach Gozdowice Odra tworzy bardzo szerokie rozlewisko, którego wielkość potęgowały panujące w kwietniu wiosenne roztopy. Z tego powodu na wniosek dowódcy 1 Armii Wojska Polskiego jej linia działania została przesunięta nieco na południe poniżej Gozdowice, tak aby wojsko mogło na swoim lewym skrzydle wykorzystać częściowo do ataku także przyczółek na lewym brzegu Odry opanowany wcześniej przez wojska radzieckie. Niemniej nawet w tej sytuacji konieczność forsowania Odry w tym rejonie budziła poważne obawy wśród żołnierzy i dowództwa 1 Armii WP. Zgodnie z planem, forsowanie miało się rozpocząć 16 kwietnia o świcie.



Odra w pobliżu Starych Łysogórek, Gozdowice i Starego Bleszyna (mapa dzisiejsza - Google Maps).

Po krwawej bitwie o Kołobrzeg/Kolberg stoczonej 18 marca, w której 1 Armia WP straciła aż 1206 żołnierzy, jej oddziały w szybkim tempie przegrupowane zostały w rejon wsi Stare Łysogórki/Alt Lietzegörke w pobliżu Odry. 13 kwietnia armia ta zgromadziła tam 78 556 polskich żołnierzy razem ze sprzętem: 1147 dział i moździerzy, 99 dział i 70 karabinów przeciwlotniczych, 90 czołgów i dział pancernych, 208 samolotów i 2298 samochodów.

Wśród żołnierzy 1 Armii Wojska Polskiego znalazł się tam nad Odrą także młody mieszkaniec Krasnegostawu, cioteczny kuzyn mojej mamy Tadeusz Sidor (1922-1945). Jego rodzice Jan Sidor (1897-1970) i Rozalia z d. Rusin (1899-1978) wzięli ślub 18 lipca 1916 roku w Częstoborowicach, później mieszkali aż do śmierci w Krasnymstawie na Zawieprzu (obecnie ulica Pszczela). Sidorowie mieli troje dzieci: Franciszkę Stawską, Tadeusza

oraz Henryka, który zmarł w 1936 roku, mając za ledwie 9 lat. Tadeusz Sidor sam zgłosił się do polskiego wojska jako ochotnik, gdyż jako pracownik kolei (jeszcze nawet za czasów niemieckiej okupacji) był także bardzo potrzebny w swojej pracy i nie podlegał obowiązkowemu poborowi do wojska. Chciał jednak koniecznie walczyć z okupantem.



Niemiecka legitymacja pracownika kolei Tadeusza Sidora i chyba jedyne jego zdjęcie, jakie się zachowało.

Szeregowiec Tadeusz Sidor był żołnierzem 3 Batalionu Chemicznego, który wyposażony był dodatkowo w miotacze ognia oraz dysponował środkami technicznymi umożliwiającymi stawianie zasłon dymnych. 14 kwietnia znalazł się już bezpośrednio na linii frontu na prawym brzegu Odry, gdzieś pomiędzy Gozdowicami i Starym Bleszynem/Alt Blessin leżącym około kilometra na południe od Gozdowic.



Gozdowice/Güstebiese nad Odrą - widok przed 1939 r. ([//neumark.pl/main.php?miasto=gozdowice&lang=de](http://neumark.pl/main.php?miasto=gozdowice&lang=de)).

Wiedząc, że w ciągu najbliższych godzin rozpocznie się atak z niezwykle trudnym forsowaniem Odry, napisał wzruszający list do swoich rodziców w Krasnymstawie, w którym przeczuwał, że będzie to jego ostatni kontakt z nimi. List ten przechowywany jest do dziś przez jego najbliższą rodzinę mieszkającą nadal w Krasnymstawie.

Ostatni list szeregowca Tadeusza Sidora z 14 kwietnia 1945 roku (pisownia oryginalna):

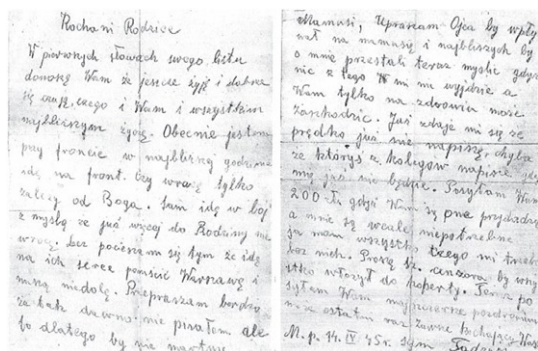
Kochani Rodzice

W pierwszych słowach swojego listu donoszę Wam że jeszcze żyję i dobrze się czuję, czego i Wam i wszystkim najbliższym życzę. Obecnie jestem przy froncie w najbliższej godzinie idę na front. Czy wrócę tylko zależy od Boga. Sam idę w bój z myślą że już waleczę do Rodziny nie wrócę. Lecz pocieszam się tym że idę na ich serce pomścić Warszawę i naszą niedolę. Przepraszam bardzo że tak dawno nie pisałem ale to dlatego by nie martwić Mamusi. Upraszam Ojca by wpływał na mamusię i najbliższych by o mnie przestali teraz myśleć gdyż nic z tego mi nie wyjdzie a Wam tylko na zdrowiu może zaszkodzić. Już zdaje mi się że prędko już nie napiszę, chyba że któryś z kolegów napisze gdy mi już nie będzie. Posyłam Wam 200 zł gdyż Wam się one przydadzą a mnie są wcale niepotrzebne ja mam wszystko czego mi trzeba bez nich. Proszę Sz. cenzora by wszystko włożył do koperty. Teraz posyłam Wam najszczerze pozdrowienia może ostatni raz.

Zawsze kochający Was

syn Tadeusz

M.p. 14 IV 45 r.



List Tadeusza Sidora z 14.04.1945 r.

14 kwietnia, zgodnie z rozkazem sztabu 1 Frontu Białoruskiego, wybrane oddziały 1 Armii WP przeprowadziły rozpoznanie walką sił niemieckich. Początkowo walki z próbą forsowania Odry prowadzono w małych 2-5-osobowych grupach, a w późniejszym etapie w nieco większych 15-osobowych. Trochę zaskoczone wojska Wehrmachtu odpowiedziały zmasowanym ogniem. W trakcie tych walk, 15 kwietnia w okolicach osady Stary Błeszyn na prawym brzegu Odry Tadeusz Sidor zginął. Miał jedynie 22 lata. Zasadnicze natarcie wojsk na całej linii frontu rozpoczęło się dopiero 16 kwietnia rano o godzinie 5.45 i zakończyło się sforsowaniem Odry i po niewielu dniach zdobyciem Berlina.



Forsowania Odry przez 1 Armię WP 16.04.1945 r. [1].

Tadeusz Sidor, niestety nie doczekał końca wojny, który był już tak blisko. Pochowany został pierwotnie w zbiorowej mogile w pobliżu wioski Gozdowice, a następnie jego zwłoki przeniesione zostały na pobliski cmentarz wojskowy w Siekierkach/Zäckerick, gdzie na jednym z bardzo wielu krzyży do dzisiaj widnieje jego nazwisko.

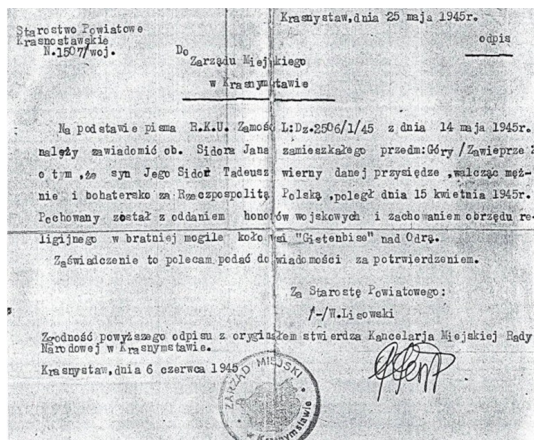
Rodzina Sidorów cieszyła się zapewne z zakończonej wojny, od syna jednak nie mieli więcej żadnej wiadomości. Martwiąc się, podejrzewali zapewne, że jego list z frontu, który otrzymali, to było rzeczywiście jego ostatnie pożegnanie. Rodzice o śmierci syna powiadomieni zostali dopiero w końcu maja przez Zarząd Miejski w Krasnymstawie.



Fragment cmentarza wojskowego w Siekierkach nad Odrą [3].



Krzyż na zbiorowej mogile szeregowca Tadeusza Sidora na cmentarzu wojskowym w Siekierkach [6].



Zawiadomienie o śmierci Tadeusza Sidora.

Rodzice Tadeusza prawie natychmiast rozpoczęli starania o ekshumację jego zwłok i przeniesienie ich na cmentarz w Krasnymstawie. Dokładna data nie przetrwała w pamięci rodziny, ale w sierpniu lub we wrześniu 1945 roku trumna ze zwłokami poległego szeregowca Tadeusza Sidora, przy udziale jego frontowych kolegów, została ostatecznie pochowana w kwaterze wojskowej na cmentarzu w Krasnymstawie.



Pogrzeb Tadeusza Sidora w Krasnymstawie. Bezpośrednio za trumną idą jego rodzice.



Kolekty z jednostki składają do grobu trumnę szeregowca Tadeusza Sidora na kwaterze wojskowej w Krasnymstawie.



Krzyż na grobie Tadeusza Sidora w kwaterze wojskowej cmentarza w Krasnymstawie (fot. W. Sokółowska - 08.2021).

2 maja o godz. 6 rano skapitulował Berlin. 7 maja w kwaterze Eisenhowera w Reims generał Alfred Jodl podpisał akt bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. Na życzenie Stalina ceremonia kapitulacji III Rzeszy została powtórzona w Berlinie tuż przed północą 8 maja 1945 roku. II wojna światowa w Europie została więc w tym momencie formalnie zakończona. Jednak jeszcze przez pewien czas trwały gdzieś pojedyncze strzelaniny z małymi grupami wojsk niemieckich - szczególnie oddziałów SS - lub nawet z pojedynczymi żołnierzami, którzy nie chcieli dobrowolnie złożyć broni.

Właśnie wtedy zdarzyła się ostatnia tragedia wojenna w mojej rodzinie. 11 maja 1945 roku w niemieckim mieście Biesenthal na północnych obrzeżach Berlina zginął szeregowy Julian Kucharski (urodzony w 1923 roku w Puławach) syn z pierwszego małżeństwa wujka mojej mamy Michała Kucharskiego (1889-1979). Jego drugą żoną była krasnostawianka Czesława Kucharska z domu Kicińska (1913-2002), siostra mojej babci Marianny Rusinek (1907-1988) - także z domu Kicińskiej. Julian Kucharski był żołnierzem 1 Pułku Piechoty 1 Armii WP i przeszedł w tej jednostce dużą część wyzwania kraju. Brał również udział w forsowaniu Odry na tym samym odcinku frontu co Tadeusz Sidor, oraz bezpośrednio w walkach w samym centrum Berlina. Bardzo krótko cieszył się zakończeniem wojny. Kiedy poległ w małym mieście pod Berlinem miał jedynie 21 lat.



Fragment tablicy z napisem „szer. Kucharski Julian ur. 1923 1pp” na zbiorowej mogile cmentarza wojskowego w Siekierkach [7].

Został pochowany początkowo również na cmentarzu wojskowym w Siekierkach, lecz później, zgodnie z życzeniem rodziny jego zwłoki zostały przeniesione do rodzinnego miasta. Jest pochowany w kwaterze rodziny Kucharskich na starym cmentarzu w Puławach przy ulicy Piaskowej. Na jego grobie, w którym później pochowany został także jego starszy brat, widnieje tablica z imieniem używanym przez rodzinę: Lucjan Kucharski.



Tablica na grobie Juliana (Lucjana) Kucharskiego na cmentarzu w Puławach.

Nie tylko koniec II wojny światowej, ale także jej początek był tragiczny dla mojej krasnostawskiej rodziny. Kuzyn mamy ze strony dziadka Jana Rusinka (1905-1984), Edward Żuber urodzony w Krasnymstawie 20 lipca 1921 roku był ofiarą pierwszego dnia walk w Krasnymstawie. Kiedy zaczęła się wojna był uczniem liceum. 18-19 września oddziały Wojska Polskiego walczyły pod Krasnymstawem z nacierającą 4 dywizją piechoty Wehrmachtu. Już w pierwszym dniu tych walk, na przedmieściach miasta zginął młody Edward Żuber. Stało się to obok jego domu rodzinnego. Jego ojciec był dobrym i znanym stolarzem, który na przedmieściu Góry miał dom i warsztat leżący przy ulicy Kolejowej 43 biegnącej w stronę dworca kolejowego w Krasnymstawie i krzyżującej się w tym miejscu z ulicą Lwowską. Tam też znajdowała się piwnica pełniąca w tym czasie również funkcję schronu.

Tak opisuje to tragiczne zdarzenie Leszek Janeczek w swojej książce „Gimnazjum i Liceum im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie w czasie II wojny światowej”: *Jedną z pierwszych, jeśli nie pierwszą, ofiarą wojny w Krasnymstawie, jest 18-letni uczeń szkoły Edward Żuber, zabity raniem 18 IX 1939 roku, w czasie zajmowania miasta przez Wehrmacht. Ginie od wybuchu niemieckiego granatu, w przydomowym schronie, razem z młodszym kolegą Tadeuszem Boniaszczukiem.*

Edward został pochowany na cmentarzu w Krasnymstawie i leży w jednej mogile razem ze swoimi rodzicami: ojcem Józefem Żuberem (1883-1964) i matką Rozalią z Kopijków (1885-1968).

To historia, która powoli zaciera się w przemijającej pamięci. Za pomoc w jej utrwaleniu dziękuję: mojej ciotce Barbarze Rusinek-Zdun, mojej dalekiej kuzynce Jadwidze Antoniak (z d. Stawska), mojej siostrze Beacie Adamczyk, mojemu koledze Saturninowi Naliwajce oraz Pani Wioli Sołowskiej.

dr Janusz Wanot

Bibliografia:

1. *Historia zapomniana i mniej znana – Forsowanie Odry i Nysy 1945*; //historiamniejznanaizapomniana.wordpress.com/2015/04/16/forsowanie-odry-i-nysy-1945/.
2. *Forsowanie Odry*; //www.dws-xip.pl/LWP/lwp38.html.
3. A. Kraśnicki, *Na drzwiach przez czerwoną od krwi Odrę. Jak polscy żołnierze 72 lata temu sforsowali rzekę*. //szczecin.wyborcza.pl/szczecin/7,150424,21717374,na-drzwiach-przez-czerwona-od-krwi-odre-jak-polscy-zolnierze.html?disableRedirects=true.
4. Z. Jaśtak, *Szlakiem wojsk chemicznych 1943-1945*; Wydawnictwo MON, Warszawa 1966, (informacja na s. 210).
5. L. Janeczek, *Gimnazjum i Liceum im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie w czasie II wojny światowej*, Polianna, Krasnystaw 2007.
6. T. Sidor, *gestorben 1945*, BillionGraves-Datensatz; //billiongraves.de/grave/T-Sidor/16782052.
7. *Julian Kucharski, geboren 1923*, BillionGraves-Datensatz; //billiongraves.de/grave/Julian-Kucharski/22097453.
8. Informacje o Tadeuszu Sidorze i Julianie Kucharskim w Bazie danych osób poległych w II wojnie światowej Instytutu Pamięi Narodowej; //www.straty.pl/pl/szukaj.

Jarosław Kapłon**w istocie**

byliśmy dziećmi prł-u żadnych różnic
cokolwiek się przydarzy jest wspólne
jak teraz kiedy patrzymy w obiektyw okna
Gierka już nie ma i nie ma komu
rozdawać cukierków więc nie mogę
być pewny tego co widziałem i co słyszałem
świat ślepo trzymał się trzepaka
to miejsce nawet teraz przywołuje na myśl
odrobinę ciepłych wspomnień
a od pewnego czasu każdy zaczął być sobą
więc i ja zajmuję czymś ręce celowo by pozostać w ruchu
dzieciństwo na podwórku mobilizuje
i to już nie jest kwestia chodzenia po drzewach
czy chowania po piwnicach bycie dorosłym
to frapujące zajęcie ale tylko wtedy
kiedy ma się w sobie coś z dziecka

burza

wiatr na głębokim wydechu
próbuje poskromić drzewa
właściwie znam je od dziecka
jak ten kawałek podwórka
prześwieclany przez burze

intensywny deszcz pozwala odetchnąć
zatapia dryfujące myśli
tajemnicze wyspy z dzieciństwa
zapach ziemi unosi się niczym smak
piętnastoletniej whisky



rys. Urszula Gierszon

poniedziałek

na parapecie nie ma nikogo
bo kto mógłby przysiąc jedynie gołąb
lecz parter nie jest bezpieczny
a widok stąd zwykły codzienny

peregrynacja

to nie początek ani koniec to przystań
na ułamek sekundy może na dłuższy moment
kiedy przychodzę bez zaproszenia czuję się obco
miasto szarzej ktoś zamyka okno
a ja obecnie jestem pomiędzy jedną a drugą
smutną piosenką

to nic - mówi matka i całuje w czoło więc co
zatrzymuje myśli może udręka bądź pamięć
w której nie poruszam się dalej lecz stoję
marząc o czarnym pistolecie na korki
gumie donaldówce i domku na drzewie

obecność

wspominam matkę jak porusza nogą w rytm muzyki
nim przetnie sobie nożem palec
a potem od razu myślę o dłoniach muzyków
szarpiących za struny swojego instrumentu
żeby wydobyć dźwięk

choć czy ich ręce kroili kiedyś chleb na takty
czy obierały ziemniaki przy solówce trąbki
podczas robienia obiadu albo zmywania naczyń

w myślach słyszę jej głos który czasami oddala się
ale wiem że jutro powróci jego każdy ton
niczym „wspomnienie” Niemena nadawane codziennie w radiu
jakby ta scena nie gasła a smak potraw
kształtował zmysł do komponowania
własnych smaczków muzycznych

w czasach konsumpcji

głaszczę kotkę opowiadam jej o życiu
tak zamierzchłym że aż banalnym
o bez troskich rozrywkach w rozległych piaskownicach
o wacie cukrowej i zabawie w chowanego
później do głowy przychodzą tylko przekleństwa
świat fałszywie jawi się w telewizji

reemigracja

kupuję bilet mój głos dźwięczy stęsknionym tembrem
kto powiedział Polacy wracajcie do domu
kto za tym stoi zastanawiam się w jakiej sytuacji cię zastanę
te kilka tysięcy kilometrów autokarem jak wpłynię na mnie
może usiądę przy oknie zasnę a z góry nadleci cherubin
powie że zawiodły sumaryczne rozwiązania
wszystko wróci do punktu wyjścia odbierzesz mnie
z biura rzeczy znalezionych myślami będę już w domu
przypomnę sobie książkę o *psie który jeździł koleją*
czy zawiję z radości

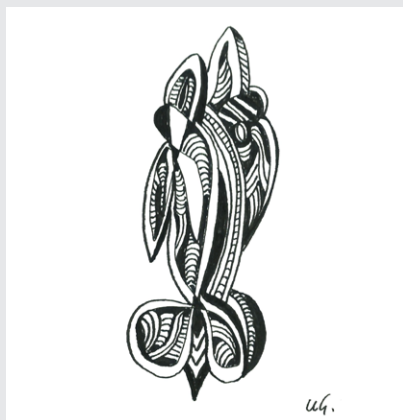
nadbagaż

to tu gdy otworzę oczy obraz lekko śnieży jak telewizor
Unitra z epoki PRL-u granatowy koc w złote gwiazdy
otula łóżko niczym uniwersum
stąpam w kierunku stołu jakbym eksplorował księżyc
potykając się o buty ojca sięgam do książek Lema
w których kosmos jest na wyciągnięcie ręki
jak czarno-biały plakat Maanamu przyklejony plasteliną
do ściany obok zasuszona ćma zasnęła w nocy
nie ujrawszy światła używanych petard całej tej wojennej
atmosfery

spoglądam przez firankę podwórko jak poligon
barykada na Pereca czołgi obok Fadromy
sygnał pociągu na wiadukcie Grabiszyńskiej
pod nim szpaler suk starsza kobieta wymachująca pięścią
wyobraziłem sobie że ten parapet to statek kosmiczny
a drzewo tuż obok ulicy to najbliższa planeta
jedyna możliwa ucieczka przed światem dorosłych

pogubiłem się

krzyknąłem w pustym pokoju głos rozszedł się i wrócił
jak wspomnienie o meblach na raty
najlepsze czasy które jeszcze nie nadeszły
wyszły z mody niczym stół i cztery krzesła
jak numer archiwalny gazety w życiu codziennym
aktualności o stanie miłości do żony rodziny kochanki
a może koleżanki która nic o tym nie wie
ogłoszenie przyklejone do szyby nie parafialne gminne
kazuistyczne finalne jak dym z papierosa
po wszystkim szepnąłem jakbym obawiał się czegoś
pamiętał niecenzuralne słowa wypowiedziane w złości
z miłości lub z bólu wszystkie gesty machnięć
odciski palców na blacie telewizorze lusterku
siedząc na krześle przemilczałem ten dzień
zlekceważyłem głos z samej góry który rozszedł się
i wrócił jak najlepsze czasy które jeszcze nie nadeszły



rys. Urszula Gierszon

koniec

co łączy mnie z odległym kosmosem
myśl o nieżyjącej matce czy ten kawałek nieba
składający się z pięćdziesięciu kilku metrów kwadratowych
prawdopodobnie cud czyli narodziny syna
a może fakt że codziennie odbieram sygnały
lecz brak ostatecznego dowodu
otwarta zostaje kwestia wiary

Lucjan Cimek

Wrześniową drogą - wspomnienia wojenne ks. płk. prałata mgr. Franciszka Ringwelskiego



Dnia 1 września 1939 r. biskup połowy mianował mnie dziekanem 1 Korpusu WP na czas wojny. Dnia 4 września pomocnik dowódcy Korpusu, płk Koc (były komendant garnizonu Chełmno) polecił mi zaopatrzyć się w rozkaz wyjazdu z Warszawy. Tegoż dnia Kuria Polowa WP otrzymała rozkaz częściowej ewakuacji na wschód kraju. Jako p.o. Wikariusza Generalnego pozostał na miejscu ks. mjr Stefan Kowalczyk (warszawiak). Zgłaszali się w tym czasie w Kurii kapelani rezerwy z terenu z rozkazem mobilizacyjnym, prosząc o przydział. Niestety! Nie było już łączności z dowództwem większych jednostek. Kapelani ci na własną rękę szukali w terenie miejsca postoju swojej jednostki. Nocą byłem w stałym kontakcie z oficerem służbowym Dowództwa Korpusu 1. Odpowiedź brzmiała zawsze jednakowo - „na razie nie ma rozkazu dla dziekana”. Gdy rano o godzinie 4.00 zjawiłem się na dziedzińcu dowództwa, oficer ten zakomunikował mi, że sztab wyruszył przed dwiema godzinami. [...]



Ks. płk prałat Franciszek Ringwelski (przed wojną naczelny kapelan junackich hufców pracy). Odzn. Krzyżem Oficerskim OOP i Krzyżem Walecznych. Zmarł w 1980 r. (Zb. Muzeum Kapelanów Wojskowych).

Ruszyłem w nieznanie prawie bez grosza, ponieważ pensję za wrzesień (trzymiesięcznej odpłaty, jaką wypłacano, wyjątkowo nie otrzymałem) i oszczędności zostawiłem staremu ojcu, którego zostawić musiałem pod opieką obcych ludzi - kto wie na jak długo? Po tygodniowej jeź-

dzie na wschód, prawie stale pod bombami, autobus dojechał do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie musiałem się pożegnać z towarzyszami podróży, ponieważ tamci zrezygnowali z dalszej jazdy. Ja ruszyłem dalej w „pogoń” za sztabem, którego nie miałem nigdy dogonić. Z Włodzimierza zabrał mnie do swego samochodu przypadkowo spotkany znajomy oficer, który zdążył służbowo do Lwowa. W nocy artyleria niemiecka ściagała nas pociskami, jeden padł blisko, powodując śmierć kilku żołnierzy z naszego otoczenia. Tu przyszło mi spełnić po raz pierwszy kapelańską czynność. Leżący obok mnie oficer mówi do mnie: „tam są ranni, może potrzebują księdza”. Jęki dochodzą istotnie z odległości kilku kroków. Padają nowe pociski, a moje nogi jakby z łożu. Naturalny to lęk, świadom jednak jestem, że to mój obowiązek, podchodzę więc do grupy rannych. Przy świetle lampki kieszonkowej widzę strasznie pokaleczonych - jeden woła „dobijcie mnie”, drugi „Jezu miłosierdzia”, inny „Boże, jest ksiądz”, gdy mówię, kim jestem. Nowy pocisk pada blisko, ale teraz już panuję nad nerwami, daję absolicję. Zajeżdża karetka z pobliskiego szpitala¹, ale dla dwóch i tak już nie ma ratunku. Ze Lwowa jedziemy nazajutrz na Złoczów. Tu rozstajemy się z życzliwym majorem - on ma inne zadanie. Ja zgłaszam się w dowództwie, które zorganizował naprędce jakiś sztabowiec, zbierając rozbitków, aby sformować z nich oddział bojowy. „Mamy i kapelana - przyda się nam” - zawołał na mój widok. „Pojedzie ksiądz do Krasnego, tam leżą od dwóch dni zabici przy dworcu żołnierze z kompanii kolejowej. Trzeba jednocześnie zbadać stan torów - linii kolejowej ze Złoczowa do węzłowej stacji Krasnego”². Pochować poległych, to bez wątpienia należy do kapelana, ale to drugie zadanie chyba do kogoś innego?

¹ Prawdopodobnie była to karetka z Kamionki Strumiłowej, której stację węzłową artyleria niemiecka bezustannie, w dzień i w nocy ostrzeliwała. (Przyp. L. Cimek).

² Krasne k. Lwowa. Ważna strategicznie stacja rozjazdowa na trasie: Lwów-Brody-Dubno-Równe i Lwów-Złoczów-Tarnopol. Położona w widłach rzeki Bug i jego lewego dopływu - Pełwi, jako węzeł kolejowy stanowiła istotne znaczenie z punktu wojskowego. Łączyła garnizony WP położone na wschód od Lwowa. (Przyp. L. Cimek).



Złoczów (woj. tarnopolskie), II dekada września 1939. Kolumna sanitarna WP na terenie koszar 52. Pułku Strzelców Kresowych. Ks. mjr Franciszek Ringwelski, przy samochodzie, pierwszy z prawej w rogatywce. (Zb. Lucjana Cimka).

Udaję się na dworzec z ekipą, ale oprócz zawiadowcy stacji, nie ma tam nikogo, budynek zniszczony, wszystkie parowozy rozbite. Jedziemy więc samochodem do Krasnego. W czasie grzebania będących już w rozkładzie trupów nowy nalot i jeszcze jeden zabity z tych, którzy przygotowują groby kolegom. Biedak! Nie spodziewał się, że kopiąc grób dla kolegów, i dla siebie gotował miejsce na wieczny spoczynek. Wracamy późnym wieczorem do Złoczowa. Raportuję - udaję się na spoczynek. Po północy budzi mnie sąsiad, mieszkaniec Złoczowa, i ostrzega, bym nie został na lodzie, ponieważ gotują się do wyjazdu. Wybiegłem na główną ulicę i stwierdziłem, że długa kolumna samochodów gotowa do odjazdu. Dowódcy kolumny mówię, by mi wyznaczył miejsce w jednym z tych pojazdów. Nie ma miejsca, mimo że dziesiątki samochodów pustych - taka jest odpowiedź. Powtarza się to, co nieraz stwierdzić musiałem: „na razie ksiądz nie jest potrzebny”... Jakiś major, krakowianin, dowiaduje się o tym i zaraz zaprasza mnie do swojego służbowego samochodu. (W Anglii każdy kapelan miał do dyspozycji samochód służbowy).

Ruszamy na Kołomyję, Śniatyn i tu otrzymuje dowódca „rozbitków” rozkaz przekroczenia granicy rumuńskiej. Był to poniedziałek, 18 września. Droga w kierunku granicy zagęszcza się tłumem coraz bardziej. Mieszkańcy przygranicznych osiedli żegnają uciekinierów z płaczem, podają kawałek chleba, garnek mleka, parę owoców i żegnają - „z Bogiem - wróćcie!”. Wchodzimy na most na rzece granicznej, flaga polska powiewa u wejścia, musnęła lekko moją twarz. Ktoś z maszerujących

mówi szeptem: „Koledzy straciliśmy Ojczyznę - kto wie na jak długo”. Nikt nie odpowiada, w ponurym milczeniu idą setki, tysiące. U wylotu mostu powiewa już flaga rumuńska. Oficerowie rumuńscy kierują ruchem. „Cywile na lewo - wojskowi na prawo”. Ludność granicznego miasteczka wyszła na nasze spotkanie. Wielu z nich płacze, dzieląc z nami smutek z powodu tragedii Ojczyzny. Na szerokim placu, wśród tłumu uciekinierów, spotykam pierwszego konfratę. Jest nim ks. mjr Harkavy z Kurii Polowej. Od niego dowiaduję się, że biskup polowy ranny, a jego kapelan, zacny ks. mjr Drużbacki, zabity od bomby³. Ktoś nam mówi, że w miasteczku jest też kościół katolicki, a proboszczem Polak. Udajemy się obaj na plebanię. Tu mrowie ludzi, przeważnie cywile. Siostra proboszcza kładzie na stołach góry chleba, przeprasza, że podać może tylko suchy chleb, ale za to białą słodzoną kawę. Z jaką wdzięcznością przyjmują ci, którzy niedawno piastowali w kraju wysokie urzędy, te „dary Boże”. Kwatery w plebanii zajęte, każde krzesło i każda część podłogi, na najbliższą noc. Po trzech tygodniach „lipcowej” pogody, pierwszy dzień słońca. Szukamy więc z kolegą kwatery w mieście. Dwie stare Żydówki prowadzące nędzny sklepik ofiarowują nam bezpłatnie nocleg, częstują też herbatą. Żydzi również zainteresowani są naszym losem - rozumieją, że czeka ich gehenna ze strony hitlerowców. Dla wyższych oficerów wyznaczono Calimanesti. Jest to uzdrowisko na sezon letni, dające w tym okresie dużo pomieszczeń, a sezon kuracyjny już minął.

Zebrano nas tu ponad tysiąc, od majora do pułkownika. Są też księża: ppłk Jan Szymała, mjr Konstanty Poglódek, mjr Harkavy obrządku greckokatolickiego i kapelan rezerwy Wenecki z Pomorza. Lekarz i ksiądz znajdują w takich warunkach od pierwszego dnia zajęcie. Organizujemy pracę duszpasterską. Budujemy na obszernej sali ołtarz, kolejno celebруемy i głosimy kazania. Frekwencja jest prawie stuprocentowa. Przychodzą co niedzielę i ci, którzy najwyżej z okazji święta narodowego uczestniczyli we Mszy polowej. Tyle Mszy, ilu księży i każdy wygłasza „swoje”

³ J.E. ksiądz Józef Feliks Gawlina, biskup polowy WP, został ranny odłamkiem niemieckiej bomby w czasie wrześniowego przejazdu przez Łuck. (Przyp. L. Cimek).

kazanie. Padają nieraz twarde słowa, szczególnie ks. mjr Jan Pogłódek smaga, odsłaniając oblicze „polskiej religijności i polskiego katolicyzmu w sferach wojskowych”. Żyliśmy w atmosferze podniecenia, szukano winnych katastrofy kraju, wskazywano imiennie tych, którzy ponosili całą winę. Bezlitosne oskarżenia wywoływały dyskusje i nieporozumienia. Tu okazywało się na jakże słabych podstawach stoi tzw. kultura osobista. Ludzie, którzy w normalnych warunkach życia, syci władzą i poważaniem, czarowali otoczenie swoją kulturą, w tragicznym położeniu zrzucali ze siebie lakier, odsłaniając bezwzględny egoizm. Uwydatniło się to już w czasie ogólnego odwrotu, a szczególnie w warunkach prymitywnego życia obozowego. [...]

Nadszedł i dla mnie dzień ucieczki. Dowiedziałem się dyskretnie, że już od kilku tygodni jestem wzywany do Francji. W drugie święto Wielkanocy ubrany po rumuńsku, w wysokiej baraniej czapie, wszedłem do pociągu pospiesznego na Bukareszt. Był już zmrok i nikt nie zauważył, że to uciekinier. W Bukareszcie udałem się do nuncjatury, aby zobaczyć się z nuncjuszem Cortesim, który znał mnie z czasów warszawskich. Sekretarz nuncjatury w Polsce, prałat Racini, pojechał od razu do Rzymu. Jakie było moje zdziwienie, gdy usłyszałem z ust arcybiskupa Cortesiego: „Czemu tak późno przybywasz? Twój biskup kilka razy za pośrednictwem polskiej ambasady wzywał ciebie do Paryża”. [...]

Na plebanii mieszkali stale ks. bp Radoński i mój szef, ks. bp Józef Feliks Gawlina, który nas (przybyszów) serdecznie przyjął. Zanim otrzymałem ostateczny przydział, skierowano mnie do obozu oficerskiego w Szkocji, w którym przebywali starsi oficerowie, zwani żartobliwie przez młodszych „leśnymi dziadkami”. Byli to ci, którzy ze względu na wiek lub swoją przedwojenną działalność polityczną nie byli „przydatni” do pełnienia służby. Otrzymywali bodaj 3/4 normalnej gaży i poza bridżem, nic nie robili. Byłem rad, gdy wbrew przewidywaniom komendanta obozu, już po kilku dniach otrzymałem fonogramem przydział na szefa duszpasterstwa stacjonującej w Szkocji dywizji. Poprzednik mój, ks. ppłk Franciszek Tomczak, przeszedł do 1. Dywizji Pancерnej, która uzupełniała swoje ostatnie braki i wiosną miała być w pełnym stanie bojowym. Nasza natomiast dywizja była raczej tylko kadłubem. Posiadała pełny skład oficerski, lecz brakło jej bojowego żołnierza -



Londyn 1943. Pożegnanie - ks. kpt. Koźlikowskiego (w środku), kapelana wojska amerykańskiego, Polaka z pochodzenia, który żegna się z ks. majorem Franciszkiem Ringwelskim (z lewej) i ks. kpt. Antonim Sawickim (z prawej), udając się na front. (Zb. Muzeum Wojska Polskiego).

szeregowca. Byłem rozczarowany stanem, duchem i dyscypliną panującą w tej jednostce. Trzy lata rozłąki spędzone w jakże odmiennych warunkach - my we Francji w niedostatku, często głodujący, żyjący stale nadzieją, że dostaniemy się kiedyś do Anglii, aby wejść w szeregi prawdziwej armii, byliśmy między sobą bardziej koleżeńscy i zdyscyplinowani, podczas gdy oni tu, w Anglii, nie znali żadnego niedostatku, brali normalne gaże i byli przez domy brytyjskie rozchwytywani. Polacy we Francji żyli raczej swoim odrębnym życiem, nie mieli kontaktów z rodzinami francuskimi, nieznana była im kwitnąca na terenie Brytanii osławiona „friendship”, która przynosiła nieraz niepożądane skutki tak dla samych Polaków, jak dla etyki rodzin i małżeństw brytyjskich.

Stosunek tamtejszych katolików do nas, duchownych, odznaczał się respektem i szczerą życzliwością i takim pozostał po zakończeniu wojny. [...]

Pięknym przeżyciem na terenie Wielkiej Brytanii była dla nas, wygnańców, Wielkanoc 1945 r. Myśl nasza wędrowała bezustannie po kraju. Także nasze rozmowy z rodakami obracały się koło jednego tematu - Polska. Siedząc wieczorem nad brzegiem morza, określaliśmy sobie według gwiazd położenie naszego kraju. Gdy po zakończeniu wojny pewien urzędnik pocztowy zakomunikował mi okazyjnie, że można wysłać telegram do Polski, podałem to natychmiast w kościele żołnierzy do wiadomości. Nie wszyscy byli z tego zadowoleni, ale wielu skorzystało, a wśród szczęs-



Szkocja 1945. Powrót z 4. Dyw. Piechoty po spowiedzi wielkanocnej żołnierzy - od lewej: ks. kpt. Jan Kaznowski, ks. kpt. Schulz, ks. ppłk dziekan Franciszek Ringwelski, ks. kpt. Tadeusz Grzesik. (Zb. Muzeum Kapelanów Wojskowych w Warszawie, ul. Długa 13/15).

liwych, którzy już po kilku dniach otrzymali tą drogą odpowiedź z Ojczyzny, byłem i ja.

Po krótkim urlopie we Francji, zgłosiłem się wiosną 1946 roku do repatriacji. Wraz ze mną uczynili to samo dwaj moi kapelani z dywizji - kapłani z diecezji chełmińskiej - oraz klerycy z tej diecezji, studiujący w Anglii.

Do jesieni ciągnęła się sprawa, zanim odeszliśmy do obozu repatriacyjnego.

Niezapomniana to chwila, która pozostanie mi do końca życia w pamięci, kiedy pewnego dnia raniutko zawołał ktoś z pokładu naszego statku, którym wracaliśmy do kraju: „Widać polski brzeg!”. Wszyscy wybiegliśmy na pokład. Po siedmiu latach oglądaliśmy znów polską ziemię. [...] Za trzy dni jako jeden z pierwszych pojechałem na dworzec⁴, aby ruszyć pociągiem do swoich, do staruszka ojca, którego modlitwy zostały wynagrodzone „powrotem syna”. [...]

Nieraz pytam się słowami przedwojennej piosenki: „Cóż nam zostało z tych lat?”. Drogie wspomnienia - a w szafie zwykły, szary mundur.

Opracował Lucjan Cimek

⁴ Funkcjonariusze UB i oficerowie MON skrupulatnie prześwietlały każdego przybysza, zaczynając od stwierdzenia, czy nazwisko badanego nie figuruje w ich dokumentach. Dopiero po „wyspowiadaniu się”, gdy nie było żadnych zastrzeżeń, można było jechać dalej. Według nich każdy powracający do kraju, już na wstępie był podejrzany o dywersję lub szpiegostwo. (Przyp. L. Cimek).

Lucjan Cimek



Rodzinna chata

Najmilsza na świecie -
To chata rodzinna,
Bom tu się przecie
Urodził, wychował.

Okienko małe -
Przed oknem róża,
Progi zmurszałe -
Chata nieduża...

Od ludzi ukryta,
Niska, zgarbiona -
Słomą pokryta,
Wapnem bielona.

Najstarsza z chat -
Rodzinna chata,
Stoi od lat -
Z dala od świata...

Przy niej
Dziewanny i malwy -
Zdziczałe, bezlistne,
Samotne - zamary.



Stara chata na przysiółku, mal. Alicja Cimek, 2019. akryl, 40x30.



Stara chata w Krasnymstawie – Przedmieście Góry, fot. Lucjan Cimek, 2021.

Kazimierz Stołecki

Powiat krasnostawski na łamach „Głosu Lubelskiego”, organu prasowego lubelskiej Narodowej Demokracji w latach 1924-1925



1924, nr 3, 03 I. Do Rejestru handlowego Sądu Okręgowego w Lublinie Dział A. Tom V wciągnięto następujące firmy: d. 3 grudnia 1923 r. 363 „Władysław Bociurski”, piekarnia w Krasnymstawie.

1924, nr 23, 23 I. Na rzecz Lubelskiego Komitetu obchodu 150-ej rocznicy ustanowienia Komisji Edukacyjnej i zgonu St. Konarskiego złożono w ostatnim czasie ofiary: p. Ksawery Okulicz Kozaryn z Krasnostawskiego 1 000 000 mkp.

1924, nr 29, 29 I. Nieszczęśliwy wypadek. (p) Dnia 25 b.m. o godz. 15-ej na stacji kolejowej w Izbicy, przy wyładowywania drzewa z wagonu, został przygnieciony kłosem dębowym jeden z robotników Jan Gut lat 24, mieszk. wsi Izbica pow. krasnostawskiego tak nieszczęśliwie, że poniósł śmierć na miejscu. *** Groźny pożar. (p) W nocy z 28 na 29 b.m. około godz. 20 we wsi Bończa, gm. Czajki, pow. krasnostawskiego, z niewiadomej przyczyny wybuchł pożar, którego pastwą padł dom Józefa Grochowskiego. Straty wynoszą przeszło 2 miliony mk. Wypadku z ludźmi nie było.

1924, nr 33, 02 II. Ofiary. Zamiast bytności na balu „Karnawał w Krasnymstawie” na bursę imienia Kościuszki w Krasnymstawie składa marek 10 mln. Iwanicki Czesław.

1924, nr 39, 09 II. Poświęcenie domu szkolnego w Nowej-wsi. W dniu 1 lutego r.b. w Nowej wsi, powiatu Krasnostawskiego, odbyła się uroczystość poświęcenia domu szkolnego. Poświęcenia dokonał miejscowy Proboszcz Ks. Tadeusz Twork. Wspomniany dom szkolny wystawiony został staraniem miejscowej ludności.

1924, nr 49, 19 II. Stan Rynku Pracy z dniem 16 lutego 1924 r. W Państwowym Urzędzie Pośrednictwa Pracy w Lublinie (ulica Kołłątaja 4, telefon 266) zgłoszone są posady oraz poszukują pracy. Robotników leśnych: 500 do Chełma, 80 do Hrubieszowa, 800 do Bielska, 40 do Grajewa, 20 do Krasnegostawu.

1924, nr 66, 07 III. Przygody koniokrada. (p) W nocy z 1 na 2 b.m. na szkodę Stanisława Kazanowskiego mieszkańca gm. Krasnostaw, z zamkniętej stajni, za pomocą oderwania kłódki skradziono parę koni z uprzężą i saniami, wartości około 850 milj. mk. Wdrożone dochodzenie ustaliło, że sprawca ze skradzionymi końmi udał się w stronę Izbicy. W dniu 2 rano z powodu przewrzenia komunikami kolejowej p. prokurator Sądu Okręgowego w Zamościu, jechał końmi policyjnymi z Zamościa do Krasnegostawu; na 5 kilometrze od Izbicy sanie wywróciły się i zatarasowały drogę; w tym czasie sprawca kradzieży koni Kazanowskiego nadjechał z tyłu, obawiając się, by nie najechał na wywrócone sanie, furman począł krzyknąć „stój”, sprawca kradzieży wyskoczył wtedy z sani i uciekł do lasu pozostawiając na szosie konie z saniami.

1924, nr 71, 12 III. Zjazd przedstawicieli Samorządu Szkolnego Wojew. Lubelskiego. Wczoraj o godz. 10 rano w sali Rady Miejskiej rozpoczął swe obrady Zjazd przy udziale licznych delegatów z 19 powiatów Województwa. Członek Komitetu organizacyjnego Zjazdu i Prezes Rady Szkolnej m. Lublina zagał zjazd p. dr Wł. Bryda, przemówieniem (delegatów było około 60). Wspominał, że inicjatywę zwołania zjazdu powzięła Rada Szkolna pow. Krasnostawskiego, po czym zaproponował na przewodniczącego zjazdu Prezesa Rady Szkolnej w Krasnymstawie p. dr Domańskiego, który obejmując przewodnictwo zjazdu zaprosił do stołu prezydialnego: ks. prał. Kureczkę, p. Nowackiego z Węgrowa, p. dyr. Ambroziewicza z Chełma i p. Chruściela z Fajslawic pow. Krasnostawskiego, oraz na sekretarzy pp: Kosmałę i Jakubińskiego.

1924, nr 73, 14 III. Poświęcenie ratusza w Krasnymstawie. Dnia 8 b.m. rozpoczęło się uroczystym nabożeństwem w kościele parafialnym. Po nabożeństwie, zaproszeni goście, przedstawiciele instytucji państwowych, komunalnych, społecznych i członkowie Rady Miejskiej z p. burmistrzem

Migurskim na czele, udali się do przybranego zielenią ratusza. Po dopełnieniu przez ks. prałata Malinowskiego ceremonii poświęcenia. Następnie przemawiali p. burmistrz Migurski i członek Rady p. Wnuk, dając sprawozdanie z przebiegu odbudowy. Przemawiali także pp. starosta Krzyżanowski i Woj. insp. adm. Mańkowski. Ostatni zabrał głos członek Rady Dr Lickindorf, który postawił wniosek, aby Rada Miejska dla uświetnienia uroczystości uchwaliła nabycie 25 akcji Banku Polskiego. Wniosek jednomyślnie został przyjęty. Przy końcu zebrania o godzinie 2-iej w południe na wieży ratusza zagrano hejnał, który ma być grywany codziennie. *Jeden z uczestników.*

1924, nr 75, 16 III. Ś.p. Jan Junczys (1844-1924). Weteran 1863-ciego roku. Dnia 16-go ub.m. zmarł w Lubartowie weteran 63 roku, podporucznik, inżynier budowniczego ś.p. Jan Junczys. Ś.p. Jan Junczys, syn Jana i Kamili z Sokołowskich, urodził się w roku 1844 w Lublinie. ... Po zdaniu egzaminu w Petersburgu, otrzymał prawo praktyki w zakresie budownictwa. Długie lata pracował nad wybudowaniem szeregu fabryk, domów czynszowych, a przede wszystkim teatru miejskiego - jako Inicjator i wykonawca. Pobudował garbarnię B-ci Domańskich, browar i dystylarnię Vetterów, fabrykę maszyn roln. Wolskiego, młyn Krausego, browar Frików i in. W r. 1900 mianowany budowniczym m. Lublina. Budowle miejskie przeprowadził do należytego stanu, ogroził Saski Ogród, wreszcie urządził aleję, biegnącą ku cmentarzowi. Sprzeciwem - fałszywie pomyślanych wodociągów miejskich - naraził się władzom gubernialnym i jako człowiek „niepoprawny”, przeniesiony do Krasnegostawu. Po kilku latach - zwrócił znów na siebie uwagę władz i przetranszlokowano go do Lubartowa.

1924, nr 80, 21 III. Znowu pożar. (p) Dnia 15 b.m, o godz. 19, w domu Walentego Latosza, mieszkańca wsi i gm. Rudnik, pow. krasnostawskiego wybuchł pożar, od którego spłonął dach domu, bielizna i 9 metrów zboża, ogólnej wartości 895 milionów. Przyczyna pożaru na razie nieustalona, tkwi prawdopodobnie w wadliwej konstrukcji komina.

1924, nr 92, 02 IV. Echa powodzi. (p) Donoszą z Krasnegostawu, że w związku z powodzią na terenie pow. Krasnostawskiego most długości

26 metrów pod Wólką Orłowską, na rzece Wolica, z powodu wyrwania przez wodę dwóch przęseł, w dniu 28 ub.m. zawalił się na długości 12 metrów, wskutek czego komunikacja na szosie jest przerwana, a odbywa się obecnie przez Topole i Orłów Drewniany. Wypadku z ludźmi zawalenia się mostu nie było.

1924, nr 94, 04 IV. Powódź. W Lubelskiem Wieprz, w okolicach Krasnegostawu wyrządził znaczne straty.

1924, nr 105, 15 IV. Krasnystaw. W sobotę i niedzielę ubiegłą czyściutki i wygodny hotel p. Ratajskiego zapelniał się miłymi gośćmi z Chełma. Przyjechali amatorzy i amatorki, członkowie oficerskiego kółka dramatycznego w Chełmie, powstałe w gronie oficerów 7 p.p. Leg. - z inicjatywy p. pułk. Micewicza, dowódcy tegoż pułku. W Kółku przyjmują udział oficerowie i ich żony, przygotowują szereg sztuk, wystawiają je w Chełmie, a następnie odwiedzają sąsiednie ośrodki miejskie. Do nas przyjechali z „Chrześniakiem wojennym” i „Nożem mojej żony”. Pierwsza sztuka, była grana przez zespół znakomicie. Sztuki były w rolach obsadzone jak następuje: Marczewską - grała p. Kardasiowa; Marczewskiego - p. Kaczanowski; Lamberta - p. Gella, Lucynę, jego żonę - p. Gellowa; pułkownika Zarębę - p. Kardaś; architekta Budnickiego - p. Winiarski, służącą Zenobję - p. Kaczanowska i Barnabę - p. Łebek. Reżyserowała sztukę p. kpt. Gella bez zarzutu. Na wyróżnienie zasługuje, jako artystka - amatorka: p. Gellowa. Świetne warunki sceniczne, niezwykle miły i dobrze osadzone głos, gra pełna wdzięku. Ruchy swobodne i wymowa bez zarzutu. Sala kasyna wojskowego w Krasnymstawie wypełnioną była po brzegi miejscową inteligencją pomimo wygórowanych cen wejściowych. W antraktach przygrywała orkiestra wojskowa. Należy się uznanie p. pułk. Micewiczowi za jego inicjatywę i jej rezultaty, które podziwialiśmy. M.

1924, nr 118, 30 IV. Do Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Lublinie Dział B Tom II Nr. 462 wciągnięta d. 1 marca 1924 r. firma „Fabryka WYROBÓW DRZEWNYCH w m. Krasnymstawie”. Spółka rozpoczęła czynności od 1 lutego 1924 r. Wspólnikami są: 1) Bank Ludowy w Warszawie Marszałkowska 99, 2) Romuald Strzałkowski i 3) Władysław Rejff, obaj zam. w Krasnymstawie, 4) Stanisław Zardecki ul. Hoża 20, 6) Konstanty De-

midecki Demidowicz, ul. Żórawia 84, 6) Mieczysław Ustaszewski, ul. Stalowa 36, 7) Aleksander Borman, ul. ks. Skorupki 8, 8) Leonard Makowski, ul. Krochmalna 64, i 9) Antoni Baryka ul. Miodowa 28 zamieszkali w Warszawie.

1924, nr 123, 06 V. Sfałszowanie pieczęci rządowych. (w) Przez niewiadomych przestępców sfałszowane zostały okrągłe pieczęcie urzędowe starostwa lubelskiego i starostwa krasnostawskiego. Pieczęci tych użyto do fałszowania paszportów zagranicznych. Pieczęć starostwa krasnostawskiego łatwo jest rozpoznać, bowiem sfałszowana różni się od oryginalnej tem, że ma zamiast gwiazdki kółka, szyję orła wygiętą, nie posiada upierzenia na piersiach i wykonana jest nieartystycznie.

1924, nr 125, 08 V. Poprawa stosunków. Jak się dowiadujemy w Rudce pow. Krasny Stawski w dzień 1 b.m. wybrano na członków Rady gminnej pp. Jerzego Koszarskiego z Siennicy, Roberta hr. Smorczewskiego z Wierchowin i Tomasza Watsona z Borunia. W ten sposób Rada Gminna w Rudce opanowana dotychczas przez „Wyzwolenie” dała przykład innym gminom wspólnej narodowej pracy bez dotychczasowej destrukcyjnej przymieszki wpływów skrajnej lewicy.

1924, nr 135, 18 V. Śmierć wskutek nieumiejętnego obchodzenia się z bronią. (o) W dniu 9 maja r.b. Wiktor Stelmach, lat 13, mieszk. wsi Namule gm. Krasnostaw, przez nieostrożne obchodzenie się z krótkim karabinkiem, który był w posiadaniu jego ojca, gajowego, spowodował wystrzał zabijając się na miejscu.

1924, nr 137, 20 V. Smutna historia uwiedzionej dziewczyny. (w) W tych dniach do policji lubelskiej zgłosiła się 19-letnia E.O., zamieszkała w Krasnymstawie na przedmieściu Góra, opowiadając historię z pobytu swego w Lublinie w listopadzie roku ubiegłego. Poznała ona dość przystojnego jegomościa Stanisława Głąba vel Suseckiego, zam. przy ul. Zamojskiej 31. Znajomość nie przekraczała zwykłych form towarzyskich, choć Głęb, któremu młoda E. „wpadła w oko” stara się wszelkimi sposobami o pozyskanie jej względów. Po pewnym czasie Głęb w podstępny sposób zwabił E. do swego mieszkania, gdzie wbrew jej woli, uwiódł ją przemocą. Po upływie kilku miesięcy straszkana dziewczyna zdecydowała się opowiedzieć swą tajemnicę policji, która natychmiast aresztowała

Głąba vel Suseckiego oddając go do dyspozycji władzom Sądowym. *** Oryginalna eksmisja w Krasnymstawie. Zgonnik (handlarz trzody chlewnej) posiadacz trzech domów na przedmieściu Grobla nabył czwarty dom, przy ulicy Kościuszki, chcąc mnie, lokatora, zmusić do wyprowadzenia się na ulicę, zastosował bardzo ostry środek eksmisji. Postanowił zerwać gonty z dachu domu, w którym mieszkam. Dnia 24 marca r.b. o godz. 4 rano przebudzeni zostaliśmy hałasem zrywanych gontów. Wybiegłem na ulicę i spostrzegłem na dachu kilkunastu ludzi na czele z gospodarzem Kozyrskim, zrywających dach z domu, pobiegłem do policji. Po powrocie z posterunkowym stwierdziliśmy, że zaledwie 1/4 dachu ocalała. Policja wobec stawianych przeszkód przy pobijaniu dachu przyczyniła się do tego, że w parę dni udało mi się pokryć dach nowymi gontami. Za okazaną pomoc i opiekę p. Komendantowi Puchajdzie, zastępcy jego Gugale i przodownikowi Klimowiczowi i posterunkowym, składaam wyrazy wdzięczności. T. Perczyński.

1924, nr 155, 07 VI. Płonka pow. Krasnostawski. Płonka jest dużą wsią w pow. Krasnostawskim i chociaż nieznana jest szerszemu ogółowi, jednakże zasługuje na bliższe poznanie; jest to wioska najbardziej uspołeczniona w powiecie. Posiada różnego rodzaju Instytucje społeczne jak to: Stowarzyszenie Spożywcze, Spółdzielnię Mleczarską, Kółko Rolnicze, Koło Młodzieży, Spółkę Tartaczną oraz Kasę Pożyczkowo-Oszczędnościową. Stowarzyszenie Spożywcze posiada własny dom, w którym mieści się również i Spółdzielnia Mleczarska. Kasa Spółdzielcza z braku lokalu w Płonce, mieści się w lokalu Urzędu Gminnego w Rudniku. Ostatnio zorganizowano Ochotniczą Straż Ogniową, która pomimo trudności finansowych, zdołała w krótkim czasie pobudować remizę i nabyć sikawkę. Miejscowe Koło Amatorskie dopomogło straży dając 11 maja przedstawienie. Odegrano sztukę „Spółdzielczość”, publiczność wypełniła salę remizy strażackiej po brzegi i znacznie zasilila kasę straży. Szkolnictwo również leży bardzo na sercu mieszkańcom Płonki. Właścicielki dóbr Płoneckich Panie Rzuchowskie ofiarowały na rzecz szkoły 2 1/2 morgi placu, na którym ma być pobudowany budynek na pomieszczenie 5-cio klasowej szkoły. Mieszkańcy wioski opodatkowali

się na rzecz szkoły i zakupili część materiału na budowę. Płonka ma kościół i stała się ośrodkiem pracy kulturalnej na całą okolicę. Proboszcz ks. M. Szulborski ma w tym względzie nieocenione zasługi. Jest on duszą i kierownikiem wszystkich instytucji społecznych w parafii; jest tym wzorowym kapłanem i obywatelem. Gdy obecny ks. proboszcz przed pięciu laty objął zarząd parafii, zastał ją zaniedbaną, rozagitowaną przez lewicowych krzykaczy. Pomimo tego ks. proboszcz Szulborski cieszy się ogólnym uznaniem. Pomimo obecnego kryzysu pieniężnego, parafianie uchwalili opodatkowanie się po jednym złotym z morgi na kupno nowych dzwonów, remont plebanji. Ostatnio, 10 maja ks. proboszcz został wybrany Prezesem Dozoru Szkolnego na gminę Rudnik. *J. D.*

1924, nr 160, 13 VI. Do Rejestru handlowego Sądu Okręgowego w Lublinie Dział A. Tom V wciągnięto następujące firmy: dnia 25 kwietnia 1924 r. 535. „Marja Wesołowska” sklep galanterijny w Krasnymstawie.

1924, nr 170, 23 VI. Kursy pożarne w Krasnymstawie. W dniu 9 b.m. w Krasnymstawie zostały zakończone egzaminem 5-cio dniowe Kursy pożarnicze, prowadzone przez instruktora Zw. Straży pożarnych Stanisława Błaszczyka. W komisji egzaminacyjnej wzięli udział p. Starosta Krzyżanowski, prezes straży w Krasnymstawie p. Piechowicz, inspektor P.D.U.W. p. Krysiak i instruktor p. Błaszczyk. Uczęszczało 22 słuchacze delegowanych ze straży ochotniczych w powiecie; egzamin złożyło 17 z wynikiem celującym: Dworakowski Jan, Wójcik Wacław, Małek Franciszek, Lachowicz Andrzej, Koszyk Adam, Żyłowski Jan, Skowron Stanisław, Kowalski Roman, Marszycki Tomasz. Dobrze: Jasiński Antoni, Pasierbski Czesław, Niziński Władysław, Bielak Marjan. Dostatecznie: Grudzień Stanisław, Hus Marek, Ładosz Feliks, Jędruszczak Dominik.

1924, nr 185, 08 VII. Puszczenie w obieg fałszywych dolarów. (p) Dnia 29 czerwca r.b. w czasie odpustu we wsi Częstoborowice, gm. Rybczewice, pow. krasnostawskiego, kasa urządzona tam loterii fantowej w zamian za marki otrzymała 5 dolarów, z których wydano resztę w markach, jak również w restauracji Karola Pieryty przyjęto 51 dolarów. Dolary okazały się fałszywymi; wkrótce przytrzymano sprawcę Andrzeja Łosia z Żółkiewki. Źródła fałszywek wyjawiać nie chce.

1924, nr 197, 20 VII. Sprawa mieszkaniowa w Krasnymstawie. D. 1 marca r.b., nowa Ustawa normuje stosunki między gospodarzem a lokatorem, zabezpiecza od nadmiernego wyzysku lokatorów. Najem lokalu dochodzi do cen horrendalnych. Biedny urzędnik mieszkał w jednym pokoju w przeciągu kilku miesięcy, starając się o inne mieszkanie, ale z kuchnią, ponieważ musi sprowadzić rodzinę. Nareszcie znalazł na przedmieściu Grobla, w błotnistej okolicy to upragnione mieszkanie za 360 zł. płatnych z góry za cały rok i obowiązany był postawić kuchnię, na którą wydał 90 zł. za robotę. Dodawszy do tego procent od pożyczonego kapitału, to najem tego pokoiku bez żadnych wygód, a nawet wygódek będzie wynosić przeszło 45 zł. miesięcznie. Zabezpieczenie prawa do dachu nad głową jest obowiązkiem władzy. *Z.*

1924, nr 211, 03 VIII. Pożar. (p) Dnia 30 ub.m. o godzinie 11 w zabudowaniach Jana Nieściura we wsi Gródki gm. Turobin, pow. Krasnostawskiego wybuchł pożar, od którego spłonęło 5 zagród gospodarskich, a to: Jana Nieściura, Jacentego Startka, Piotra Pieczajki, Jana Tokarczyka i Mateusza Górnego. Pożar wzniciły dzieci poszkodowanego Nieściura, bawiący się ogniem, pozostawione bez opieki w domu. Straty wynoszą około 6.000 zł.

1924, nr 216, 08 VIII. Za długi język przycięty. Sprawa p. Edwarda Ślusarza, nauczyciela szkół powszechnych, prezesa Związku Strzeleckiego w Krasnymstawie zakończyła się tragicznym dla niego finałem. Wyrok II. instancji, skazujący p. E.Ś. na miesiąc więzienia za oszczerstwo przeciwko zakonnicy Alojzie Adamówniej, został przez Sąd Najwyższy zatwierdzony. Prawdopodobnie, płaszcz nietykalności poselskiej posła Wrony nie zdołał osłonić p. Ś., skompromitowany p. Ś. nie zajmie z powrotem stanowiska nauczyciela, ale i powrót Jego do Krasnegostawu uważać należy za wątpliwy. *F.*

1924, nr 218, 10 VIII. Koniokradztwo. (o). W nocy dn. 5-6 b.m., na szkodę Franciszka Przechudaja, m-ca wsi Stryjna, gm. Izbica pow. krasnostawskiego z niezamkniętej stajni skradziono 2 kłaczki ze źrebiętami, ogólnej wartości około 800 złp. - (p). W nocy 6-7. b.m., na szkodę Macieja Kuczera, m-ca wsi Wola Idzikowska, gm. Fajstławice, z niezamkniętej stajni skradziono parę koni

z wozem i uprzężą. A na szkodę Andrzeja Własiaka skradziono 1 konia.

1924, nr 225, 17 VIII. Pożegnanie Komendanta Pol. Państw. Krasnostaw. W d. 7 sierpnia miejscowe społeczeństwo żegnało obiadem komendanta P.P. p. Józefa Puchajdę, przeniesionego po dwuletnim pobycie w Krasnymstawie na podobne stanowisko do Chełma. W przemówieniach nie szczędzono dowodów uznania p. P. za jego gorliwą pracę na terenie powiatu, za sumienne wykonywanie trudnych obowiązków służbowych. Tak umiał zorganizować podwładny sobie personel policyjny, wpoić zrozumienie obowiązku i ofiarną pracę dla dobra publicznego - że to w niemalym stopniu wpłynęło na zmniejszenie się przestępczości w powiecie. Zdobył sobie też, powszechny szacunek i uznanie społeczeństwa.

1924, nr 228, 20 VIII. Stary Jakób Pudło, 10-cio morgowy gospodarz we wsi Maciejów Nowy, gm. Wysokie, pow. Krasnostawskiego, dn. 7 czerwca 1923 r., o godz. 10-ej wiecz. spoczywał w swej chacie rodzinnej. Na stojącym naprzeciwko tapczanie, siedziała córka Jakóba Anna z 8-letnią córeczką, mąż jej, a zięć Jakóba P. 35-letni Wojciech Puchała wybierał się na wartę nocną. Nagle, gdy Puchała podszedł do okna, padł strzał, a stary Jakób został ugodzony kulą. Huk strzału zmieszał się z brzękiem tłuczonego szkła, Puchała po chwili, wybiegł na podwórze, alarmując, iż na zagrodę jego teścia napadli bandyci. Zarządzono śledztwo. Żona z córką odmówiły zeznań. Puchała dzięki śmierci starego P. stawał się przez żonę 5-cio morgowym gospodarzem i symulowany napad uznano by jako napad rzeczywisty, gdyby nie obfitość szkła pod oknem i zeznania świadków, że Puchała ze starym żył źle. Oskarżony zabronił tego wieczoru spać swej 8-letniej córce z dziadkiem, po zaalarmowaniu sąsiadów i policji, rzucił swej żonie: „nie mów, że to ja zabiłem”. Rewolwer „Nagan”, oskarżonego znikł, a kula wyjęta z rany zmarłego była tego kalibru. Winę mu udowodniono, do zabójstwa się nie przyznał. Sąd okręgowy wymierzył karę 12 lat ciężkiego więzienia z pozbawieniem praw stanu. Sąd Apelacyjny wyrok zatwierdził. AZ.

1924, nr 299, 31 X. Do Rejestru handlowego Sądu Okręgowego w Lublinie Dział A. Tom V wciągnięto następujące firmy: D. 26 września 1924 r. 13. „Władysław Kołodziejczyk”, sprzedaż

żelaza, smarów, lamp i fajansów w Krasnymstawie.

1924, nr 232, 24 VIII. Osobiste. P. Tomasz Perczyński, obrońca sądowy w Krasnymstawie, decyzją Ministra Sprawiedliwości z d. 1 sierpnia r.b. mianowany zastał sędzią pokoju w Dąbrowicy w okręgu Sądu Okr. w Równem.

1924, nr 236, 28 VIII. Odznaczenie funkcjonariuszy Policji Państwowej Województwa Lubelskiego. W uznaniu zasług położonych dla Rzeczypospolitej Polskiej i Jej obywateli na polu bezpieczeństwa publicznego - odznaczeni zostali srebrnymi krzyżami zasługi pp.: Zygmunt Gułkowski, kierownik działu pierwszego Komendy Okręgu IV-go, komisarz Jezierski Andrzej, kmtdt pow. hrubieszowskiego, podkom. Józef Wojakowski, kierownik Eksp. śledczej w Lublinie, podkom. Franciszek Sitasz, kmtdt. pow. krasnostawskiego, podkom. Skulski Marjan, kmtdt. pow. Janów Lubelski.

1924, nr 265, 27 IX. W dniu 19 b.m. o godzinie 4 popołudniu zapaliła się od uderzenia pioruna, stojąca samotnie na polu sterta z żytem tegorocznym, własność mieszkańca folwarku Chorupnik gminy Gorzków, pow. krasnostawskiego Piotra Domańskiego. Mimo natychmiastowego ratunku, nie zdołano uratować zbiorów, których wartość przekracza sumę 1000 złotych. W dwa dni później t.j. dnia 21 b.m. o godz. 12 w południe w majątku Ostrzyca gminy Izbica pow. krasnostawskiego spaliła się stodoła, w której znajdowała się nasienna koniczyna i młocarnia, oraz stojący obok stodoły stóg słomy.

1924, nr 266, 28 IX. Członkowie bandy Kurka przed sądem. W latach 1918 do 1921 na terenie powiatów janowskiego, krasnostawskiego, zamojskiego i biłgorajskiego grasowała banda rozbójnicza złożona z kilkunastu ludzi, będąca postrachem dla mieszkańców, której przewodził niejaki Michał Kurek. Uzbrojona w karabiny i rewolwery, dobrze wyekwipowana szajka, ukrywała się w lasach, wąwozach, zagajnikach, a niejednokrotnie nawet po wsiach i wieśniaczych zagrodach, zaprzyjaźnionych z bandą...

1924, nr 267, 29 IX. Podatek obrotowy a zdolność płatnicza obywateli. Niedawno poszczególne Urzędy skarbowe dokonały wymiaru podatku obrotowego za pierwsze półrocze r.b, a już

wielu podatników z wielu miejscowości podniosło larum, skarżąc się, iż wysokość stawek jest rujnąca i w wielu wypadkach nie może być uiszczona bez naruszenia ruchomego majątku płatnika. Leży np. przed nami wyciąg z protokołu nadzwyczajnego posiedzenia Rady Miejskiej m. Krasnegostawu w dn. 10-go września b.r., którego punkt II-gi brzmi jak następuje: „Na skutek wniesionej prośby przez ogół miejscowych płatników państwowego podatku przemysłowego i żądania tychże zgłoszenia interwencji do władz skarbowych przez Radę m., jako jedyną reprezentację ogółu mieszkańców miasta Krasnegostawu w sprawie nadmiernego opodatkowania ludności państwowym podatkiem obrotowym za pierwsze półrocze roku bieżącego. Rada miejska stwierdza, że miasto Krasnystaw nie posiada charakteru handlowego i przemysłowego, wskutek licznych kataklizmów wojny światowej zrujnowane w dwóch trzecich częściach spalone i do obecnej pory nie odbudowane, a zatem przeciążenie ludności miejscowej podatkami grozi zupełną ruiną dla przemysłu i handlu oraz powstrzymuje rozwój miasta. Biorąc pod uwagę powyżej przytoczone okoliczności Rada miejska jednogłośnie uchwala: 1) Zwrócić się do odpowiednich władz Skarbowych z prośbą o zarządzenie natychmiastowej rewizji dokonanych już przez miejscowy Urząd Skarbowy wymiarów podatku obrotowego za I półrocze r.b., który w wielu wypadkach, jest niepomiarne wysokim i rujnącym. 2) Celem przedłożenia niniejszej uchwały i zgłoszenia osobistej interwencji Rada M. wybiera i deleguje ławnika Mieczysława Łazowskiego i członka Rady M. Edwarda Krasuskiego z prawem kooptacji przedstawicieli od poszczególnych organizacji, znajdujących się na terenie miasta”. Zrozumiałą jest dla wszystkich troska Urzędów Skarbowych o zapewnienia skarbowi Państwa jak największych korzyści w imię jednakże tych samych korzyści Skarbu należałoby w kwestji rozkładania podatków, czy ich wymiaru poszczególnym płatnikom liczyć się ściśle z ich możliwością płatniczą, bowiem przerastający siły płatnika wymiar podatku zamiast przysporzyć skarbowi Państwa korzyści, spowodują tylko trudności, zwłokę w płacenia i konieczność masowych egzekucyj. Em.

1924, nr 269, 01 X. W dniu 25.IX. r.b. o godz. 24-ej w domu Jana Gajewskiego, osady

Turobin pow. Krasnostawskiego wybuchł pożar, od którego spłonęło 5 domów mieszkalnych, zabudowania gospodarskie, oraz zboże i narzędzia roln. Straty wynoszą około 6 000 zł. Pożar powstał wskutek wadliwej konstrukcji komina.

1924, nr 270, 02 X. W nocy z dn. 24 na 25 września r.b. we wsi Kraśniczyn, gm. Czajki, pow. krasnostawskiego w zabudowaniach Kondratiuka Michała wybuchł pożar, spaliły się dom mieszkalny, stodoła ze zbożem i narzędzia rolnicze, a na szkodę Prystupy Józefa dom mieszkalny, stodoła, zboże, sprzęty domowe i narzędzia gospodarcze, ogólne straty wyrządzone przez pożar wynoszą ok. 5.655 zł. Pożar powstał wskutek umyślnego podpalenia, na sprawców nie natrafiono.

1924, nr 275, 07 X. Sejmiki powiatowe w Lubelszczyźnie. Krasnystaw. Sejmik pow. w Krasnymstawie mniej może ruchliwy wykazuje w zakresie swej działalności cały szereg dążeń i zrealizowanych zamierzeń o charakterze wielce dodatnim, dzięki czemu stoi na wysokości zadania i powierzonych mu obowiązków. Gospodarka finansowa Sejmiku przedstawia się zupełnie dobrze, chociaż budżet wykonywanym należycie nie jest. Świadczy o tem zestawienie kwot wydatkowanych w ciągu 7 miesięcy b.r. (160.000 zł) z ogólną kwotą budżetu (502.000 zł.). Pochodzi to stąd, iż wpłacanie danin komunalnych ze strony płatników jest niedostateczne, a następnie, iż termin płatności dodatków do podatków państwowych, a w pierwszym rzędzie do podatku gruntowego, który w pow. rolniczym stanowi podstawę pierwszorzędną. Wydział powiatowy rozpoczętych robót inwestycyjnych jak budowa drogi i odbudowa domu nie przerwał i stara się możliwie sezon dla robót wyzyskać, bez zaciągania większych długów. Drobne pożyczki krótkoterminowe Wydział musiał zaciągać ze względu na pewne przekroczenia budżetowe, iż budżet układany był we frankach. Prócz tego zaciągano krótkoterminowe pożyczki na pokrycie wydatków przedsiębiorstw własnych. Powyższą gospodarkę Wydziału Sejmik krasnostawski zaaprobował na posiedzeniu w dn. 9 sierpnia b.r., pobierając zarazem szereg nowych uchwał, z których najważniejsze to: uchwała o zaciągnięciu krótkoterminowej pożyczki w wysokości 100.000 zł. na wydatki bieżące inwestycyjne jak budowa drogi, odbudowa domu, remonty budyn-

ków mieszczących zakłady komunalne i t.p. w Ministerstwie Skarbu lub podlegających mu instytucjach finansowych, oraz takież pożyczki również na cele inwestycyjne w kwocie 50.000 zł. w instytucjach kredytowych państwowych, komunalnych lub prywatnych. Powzięto uchwałę, co do wymiany zboża siewnego, wyprodukowanego przez Sejmikowe gospodarstwo rolne na zboże zwykłe w stosunku 150 kg. zboża zwykłego za 100 kg. zboża siewnego. „Sejmik pow. w Krasnymstawie wyraża ustępującemu Komendantowi pow. Policji Państwowej p. Józefowi Puchajdzie uznanie za jego pożyteczną, taktowną i ożywioną duchem obywatelskim pracę w tutejszym powiecie”. Sejmik Krasnostawski stoi dobrze pod względem finansowym zaś Wydział powiatowy realizuje w umiarkowanym, nieprzerwanym tempie uchwały w zakresie robót inwestycyjnych i w ogóle gospodarki. Jest więc na jak najlepszej drodze. B.

1924, nr 283, 15 X. (w) W d. 2 b.m. o g. 4 r., we wsi Poperczyn, gm. Żółkiewka, pow. krasnostawskiego, w domu mieszkalnym Jana Czerniakowskiego, z niewiadomych przyczyn wybuchł pożar, od którego spłonął cały dom, wraz z całkowitym urządzeniem. Ogólne straty wynoszą około 1.220 zł. Dochodzenie prowadzi miejscowy posterunek policji. - W dnia 4 b.m. około godz. 6-jej wiecz, we wsi Dragany, gm. Wysokie, pow. krasnostawskiego, wybuchł pożar, od którego spalił się na szkodę Podjadka Antoniego dom mieszkalny oraz znajdujące się w nim sprzęty domowe. Szkada wynosi około 1.000 zł. Dochodzenie, posterunek w Wysokiem, wykazało, że pożar powstał wskutek zapalenia się sadzy w kominie.

1924, nr 296, 28 X. W dniu 21.X r.b., o godz. 23-jej w zabudowaniach Władysława Majewskiego, mieszkańca wsi Przedmieście Szczebzeskie, powiatu krasnostawskiego wybuchł pożar, od którego spaliły się zabudowania gospodarcze, dom mieszkalny, zboże i inwentarz żywy oraz dach domu mieszkalnego Stanisława Bisiora. Straty wynoszą około 10.000 zł.

1924, nr 300, 01 XI. Mianowani ks. ks. wikariusze. Ks. Czesław Zmysłowski z Zaklikowa, na proboszcza do Żdżannego. Ks. Ignacy Wojtyła z Krasnegostawu, proboszczem nowoutworzonej par. Orłów Murowany. Przeniesieni ks. ks. wikariusze. Ks. Marcin Ślósarz z Gorzkowa do Lubartowa.

Ks. Stanisław Melan z Mełgwi do Krasnegostawu. Mianowani nowowyświęceni kapłani. Ks. Bolesław Bednarski, wikar. w Gorzkowie. Ks. Jan Maziarz, wikar. w Tarnogórze. Ks. Franciszek Ściegienny, pref. szkół powszech. w Krasnymstawie.

1924, nr 304, 06 XI. Banda koniokradów w pułapce. Od dłuższego czasu na terenie powiatu krasnostawskiego i sąsiednich, powtarzały się kradzieże koni, przeważnie z ulicy lub wprost sprzed domów. Kiedy furman schodził do sklepu, złoczyńcy kradli mu konie wraz z wozem. Podobnej kradzieży dokonano w Krasnymstawie na szkodę Józefa Rozwałki zam. w gminie Pawłów pow. chełmskiego, zaś w miesiącu kwietniu zniknęły sprzed stacji kolejowej w Rejowcu konie z wozem Augustynowi Rurze mieszkańcowi wsi Zalesie gm. Pawłów. W miesiącu lipcu b.r. nieznaną bandą koniokradów uprowadziła ze stajni Feliksa Starzyńskiego we wsi Łopiennik pow. krasnostawskiego parę koni, które po upływie kilku dni zostały odnalezione blakające się po polach. W początkach września Piotrowi Hobie mieszkańcowi wsi Łopiennik z niezamkniętej stajni skradziono klacz ze źrebkiem. Żrebię odnaleziono na polach przywiązane do drzewa. Sprawców nie zdołano wykryć. Dopiero w dniu 15 ub.m. przez posterunek policyjny w Łopienniku zatrzymany został niejaki Władysław Wójcik pochodzący z Trzaskowic powiatu lubelskiego. Odstawiony do posterunku w Krasnymstawie, badany przez st. przod. Cieplińskiego, zrodził podejrzenie, że jest rutynowanym przestępcą. Wójcik przyznał się do kradzieży garderoby u Stanisława Wrońskiego w Jaślikowie wskazując przy tem swego współnika Jana Tymickiego z Jaślikowa. Aresztowany Tymicki przyznał się do przestępstw i czynił wymówki Wójcikowi, że on go namawiał do kradzieży, czem oburzony Wójcik postawił w wątpliwość jego uczciwość, wyjawiając kradzieże, których się Tymicki dopuszczał, wyszło na jaw, że kilkakrotnie widząc kręcącą się policję w pobliżu, Tymicki wypuszczał konie na pole. Wójcik wypaplał wszystko, „wkopując” swych towarzyszy i żydów paserów, którym sprzedawał konie. Policja aresztowała 17 członków bandy: Władysława Wójcika (syna), Józefa Wójcika (ojca), Karola Kistera, Henryka Kistera, Stefana Rzezińskiego, Józefa Rzezińskiego, Jana Tymickiego, Ignacego Kowalczyka, Stani-

sława Kowalczyka, Włodzimierza Brodę, Moszka Abendestajna, Joska Wajsbroda z Hrubieszowa, Stanisława Marciniaka, Jana Judzickiego, Chaima Menaszka i Mordkę Cederbauma. Poszukiwany natomiast jest Szymon Wajsborg, który skrył się przed policją. Dotychczas udowodniono bandzie 8 kradzieży i koniokradytów.

1924, nr 308, 10 XI. Zbrodnicze podpalenie. (z) Nie pierwszy raz zanotować wypadnie zbrodnicze podpalenie, mające za podkład zemstę. W dniu 31 zeszłego miesiąca, Łuczak Paweł liczący lat 19 i Sułowski Władysław lat 14 mieszkańcy wsi Tarnawa w powiecie krasnostawskim, podpalili w folwarku Tarnawa stertę siana. W kilka chwil sterta stanęła w ogniu zagrażając spalaniem sąsiadującym budynkom. Dzięki wybitnej pomocy służby folwarcznej i odpowiedniej ilości w pobliżu znajdującej się wody zdołano pożar zlokalizować. Ujęci podpalacze przyznali się do winy i wobec sędziego śledczego złożyli zeznanie, iż uczynili to z zemsty. Wartość spalonego mienia oceniono na 500 złotych.

1924, nr 312, 14 XI. Dnia 28 X. około godz. 19-ej dokonano zamachu we wsi Rokitów, gm. Turubin, pow. krasnostawskiego, na osobę znajdującego się w domu Jana Mikrzy, lat 25, mieszkańca wspomnianej wsi. Nieznany osobnik, w czasie, gdy ów krzątał się po mieszkaniu, dał doń przez okno strzał. Chybił. J.M. jest osobnikiem podejrzanym o różne przestępstwa i niejedną wyrządził ludziom krzywdę. Prawdopodobnie ktoś z pokrzywdzonych, pragnął w ten sposób go się pozbyć, uwalniając wieś od z jego strony przykrości. Władze policyjne wszczęły energiczne dochodzenie w celu wykrycia sprawcy zamachu. Strzały przez okno - zgładzono już w ten sposób kilku gajowych i włościan w różnych powiatach. Ralf.

1924, nr 318, 20 XI. Groźny pożar w Krasnostawskim. (z) W dniu 17 listopada b.r. w godzinach wieczorowych między 7-mą a 8-mą, we wsi Kryniczki, gmina Dębica, powiatu krasnostawskiego miał miejsce groźny pożar. W krytycznym dniu 17 b.m. wybuchł pożar w zabudowaniach Żebrowskiego Jana, przyczem spaliły się: stodoła, stajnia, obora, chlew i poddasze, wraz ze znajdującym się inwentarzem żywym oraz paszą, na sumę 7535 złotych. Niszczycielski żywioł przeniósł się na sąsiednie budynki należące do Macieja Mroza. Spa-

liły się stodoła, obora i dwa poddasza oraz zboże i pasza tam nagromadzone. Poszkodowany Mróz oblicza straty na sumę 3280 złotych. W tychże samych budynkach na szkodę Wojciecha Kurka spłonęło zboże i pasza na sumę 1010 złotych. Na szkodę Anny Szpak spłonęła stodoła, ze zbożem i paszą na sumę 360 złotych. Pożar z niewiadomej dotychczas przyczyny. Strat w ludziach nie było.

1924, nr 320, 22 XI. Z Kroniki pożarowej. (a) Dnia 17 b.m. o godz. 7-ej wieczorem z niewiadomych przyczyn we wsi Kryniczki, gm. Izbica pow. Krasnostawskiego wybuchł pożar, od którego spłonęły 4 zabudowania gospodarcze, zboże niemłócone, narzędzia rolnicze oraz inwentarz żywy. Ogólne straty wynoszą około 12.195 zł. Wypadku z ludźmi nie było.

1924, nr 322, 24 XI. Podpalaczka przed Sądem doraźnym. W dniu 20 listopada b.r. odbyła się przed Sądem Okr. w Lublinie, jako doraźnym rozprawa karna, której przewodniczył wice-prezes S. Bokiewicz, przeciwko Franciszce Kowalskiej lat 32, mieszkance wsi Wały, gminy Izbica, pow. krasnostawskiego, oskarżonej o podpalenie nowo wybudowanego domu we wsi Wały, będącego własnością Władysława Orzechowskiego, mieszkańca wsi Dworzyska, gm. Izbica. Oskarżona Kowalska, do winy się przyznała, podając, że czynu tego dopuściła się powodowana zemstą na tle miłosnym. ... Sąd po przesłuchaniu świadków, którzy ustalili fakt podpalenia i po wysłuchaniu prok. i obrony wydał wyrok w trybie doraźnym skazujący F. Kowalską na 8 ośm lat ciężkiego więzienia z pozbawieniem praw. Mig.

1924, nr 324, 26 XI. W dniu 16 ub.m. nieznani złoczyńcy dokonali zuchwałej kradzieży kosztowności w kaplicy, mieszczącej się w kolonji Kaźmierzówka, gminy Mełgiew, powiatu lubelskiego. Dopiero w tych dniach dokonano rewizji u żony jednego z zatrzymanych - Natalji Warchołowej, u której w kolonji Chłaniów, gm. Żółkiewka, pow. Krasnostawskiego znaleziono skradzione z kaplicy rzeczy spakowane w kosz, monstrancja, kielich i puszka do Najś. Sakr. połamane na części.

1924, nr 346, 19 XII. Podpalacz przed Sądem Doraźnym. W dniu 31 października b.r. wieczorem w majątku Tarnawa gminy Wysokie powiatu krasnostawskiego na szkodę dzierżawcy p. Stanisława Grodzkiego nieznani sprawcy pod-

palili stóg siana, który dzięki ratunkowi służby folwarcznej został częściowo uratowany. Policja w Wysokiem wszczęła energiczne śledztwo, w śledztwie okazało się, że krytycznego dnia około stogu paśli było dwaj chłopcy - 19-letni Paweł Łyczak i 13-letni Władysław Sułowski, z których pierwszy miał osobistą urazę do dzierżawcy majątku za wytoczenie jego rodzinie sprawy sądowej o defraudację leśną. Okazało się, że sprawcą podpalenia był Paweł Łyczak. W dniu wczorajszym stanął on przed Sądem Okręgowym w Lublinie, który przeprowadził rozprawę w trybie doraźnym. Na rozprawę wezwano 5 świadków, wszyscy zeznawali na niekorzyść oskarżonego, że gdyby nie natychmiastowy ratunek pożar mógłby się przenieść na zabudowania folwarczne. Oskarżyciel p. prokurator Kunefeld w wywodzie końcowym domagał się surowego wymiaru kary, podczas gdy obrońca oskarżonego z urzędu p. mec. Rettinger domagał się złagodzenia kary, dowodząc, że oskarżony dokonał zbrodni podpalenia dla zabawki. Sąd w składzie: przewodniczący p. prezes St. Bokiewicz, asesorowie sędziowie pp. J. Korsak i B. Osuchowski, sekretarz p. Leśnikowski wydał wyrok skazujący P. Ł. na pozbawienie praw stanu i na bezterminowe ciężkie więzienie. Młodociany podpalacz przyjął wyrok spokojnie, poczem został pod eskortą odstawiony do więzienia na Zamku. L.

1925, nr 1, 01 I. Ciekawy proces. Krasnostaw. W latach 1916 i 17 stały mieszkańiec Krasnegostawu, p. Ratajski, nabył dwie posesje miejskie z zabudowaniami zrujnowanymi przez wojnę i zbudował na ich gruntach piękną kamienicę, w której urządził: hotel, cukiernię i restaurację, co się przyczyniło do wygody publiczności. Pomijamy różne trudności, czynione p. R. przy budowie kamienicy przez pp.: Kochanowskiego (architekta) i Fortriera (inżyniera) - do merytum sprawy, która jaskrawo rzuca światło na stosunki Magistratu i Rady Miejskiej z obywatelami miasta. Kiedy p. R. wykończył budowę kamienicy podłóg wszystkich wymagań komisji budowlanej, a następnie ulokował się w niej, Magistrat z namowy pokątnego doradcy piastującego mandat radnego miasta, wytacza p. R. sprawę w miejscowym Sądzie Pokoju o nielegalne pomieszczenie otworów okiennych, wychodzących na posesję magistracką, i żąda zamurowania 8 otworów. Sąd Pokoju jednak żądania

tego nie uwzględnił, motywując tem, że owa posesja nie jest jeszcze formalnie własnością miasta, lecz należy do dóbr państwa (pomajorackie), po drugie, że przy regulacji ulicy Kościelnej posesja ta w znacznej części stanowić będzie ulicę a na pozostałym skrawku żadnej budowy postawić się nie da, po trzecie Sąd wyszedł z założenia, że Magistrat, dając koncesję na budowę kamienicy, powinien był od razu zrobić zastrzeżenie, gdyż po spełnionym fakcie jest to rzeczą wprost niemożliwą. Magistrat jednak na te wywoływy był bezwzględny i wniósł apelację do Sądu Okręg. w Lublinie, gdzie dzięki krętałom ze strony tegoż radnego, sąd przyznał rację Magistratowi, wobec czego p. R. wniósł kasację do Warszawy i tam wyrok Sądu Okr. skasowano, polecając rozpatrzenie sprawy ponownie w innym składzie sędziów. Wreszcie po 4-letnim procesie Sąd Okr. w Lublinie żądania Magistratu uchylił. Z powyższego opisu widać, jak Magistrat i Rada miejska w Krasnymstawie pojmują swoje obowiązki względem swoich obywateli, którym, zamiast przychodzić z pomocą przy odbudowie miasta, czyni skandaliczne wstręty. Rzecz oczywista, że p. R. wystąpił teraz sądownie przeciw Magistratowi o zwrot kosztów sądowych, ale kto nagrodzi jego kłopoty i zmartwienia związane z tą sprawą. F.B.

1925, nr 5, 05 I. Krasnostaw. Wojna europejska większą część miasta zamieniła w gruzy, a odbudowa postępuje żółtym krokiem, dzięki niedołęstwu Magistratu i Rady miejskiej, pomimo, że rozporządzania odpowiednimi środkami finansowymi, bo miasto posiada na własność dwa lasy: „Borek” i „Lipniak”, oraz majątek ziemski „Lubańki” i wielkie obszary łąk sianodajnych. Z tych realności wpływają znaczne dochody, jak to: z poręb leśnych, z dzierżawy „nowin”, łąk i majątku ziemskiego, nie licząc innych dochodów, t.j. z podatków komunalnych i szlachtuza. Gdyby więc Magistrat i Rada miejska chciała i umiała dysponować funduszami miasta, to do obecnej chwili odbudowa ruin i zgłiszcz posunęłaby się bardzo znacznie, a tymczasem nic nie jest zrobione, bo nawet siedziba Magistratu nie jest jeszcze zupełnie odrestaurowana, a co tu mówić o brakach ulicznych, które są w stanie opłakanym, a szczególnie obok kościoła parafialnego trudno jest przejechać. Brak też miastu wodociągu, a przede wszystkim stu-

dzien, tak, że mieszkańcy muszą wodę przywozić beczkami ze stoku rzecznego. Jak również ulica, prowadząca z miasta do kolejowej stacji, nie jest oświetlona, chociaż miasto posiada własną elektrownię i można kilka latarni postawić. Pod względem higienicznym nie ma łaźni publicznej, ani wanień kąpielowych, ani mieszkań suchych i obszernych dla nauczycieli, którzy gnieźdzą się w wilgotnych i brudnych norach. Są tu i prywatne sklepy, jak nap. sklep „kolonjalno-winny” p. Leśniewskiego, prowadzony bardzo solidnie, więc cieszy się ogólnym uznaniem, sklep „Stowarzyszenia spożywców - włościan”, oraz kilka sklepów z towarami łocciowymi. Jest tu i apteka, i skład apteczny, jak również dwie księgarnie, oraz hotel z komfortem urządzony, przy którym mieści się cukiernia z bilardami i restauracją. Są dwa banki „Współdzielczy” i „Handlowy Warsz.” a także Syndykat. Jest i szpital Sejmiku pod wezwaniem św. Franciszka, ordynowany przez D-ra Lickindorfa, który się cieszy uznaniem całego miasta i okolicy. Pod względem oświatowym również Krasnostaw nie pozostaje w tyle, gdyż posiada 8 kl. gm. państw., 6 kl. szkołę zawodową żeńską i 7 kl. szkołę powszechną. Istnieje tu i „Macierz Szkolna”, która opiekuje się szkolnictwem i urządza odczyty popularne i pogadanki naukowe, oraz obchody uroczystości narodowych. Dzielnie się też popisuje ochotnicza straż ogniowa, która czuwa nad pożarnictwem miasta. Słowem znać tu kulturę i jest dość chętnych do pracy społecznej. B.

1925, nr 17, 17 I. Małoletni fałszerze bilonu. Posterunek policyjny w Wysokiem pow. Krasnostawskiego ujawnił puszczenie w obieg sfalszowanych monet 50 groszowych. Przeprowadzone dochodzenie wykazało, że sprawcami sfalszowania bilonu byli dwaj mieszkańcy kolonji Borowiczyn gm. Zakrzew pow. krasnostawskiego 14-letni Leon i 12-letni Bolesław bracia Mazurowie, nieposiadający już rodziców, a utrzymujący się z ofiar zebranych przez miejscowych wieśniaków. Aresztowani młodociani fałszerze, opowiedzieli szczegółowo cały proces powstania fałszywych monet. Starszy z nich Leon od dzieciństwa był specjalistą od odlewania łyżek i innych przedmiotów z aluminium. Czując olbrzymie zapotrzebowania na gotówkę chłopcy wpadli na pomysł odlania z ołowiu pięćdziesięciogroszówek i wnet zabrali się

do pracy. Po kilku godzinach udało im się zrobić coś podobnego do prawdziwych monet i spróbowali puścić je w obieg, co powiodło się wyśmienicie. Wczas jednak zamiary te udaremniono, pozostawiając chłopców pod dozorem Antoniego Kuśmierz szwagra młodocianych fałszerzy, dochodzenie wszczęto. L. *** Apteka do sprzedania w Żółkiewce. Cena sprzedażna zł. 18.000. Obrót miesięczny apteki wynosi zł. 1.500. Wiadomość Pytlasiński p. Żółkiewka pow. Krasnostawskiego.

1925, nr 25, 25 I. Oskarżony o udział w napadach bandyckich. (w) Przed kilkoma dniami władze policyjne aresztowały Pawła Dziedzica zamieszkałego przy ul. Świętego Mikołaja 22, jako oskarżonego o udział w napadach bandyckich, dokonywanych w roku 1920 na terenie Małopolski. Dziedzic mieszkał wówczas w Krasnymstawie i przy rewizji znaleziono u niego rzeczy, z których nie mógł się wytłomaczyć. Komenda Policji w Krasnymstawie, stwierdziła obecnie, że pochodzą one z rabunków dokonanych w Małopolsce. Aresztowanego odesłano do więzienia śledczego.

1925, nr 39, 08 II. Kącik myśliwski. W dniu 26 stycznia r.b. w majątku Siennica Różana, pow. krasnostawskiego u p. Jerzego Koszarskiego odbyło się polowanie, na którym w 9 strzelb zabito: 8 dzików, 1 lisa, 6 bażantów i 107 zajęcy. Królem polowania był p. Jan Koźmian z Wierchowisk, mając na rozkładzie: olbrzymiego z pięknymi szablami odyńca, 21 zajęcy i 1 bażanta. Wszyscy uczestnicy mieli przyjemność strzelania do dzików. Nadmienić należy, że w dniu 22.XII.1924 r. na tymże terenie odbyło się polowanie specjalnie na dziki - w 8 strzelb zabito 5 dzików.

1925, nr 50, 19 II. Groźny pożar w krasnostawskim. (z) Jak się dowiadujemy, w dniu 14 lutego b.r. o g. 3-iej po północy, wybuchł pożar we młynie, będącym własnością Seweryna Kozaryna, właściciela majątku Krupe, gm. Rudka, pow. krasnostawskiego. Niszczycielski żywioł, ogarnął cały młyn, który spłonął doszczętnie wraz ze znajdującymi się tam urządzeniami wewnętrznymi, stanowiącymi własność dzierżawcy młyna - Abrama Grinberga. Straty wyrządzone przez pożar około 12.000 złotych. Nieszczęśliwych wypadków z ludźmi nie było. Dochodzenie wykazało, że pożar powstał wskutek pęknięcia rury żelaznej, przez którą przechodził ogień motoru opalanego drzewem.

1925, nr 57, 26 II. W dniu 31-ym stycznia r.b. w kościele parafialnym w Tarnogrodzie ksiądz prałat Malinowski z Krasnegostawu pobłogosławił związek małżeński pomiędzy panną Ewą Wóycicką a panem Juljuszem Kłoczowskim.

1925, nr 59, 28 II. Podstępnie zamordowany. (w) Grozą wstrząsający i ohydny mord miał przed kilkoma dniami miejsce w kolonii Żółkiew gminy Żółkiewka powiatu krasnostawskiego. Wieczorem dnia 24 b.m., kiedy w domu Feliksa Barana mieszkańca tejże wsi domownicy zamyślali udać się na spoczynek nieznanym dotychczas morderca strzelił do siedzącego w izbie F. Barana przez okno raniąc go śmiertelnie w plecy. Nabój sporządzony z grubego śrutu wytworzył na całej nieomal powierzchni pleców olbrzymią ranę, od utrzymaniu której F. Baran w kilka minut skończył. Spiesząca na pomoc rodzina zastała stygnące zwłoki. Władze policyjne wszczęły śledztwo. *** Ujawniony zabójca. (w) W sprawie zabójstwa śpiącego na wozie w podwórzu w nocy z dn. 17-18 lutego Walentego Czarnego, mieszkańca Czernięcina, gm. Turobin, pow. krasnostawskiego, dochodzenie wykazało, że zabójstwa dokonał Stanisław Gajewski, lat 19 mieszkaniec wsi Tarnawa, gm. Turobin, powodując się zemstą osobistą. Gajewski przyznał się do winy, oświadczając, że nie miał zamiaru zabić Czarnego, tylko pobić go. G. aresztowano i wraz z dochodzeniem przekazano sędziemu śledczemu w Krasnymstawie.

1925, nr 63, 04 III. Magistrat miasta Krasnegostawu ogłasza konkurs na dokonanie pomiarów gruntów mieszkańców przedmieść miasta Krasnegostawu. Ogólna przestrzeń gruntów wynosi około 4.000 mrg. W zakres robót pomiarowych wchodzi: 1) Pomiar ogólny. 2) Zdjęcie szczegółów. 3) Pomiar w/g obecnego stanu posiadania (w tem działek około 1.500). 4) Dwa plany. Prace pomiarowe rozkłada się na przeciąg trzech lat. Reflektantami mogą być wyłącznie geometrzy upoważnieni do wykonywania robót pomiarowych. Oferty wraz z odpisami upoważnień nadsyłać do 20-go marca 1925 roku. W ofertach należy wyszczególnić cenę od morgi. Sekretarz: Durda. Burmistrz: Migurski.

1925, nr 103, 15 IV. Autobusy: Lublin-Zamość, Lublin-Kazimierz. (e) Lub. Urząd Wojewódzki (Okręg. Dyr. Robót Publicz. Oddział drogowy) udzielił inż. F. Kaimowi zezwolenia na urządzenie

komunikacji osobowej autobusowej pomiędzy Lublinem i Zamościem oraz Lublinem i Kazimierzem. Na obu liniach kursować będą dwa autobusy firmy „Berliet” pojemności 18-u miejsc siedzących każdy, codziennie, według rozkładu jazdy i niezależnie od małej ilości pasażerów. Opłata za przejazd wynosić ma: Lublin-Piaski 2,50 zł., Lublin-Krasnostaw 5 zł., Lublin-Zamość 7 zł. Piaski-Krasnostaw 3 zł., Krasnostaw-Zamość 3 zł., Lublin-Kurów 3 zł., Lublin-Puławy 5 zł., Lublin-Kazimierz 7 zł., Kurów-Puławy 2 zł. i Puławy-Kazimierz 2 zł. Urzędnicy państwowi wojskowi w służbie czynnej płacić mają tylko 60 proc. wyszczególnionych powyżej cen. Do każdego biletu jednoosobowego przysługuje prawo bezpłatnego wzięcia 15 kilogr. bagażu, za każde dalsze 5 kilogr. opłata wynosić będzie 20 gr. Uruchomienie komunikacji na obu wspomnianych liniach nastąpi wkrótce.

1925, nr 104, 16 IV. Ogłoszenie. Dnia 30 kwietnia 1925 r. o godzinie 12-iej w południe w lokalu Magistratu w Krasnymstawie odbędzie się przetarg ustny na sprzedaż 140 m³ dębiny użytkowej za pomocą składania deklaracji pisemnych z leśnictwa Namule. Licytacja *in plus* w procentach od cen wywoławczych. Informacji udziela Nadleśnictwo Krasnostaw oraz leśnictwo Namule, gdzie też można obejrzeć materiał przeznaczony do przetargu. Państwowe Nadleśnictwo Krasnostaw.

1925, nr 110, 22 IV. Nowe pożary. W dniu 13.4. r.b. o godzinie 13.30 we wsi Oleśniki, gm. Fajslawice pow. krasnostawskiego wybuchł pożar, który zniszczył na szkodę 22 gospodarzy 22 domy mieszkalne, 45 stodół i chlewów, jak również dużą ilość inwentarza martwego i żywego oraz sprzętów domowych. Straty wyrządzone przez pożar wynoszą około 116.000 zł. Przeprowadzone dochodzenie wykazało, iż pożar powstał z zabudowań Tomasza Sochy, wskutek wadliwego urządzenia komina. W nocy z dnia 14 na 15 b.m. spalił się we wsi Płonka, gm. Rudnik, pow. krasnostawskiego młyn wodny na szkodę właściciela folw. Doburków w pow. tomaszowskim - Władysława Kołaczkowskiego, wartości około 5.700 zł. Pożar powstał wskutek rozmyślnego podpalenia. W dniu zaś 15.4. r.b. o godz. 3.30 we wsi Stężycza, gm. Łopiennik, pow. krasnostawskiego w zabudowaniach należących do Szermety Michała wybuchł pożar, który zniszczył doszczętnie stodołę, oborę, inwen-

tarz martwy i żywy ogólnej wartości około 3.000 zł. Pożar powstał wskutek rozmyślnego podpalenia, którego dokonał Szymeta Michał, mieszkaniec tejże wsi, brataniec poszkodowanego, powołując się zemstą osobistą. Oskarżony został aresztowany i przekazany sędziemu śledczemu.

1925, nr 121, 03 V. Komitet obchodu 900-lecia koronacji Bolesława Chrobrego w Lublinie urządził już odczyt o Bolesławie Chrobrym w Piask. Lut., Bychawie i Trawnikach. Dalsze odczyty projektowane następująco: 1) Ks. prof. Kruszyński w Chełmie dn. 10 b.m. 2) Prof. Paciorkiewicz w Lubartowie 17 b.m. 3) Prof. Waściszakowski w Zamościu dn. 10 b.m. 4) Pprok. Wisz w Biłgoraju dn. 31 b.m. i w Janowie Lub. dn. 17 b.m. 5) Red. prof. Kanarowski w Kazimierzu nad Wisłą dn. 10 b.m. 6) Prof. Bułał w Puławach d. 17 b.m. 7) Ks. Kan. Krasuski w Krasnymstawie dn. 17 b.m. Oprócz tego wygłoszone będą odczyty w Kraśniku, Hrubieszowie, Tomaszowie, Siedlcach i innych miastach Województwa Lubelskiego.

1925, nr 125, 07 V. Tragiczna śmierć w płomieniach. (w) W nocy z dnia 3 na 4 o godz. 11 m. 30 we wsi Tarnawka, powiatu krasnostawskiego wybuchł pożar w zabudowaniach gospodarskich Wawrzyńca Sobiesiaka, który pochłoniął dom mieszkalny do szczytu, komorę, zabudowania gospodarcze, inwentarz żywy, narzędzia rolnicze i wiele innych rzeczy wartości ogólnej 4.100 złotych. W płomieniach znalazł śmierć syn właściciela zabudowań 15-letni Julian Sobiesiak, który jak wykazało przeprowadzone natychmiast przez policję dochodzenie palił papierosa, od którego wybuchł następnie pożar.

1925, nr 126, 08 V. Wacław Krzyżanowski, Starosta Krasnostawski, urodził się w roku 1879 w Jahodence, ziemi Wołyńskiej. Po ukończeniu szkół średnich i wydziału Prawnego na Uniwersytecie Kijowskim, od roku 1902 oddaje się pracy adwokackiej, biorąc wybitny udział w życiu społecznym. W marcu 1922 roku obejmuje stanowisko starosty w Krasnymstawie. Kazimierz Wielanowski, Starosta Włodawski. Ukończył Wydział Prawny uniwersytetu we Lwowie, adwokat - później Starosta krasnostawski, a w r. 1921 mianowany Starostą we Włodawie.

1925, nr 127, 09 V. Pożar w wiatraku. (w) W nocy z dnia 2 na 3 b.m. około godz. 1-ej we

wsii Orchowiec, gm. Gorzków, pow. krasnostawskiego, w wiatraku będącym własnością Jana Gałaczyńskiego wybuchł pożar, który rozszerzając się momentalnie, objął cały budynek i spłonął on doszczętnie. Straty około 3 270 złotych. Ostatnio wiatrak był wydzierżawiony przez Bronisława Ungastbrajra i Kazimierza Denara, mieszkańców wsi Plinkowice, gminy Rybczewice. Wszczęte w sprawie dochodzenie policyjne dało poszlaki, że wiatrak spłonął wskutek zbrodniczego podpalenia.

1925, nr 130, 12 V. Zjazd Tkaczy Województwa lubelskiego w Krasnymstawie. Staraniem Cechu Tkackiego miasta Krasnegostawu i przy współudziale Okręgowego Inspektora Przemysłowo-Rzemieślniczego Min. Przemysłu i Handlu odbędzie się w Krasnymstawie w lokalu Magistratu w dniach 5-go i 6-go lipca r.b. Zjazd Tkaczy Województwa Lubelskiego, połączony z wystawą prac tkaczy. Program Zjazdu: 1) Nabożeństwo w kościele parafialnym o godz. 10-ej (5 lipca). 2) Otwarcie Zjazdu. 3) Zagajenie, wybór prezydium i przyjęcie regulaminu. 4) Powitanie delegatów, przedstawicieli władz i gości 5) Referaty z dziedziny organizacji cechu tkackiego. 6) Obejrzenie wystawy. 7) Narady Komisji nad przyjęciem do cechu nowych członków. 8) Ogłoszenie rezultatów wyborów nowych członków cechu. 9) Wybór nowego Zarządu Cechu, Komisji Egzaminacyjnej i t.d. 10) Wolne wnioski (produkcja surowców i t.p.) 11). Dla przyjezdnych zapewniona będzie odpowiednia ilość kwater. Komisarz Muncypalny: Durda. Burmistrz: Migurski.

1925, nr 136, 18 V. Pożar: w dniu 10 maja b.r. o godzinie 3 m. 30 po południu we wsi Łatyków, gminy Krasnostaw wybuchł pożar w zabudowaniach gospodarskich Franciszka Matysiaka, wskutek czego spłonęła doszczętnie stodoła będąca własnością wymienionego oraz stodoła i obora należące do Walentego Marczewskiego; obora i chlew najbliższego sąsiada - Stanisława Pafińskiego. Straty na ogólną sumę 3850 złotych. Śledztwo przyczyny nie ustaliło, istnieją jednak przypuszczenia, że pożar powstał z powodu nieostrożnego obchodzenia się z ogniem przez dzieci. *** Dalsze dwa groźne pożary. Mianowicie w dniu 11 maja b.r. o godz. 1-ej po południu w folw. Chelmcu, gm. Czajki, pow. krasnostawskiego wybuchł groźny pożar zabudowań na szkodę maj. Kraśniczyn, przy-

czem spłonęły: dom murowany „Czworak”, szopa drewniana, stajnia murowana, chlewy drewniane, dom murowany jednopiętrowy, inwentarz żywy, 3 indyki i pies. Straty narazie nie ustalone. Na miejsce pożaru o godz. 1 m. 30 przybyła straż ogniowa z Siennicy Różanej i z Surchowa. Ratunek okazał się jednak niemożliwy z powodu wiatru i suszy. Dochodzenie ustaliło, iż przyczyną pożaru było rzuconie niezgaszonego papierosa przez fornała Izzydora Szumię. Wypadków z ludźmi nie było. *** W dniu 13 maja b.r. o godz. 2 m. 30 po południu, wybuchł pożar we wsi Annów, gm. Zakrzew, pow. krasnostawskiego w zabudowaniach gospodarskich Antoniego Ładziaka. Pożar ten zniszczył dom mieszkalny, szopę, oborę i 2 świnię, następnie przeniósł się na sąsiednie zabudowania Andrzeja Sokoła, u którego zniszczył dom mieszkalny, oborę i szopę, u Tomasza Dudkiewicza barak, chlew i szopę, u Franciszka Niedbały dom mieszkalny i stodołę, i u Antoniego Tylusa dom mieszkalny, 2 obory i chlew. Ogólne straty wynoszą 16.500 złotych. Przyczyną pożaru było nieostrożne obchodzenie się z ogniem przez dzieci.

1925, nr 138, 20 V. Probostwo Tarnogóra przy stacji Izbica Krasnostawska wydzierżawi duży sad gatunki bardzo dobre. Wiadomość na miejscu.

1925, nr 140, 22 V. Krasnostaw. Projekt p. Prezydenta Rzplitej, co do renowacji obchodów 3-ciomajowych spotkał się w naszym mieście z szczerą radością. „Święto radości” przy pięknym, wiosennym dniu udało się znakomicie, prawdziwie rozjaśniło wszystkim czoła, wlało w nas poczucie Mocy i pozostawiło po sobie miłe wspomnienia. Tym razem miasto, zwykle ciche i jakoby „umarłe” nieporównanie się ożywiło i rozruszało. Powstał miejscowy Komitet z burmistrzem Z. Migurskim na czele, który świetnie ułożył program i zabrał się również sprawnie do zrealizowania. Wieczorem dn. 2 maja udekorowano i iluminowano budynki. Na uwagę zasługiwał magistrat, tonący w girlandach świateł elektrycznych, park miejski, gmach gimn. męskiego i szkoła zawodowa żeńska. O godz. 9 i pół odbył się capstrzyk z udziałem wojska, straży ogniowej i organizacji dokoła placu 3 Maja. W dniu następnym o godz. 7 z wieży magistratu odtarbiiono pobudkę, poczem orkiestra miejska odegrała pieśni narodowe w różnych dzielnicach miasta.

O godz. 10 odprawili się Msze św. jedna w kościele paraf., druga polowa na placu przed kościołem. Tu zgromadziły się szkoły z nauczycielstwem i sztandarami, wojsko, organizacje oraz wielkie zastępy włościan. Kazanie wygłosił ks. Marusa, podnosząc moment ustanowienia święta Królowej Korony Polskiej w dn. 3 Maja. Po nabożeństwie ruszył pochód kierowany przez p. F. Wdowickiego jako mistrza ceremonii. Kolorowy wąż sunął przez ulice Żółkiewską, Ogrodową, Lubelską i obszedłszy w defiladzie park, ustawił się przed gmachem magistratu. O godz. 12 zadźwięczały z wieży tony hejnału, a chór amatorski pod batutą p. Anusiewiczza odśpiewał z balkonu pieśni patriotyczne. Następnie przemówił prof. gimn. Bąk, charakteryzując znaczenie Konstytucji 3 Maja i kończąc okrzykiem na cześć Rzplitej, który młodzież gromko podchwyciła. Po odśpiewaniu „Roty” rozwiązano pochód na ul. Lubelskiej. O godz. 3 popoł., jako główny wyraz „radości”, odbyła się na placu obok Syndykatu rolniczego, na którym projektowana jest budowa małego stadionu sportowego, wielka zabawa ludowa z bezpłatnym wstępem. Program jej wypełniły przede wszystkim zawody lekkoatletyczne młodzieży gimn. i popisy wojskowe poza całym szeregiem niespodzianek jak huśtawki, koła szczęścia, strzelnica, obóz cygański z wrózkami, zorganizowany przez uczennice szkoły zawodowej żeńskiej itd. Do zawodów lekkoatletycznych weszły skoki w dal i pchnięcie kulą, bieg 800 m. na szybkość i 3.000 m. na wytrzymałość. Wojskowi popisywali się jazdą konną i szermierką na bagnety. Przez cały ciąg zabawy przygrywała orkiestra. O godz. 9 po wieczornym apelu wyczerpano program. Z gmachu szkoły żeńskiej wyruszył przy dźwiękach orkiestry bajeczny korowód bogiń i rusałek, cały w czerwonej łunie sztucznych świateł, rozrzucających perły iskier. Rozentuzjasmowani widzowie nagrodzili wykonawczyń rzesistymi, długimi oklaskami. W portyku iluminowanego magistratu odtworzyły uczennice szereg efektownych żywych obrazów. Na koniec w sali straży ogniowej odbyła się późnym wieczorem zabawa taneczna, na której bawiono się długo i ochoczo. Tak mile i wesoło zeszedł ów dzień, że słusznie nazwać go można „świętem radości” w odrodzonej Polsce. Za ten program i jego piękne wykonanie należy się komitetowi serdeczna podzięką. H.T.

1925, nr 142, 24 V. Z kroniki pożarowej. (z) Dnia 19 maja b.r., około godz. 7-ej po poł. we wsi Małochwiej, gm. Krasnystaw, tegoż powiatu powstał pożar w zabudowaniach gospodarskich, należących do Jana Wożakowskiego. Pożar powstał od zewnątrz stodoły i przerzucił się następnie na sąsiadującą ze stodołą - oborę, oraz dom mieszkalny. Akcja ratunkowa zdołała szybko pożar zlokalizować w ten sposób, że uratowano dom do zrębu. Spaliła się krowa, należąca do Andrzeja Chwaszcza. Straty na ogólną sumę około 700 złotych. Jak stwierdzono na podstawie dochodzeń, przyczyną pożaru było nieostrożne obchodzenie się z ogniem przez bawiące się zapalkami dzieci.

1925, nr 143, 25 V. Dnia 15 czerwca 1925 r. o godzinie 12 w południe w lokalu D.L.P. w Radomiu przy ul. Lubelskiej 53 odbędzie się licytacja na sprzedaż z Nadleśnictwa Krasnystaw 894.66 m³ drewna użytkowego sosnowego. Informacji udziela D.L.P. w Radomiu oraz Nadleśnictwo Krasnystaw, gdzie też można obejrzeć materiały przeznaczone do przetargu.

1925, nr 144, 26 V. Aresztowanie zabójcy Barana. (z) W miesiącu lutym r.b. donosiliśmy o dokonaniu zabójstwa na osobie Feliksa Barana, mieszkańca kolonji Różki, gminy Żółkiewka, pow. krasnostawskiego. Obecnie śledztwo policyjne natrafiło na ślad zabójcy: w dniu 24 lutego b.r. o godzinie 7-ej wieczorem, wystrzałem z broni myśliwskiej z ręki nieznanego zabójcy przez okno mieszkania - padł trupem Feliks Baran. Władze policyjne rozpoczęły pościg za zbiegłym mordercą. Śledztwo jednak przez pewien czas nie dawało wyników. Wreszcie zdołano ustalić, iż zabity Baran w rozmowie z sąsiadami często wyrażał się, że wiadomą mu jest osoba zabójcy Zwierza, który zastrzelony został w roku 1920 przez niejakiego Leona Mączka. Baran obawiał się by i jego Mączka nie zabił, chcąc pozbyć się świadka zbrodni przed pięciu laty. Mączka został w dniu 15-m marca r.b. aresztowany i wraz z dochodzeniem przekazany Sędziemu Śledczemu na powiat krasnostawski, jako silnie poszlakowany o zabójstwo Barana. Mączka stanie niezadługo przed sądem.

1925, nr 146, 28 V. Groza napadów bandyckich. Uciążliwa praca i wysiłki policji sprawiły, że od dłuższego już czasu mieszkańcy ziem województwa lubelskiego nie byli niepokojeni ciągłymi

napadami band rozbójniczych. Aliści stan ten przeminął z chwilą nastania ciepłych dni majowych. Bandyci zorganizowani w szajki o większej sile lub też grupowani w niewielkiej liczbie rozpoczęli grusunek, mając tę dogodność, iż z wielką łatwością mogą ukrywać w gąszczach leśnych, albo wprost na polach w zbożu. Ostatnio trzy powiaty województwa stały się widownią napadów rabunkowych, zuchwałych i śmiałych. Bardziej zuchwały i świadczący o rozwydrzeniu bandyckim napad miał miejsce w nocy z 24 na 25 b.m. o godz. 2-ej we wsi Podwysokie gminy Skierbieszów, na pograniczu powiatu krasnostawskiego i hrubieszowskiego. Na zagrody włościańskie Adama Wojtasiuk i Anny Wojtasiuk dokonało napadu dwu uzbrojonych w krótkie karabiny bandytów w maskach, którzy po uniemożliwieniu domownikom ucieczki i obezwładnieniu ich, rezultatem było zrabowanie 19 złotych w gotówce, 70 funtów sadła, 4 pudy żyta i drobiazgów wartości ogólnej około 300 złotych. Dokonawszy rabunku bandyci zbiegli w kierunku wsi Grabowiec pow. hrubieszowskiego. Posterunki policyjne wszczęły pościg za bandytami. W.

1925, nr 147, 29 V. W objęciach piorunów i ognia. Nie dość, że mamy prawie nieprzerwany łańcuch pożarów wynikłych wskutek podpałów, nieostrożnego obchodzenia się z ogniem, letnie i wiosenne burze rokrocznie zbierają niemniej obfite łupy, zabierają ponadto nie jedną ofiarę ludzką. Szalejąca sobotnia (23 b.m.) burza, przeciągnęła nad niektórymi powiatami rozsiewając dokoła morze zniszczenia. Czego bowiem nie dokonał obfity deszcz spływający potokami po polach i drogach, dokończyły pioruny pastwiąc się nad zagrodami wieśniaczemi, drzewami i t.p. Przeciągająca nad powiatem Krasnostawskim huraganowa nawałnica poczyniła znaczne szkody we wsi Wólka Orłowska gminy Izbica; piorun zapalił zabudowania gospodarskie Józefa Kamienieckiego. Pożar objął w oka mgnieniu dom mieszkalny, a szalejący żywioł utrudniał niesienie pomocy. Podczas ratowania zagrożonego budynku powtórnie uderzył weń piorun kładąc trupem Stanisława Kurę zajętego akcją ratowniczą. Grad niebywałej wielkości zniszczył większość zbóż. W czasie powrotu burzy o godzinie 5 po południu we wsi Święcica gminy Olchowiec od uderzenia pioruna wybuchł pożar w zabudowaniach gospodarskich Teodora Forsysiu-

ka, pochłaniając dom mieszkalny, obórkę, sprzęt domowe, zboże i inwentarz żywy. W.

1925, nr 162, 14 VI. Kurs pożarniczy w Krasnymstawie. W dniach od 2 do 7 czerwca b.r. staraniem Wydziału Powiatowego został zorganizowany w Krasnymstawie 5-ciodniowy kurs pożarniczy, pod kierownictwem inspektora wojewódzkiego Straży Pożarnych p. St. Błaszczyka, przy współpracy instruktora Straży p. Furtaka, który w programie swym objął wywłaszczenie teoretyczne i praktyczne. Kurs liczył 28-miu uczestników, rekrutujących się z pośród członków okolicznych Straży Pożarnych oraz z pośród młodzieży wiejskiej tych gmin, w których Straże Ogniove nie istnieją. Celem kursu było zapoznanie praktyczne jego uczestników z narzędziami strażackimi, jak i udzielenie fachowych wskazówek i instrukcji w kierunku zakładania Straży Ogniowych na wsiach. Cel kursu został całkowicie osiągnięty, na 28-u uczestników, świadectwa ukończenia otrzymało 26-ciu. Na zakończenie urządzony został popis kursistów, którzy sprawnie wykonali najrozsadniejsze ćwiczenia strażackie, wzbudzając ogólne uznanie. Popisywała się również straż wojskowa miejscowego garnizonu. (z).

1925, nr 163, 15 VI. Złoty piasek w krasnostawskim. Wieś Antoniówka sensacją okolicy. Do złotodajnej studni ciągnęły tłumy mieszkańców okolicznych. Było to jednak złoto „kocie”. Wieś Antoniówka gm. Gorzków, pow. krasnostawskiego od dwóch z górą tygodni stała się pierwszorzędną atrakcją dla mieszkańców okolicznych wsi, dzięki odkryciu bogatych pokładów złota. Pewien gospodarz kopiąc studnię na gruncie własnym trafił na grubą warstwę piasku lśniącego jak polerowane złoto i srebro. Wśród drobnych ziarenek mieniły się tu i owdzie większe blaszki połyskliwego metalu, skupiając się miejscami w dość grube warstewki. Odkrycie to olśniło zarówno właściciela gruntu, jak i zatrudnionych przy kopaniu studni robotników, wiadomość rozniosła się po okolicy, wywołując niebywałe zaciekawienie wśród jej mieszkańców. Istne procesje, spragnionych ujrzenia pokładów złota dążyły ze wszech stron do Antoniówki. Sprawę zainteresowały się władze. Wzięto próbki i dokonano analizy, która wykazała, że domniemane złoto jest... znaną powszechnie miką. Odkryto więc niewiadomej wielkości „pokłady” miki. Analiza

wykaże o ile odkryty „pokład” miki da się spożytkować. Ralf.

1925, nr 164, 16 VI. 3-letnia Szkoła Przemysłowo-Handlowa Żeńska o Krasnymstawie Działy: Ogrodniczy, Przemysłowy, Handlowy. Klasy przygotowawcze. Internat dla pozamiejscowych. Wpisy: 22, 23, 24 i 25 czerwca b.r. Egzaminy: do kl. przygot. 22 i 23, do kl. II 24, do kl. I 25 czerwca. - Do podania o przyjęcie do szkoły należy załączyć metrykę, ostatnie świadectwo szkolne i świadectwo zdrowia. Dyrekcja.

1925, nr 165, 17 VI. Łup koniokradow w ręku policji. (e) W dniu 4 czerwca r.b. we wsi Wólka, gm. Czajki, pow. krasnostawskiego u podejrzanego Kosa Jana zatrzymano klacz maści gniadej ze żrebięciem miesięcznym. Dochodzenie wykazało, iż Kos klacz tę nabył od nieznanego mu żyda, bez paszportu pochodzenia. Ustalono, że klacz ta pochodzi z kradzieży w pow. Chełmskim. Klacz wraz z dochodzeniem przeniesiono do dyspozycji sędziego śledczego w Krasnymstawie.

1925, nr 167, 19 VI. Wielebnemu Duchowieństwu w Krasnymstawie za życzliwość. Zarządowi Oddziału Z.P.N.5.P. za życzliwość, przyjęcie na siebie kosztów pogrzebu, a Wielmożnemu Panu Inspektorowi Szkolnemu, Nauczycielstwu i wszystkim, którzy oddali ostatnią posługę Ś.p. Franciszkowi Warchołowi składa serdeczne „Bóg zapłać” Rodzina.

1925, nr 192, 15 VII. Nagły zgon. (z) W dniu onegdajszym o godz. 9 m. 30 rano zmarł nagle na stacji kolejowej Lublin - pasażer pociągu osobowego No 922, kursującego na linii Lwów-Warszawa. Przeprowadzone dochodzenie ustaliło - zmarłym okazał się Wincenty Mielnik, kierownik szkoły Powszechnej we wsi Mościska, gm. Rudnik pow. Krasnostawskiego.

1925, nr 205, 28 VII. Zasypani przez piasek. (j) Dnia 24 lipca b.r. o godz. 8 m. 15 robotnicy Choma Michał, lat 32, Paczosa Jan, lat 33 mieszkańcy wsi i gminy Izbica pow. krasnostawskiego zajęci przy nasypywaniu piasku na furmanki dowożącej piasek do nowobudującej się szosy w Izbicy ulegli nieszczęśliwemu wypadkowi. Oberwała się góra piaskowa zasypując robotników. Po natychmiastowym wydobyciu zasypanych miejscowy doktor Sulewski Marjan stwierdził, że śmierć nastąpiła bezwzględnie od ciężaru oberwanej warstwy

ziemi z wysokości 2 metrów. Dochodzenie prowadzi policja.

1925, nr 206, 29 VII. Nie przebrzmiały jeszcze echa wypadku tragicznej kąpeli w Wieprzu, ofiarą, której padła młoda, bo 20 lat licząca dziewczyna, a oto świeży tragiczny wypadek. W dniu 23 lipca b.r. w godzinach wieczorowych mieszkanka przedmieścia Góry miasta Krasnegostawu - 21-letnia Janina z Lucowskich Dziewisz, żona Konstantego - korzystając z upalnego dnia zażywała kąpeli w Wieprzu, naprzeciw stacji kolejowej Krasnostaw. Nagle zaczęła tonąć a zanim nadbiegła pomoc pochłonęły ją zdradliwe fale. Rozpoczęte poszukiwania nie dały wyników. Dopiero po dwu dniach wydobyto zwłoki młodej mężatki. Zdradliwy Wieprz, pełen niebezpiecznych głębin i dołów zbiera w tym roku obfite żniwo. Z.

1925, nr 207, 30 VII. Taxis „Kr. 12” na usługach bandytów. Sensacyjny napad w Izbicy. - Okradziono Urząd Pocztowy i młyn w Tarnogórze. - Korzyści znikome - 50 groszy i złoty zegarek. W dniu onegdajszym, o godz. 9-ej wieczorem, dokonano sensacyjnego napadu rabunkowego na Urząd Pocztowy w osadzie Izbica, oraz młyn w Tarnogórze, pow. Krasnostawskiego. Bandyci w liczbie dziewięciu, uzbrojeni w karabiny, rewolwery i dubeltówki przybyli do Izbicy samochodem osobowym „Kr. 12” (Kraków), zarejestrowanym jako „taxis”. Ofiarą rabunku opryszków padła najprzód urząd Pocztowy w Izbicy, a następnie kantor młyna w Tarnogórze. Bandyci przeliczyli się jednak w swych zamierzeniach. Spodziewali się wielkich korzyści, łupem zaś ich stały się tylko: 50 groszy gotówki znalezione na poczcie, oraz złoty zegarek zrabowany zarządzającemu młynem. Zuchwałemu napadowi przeszkodził plenipotent majątku Tarnogóry - p. Gustaw Korslak, który spostrzegłszy bandytów dał do nich szereg strzałów z rewolweru, na odgłos których nadbiegła pomoc funkcjonariuszy policyjnych. Bandyci widząc nadciągającą pomoc ratowali się ucieczką. Bliższych danych, brak.

1925, nr 209, 01 VIII. Sensacyjne szczegóły napadu w Izbicy. „Głos Lubelski” wysłał umyślnego sprawozdawcę. Odważne zachowanie się żyda i planowa akcja policji. Teren powiatu krasnostawskiego, jak już przed dwoma dniami donosiliśmy, stał się widownią niezwykle bezczelnego napadu bandyckiego, wywołując pośród mieszkańców

niebывałe poruszenie, zuchwali bandyci dokonali zamachu tuż pod boki posterunku policyjnego. Szczegóły zebrane przez nas na miejscu, przedstawiają się z gruntu odmiennie od pierwszych meldunków policyjnych. Podamy je drobiazgowo omówione. Około godziny 9 m. 10 wieczorem dn. 28 lipca r.b. do mieszkania naczelnika Urzędu Pocztowego w Izbicy p. Władysława Suszkiewicza weszło dwóch mężczyzn, zastając w pokoju żonę naczelnika. Zdumiona kobieta, zwróciła się do przybyłych z pytaniem kim są, na które otrzymała odpowiedź: „zbóje” i ujrzała lufy dubeltówki i rewolweru. Sterroryzowaną naczelnikową usadowili bandyci na krześle, prosząc rozkazującym tonem o zachowanie spokoju, poczem jeden z napastników udał się w głąb mieszkania, żądając od układającego się już na spoczynek kierownika pocztu wydania pieniędzy. Nie zbyty z tropu p. Suszkiewicz wprowadził bandytę do urzędu pocztowego otwierając mu kasę, w której znajdowało się zaledwie 50 groszy. Obejrawszy monetę, zbiorczyt ją w pokoju, żądając otworzenia drugiej kasy. Skonfundowany odmową bandyty, pod groźbą użycia broni domagał się kategorycznie wydania pieniędzy. W tym momencie padł w oddali strzał i sploteni rabusie pospiesznie opuścili lokal pocztu. Bandyci ci byli niezamaskowani. Lokal pocztu był oświetlony lampą naftową. Jednocześnie, dwaj inni bandyci, z których jeden był zamaskowany, weszli do znajdującego się w tym samym budynku kantoru młyna w Tarnogórze, domagając się od dzierżawcy młyna Judki Zylbersztejna wydania gotówki. Sterroryzowany i wystraszony Zylbersztein zwlekał z wykonaniem żądania, aż do chwili alarmującego strzału, na odgłos którego napastnicy zaniechali rabunku, ograniczając się do zrabowania złotego zegarka. Udał się do kantoru młyna, a główną rolę zbawcy podczas napadu odegrał 13-letni bohaterski malec, bratanek kierownika urzędu pocztowego Zygmunta Suszkiewicza, który w chwili najścia znajdował się w kuchni. Dzielnego chłopaka, wyskoczył oknem na podwórze, zamierzając zawiadomić posterunek policyjny w Izbicy, odległy zaledwie o 500 metrów. Jednak stojący na czatach w podwórzu członkowie bandy schwytali go, a zaprowadziwszy do kantoru młyna zamknęli. I znowu wyskoczył oknem do ogródka, skąd dotarł do pobliskiego młyna, alarmując montera Ludwika Kosa, a następnie spiesząc

po policję. Zaalarmowany Kos, pobiegł uprzedzić o napadzie właściciela majątku Tarnogóra p. hr. Władysława Smorczewskiego, którego pałac leży vis a vis młyna. Po drodze, natknął się na pleni-potentę majątku Tarnogóra p. Gustawa Korsaka, opowiadając mu o wizycie bandytów. Korsak posiadając przy sobie broń dał kilka strzałów i sygnałem alarmowym używanym w razie pożaru, zaalarmował mieszkańców. Bandyci na odgłos strzałów i alarmu odpowiedzieli kilkudziesięciu strzałami w kierunku ukrytego za drzewem p. Korsaka, a następnie na oczach wyległych z chałup mieszkańców wsi Tarnogóra, rozpoczęli regularny odwrót. W ślad za niezbyt spieszenie uchodzącą bandą rabusiów udali się 4 policjanci, dopędzając powoli kroczących bandytów na odległość kilkunastu kroków. Nieopodal cmentarza spieszył na stację kolejową Szlama Hosman, a zoczywszy idących wdał się z nimi w rozmowę, nie wiedząc, że są bandytami. Chętnie z początku odpowiadający na pytania jeden ze zbirów, wyjąwszy rewolwer nakazał żydowi milczenie pod grozą śmierci. Odważny żyd chwycił jedną ręką napastnika za gardło, drugą zaś za trzymany przezeń rewolwer. Musiał go jednak puścić, otrzymał w lewą rękę silny cios łufą rewolweru. Policjany „pościg” za bandytami trwał do cmentarza, odległego o 1 kilometr, policja cofnęła się i powróciła na miejsce rabunku. Niestłachany napad bandycki i połączone z nim niedołęstwo miejscowego posterunku policyjnego wywołały u ludności Izbicy i Tarnogóry zrozumiałe poruszenie. Przodownik Sagan o Izbickich zajściach w kilka godzin po napadzie, zawiadomiony telefonicznie komendant policji powiatowej p. kom. Sitarz, przybył z Krasnegostawu. Rozesłane telefonogramy przyniosły ten skutek, że w dniu 30 ub.m. rano przybyli z Lublina dwaj wywiadowcy, a wieczorem sam p. Komendant Wojewódzki insp. Galiera w towarzystwie kom. Sitarza i komendanta posterunku Izbica st. przód. Potyrańskiego. Jakoby widziano na kilka godzin przed wypadkami kręcący się w okolicy samochód z Krakowa, Nr. „Kr. 12” i zarejestrowany, jako „taxis”. Wis.

1925, nr 216, 08 VIII. Poświęcenie piekarni spółdzielczej. Płonka pow. Krasnostawski. Dnia 12 lipca wieś Płonka obchodziła uroczystość niezwykłą. Po nabożeństwie w kościele, nasz ukochany i niestrudzony w pracy na niwie społecznej dzia-

łacz, ks. proboszcz Szulborski dokonał poświęcenia, pierwszej na całe nasze województwo piekarni spółdzielczej. Do powstania piekarni przyczynił się w znacznej mierze miejscowy organista p. Opryński. Nowa i pożyteczna instytucja, która powstała w tak zapadłej wiosce jak Płonka, winna być przykładem dla innych wiosek i miast. J. D.

1925, nr 219, 11 VIII. Dnia 4 sierpnia r.b. o godz. 11 m. 30 w nocy we wsi Rokitów, gminy Turobin, pow. krasnostawskiego w zabudowaniach Pawła Bąka wybuchł pożar, od którego spłonęły budynki gospodarskie i dach nad domem mieszkalnym. Straty wynoszą około 10.000 zł. Przyczyna pożaru nieustalona.

1925, nr 221, 13 VIII. Na wygodnych warunkach, terminowo dostarczy Gosp. Nasienne Fajslawice Pszenicę „Złotkę” (oścista, czerwona, wytrzymała na mróz, szkodniki i t.d.) Pszenicę Dańkowską selekcyjną, w 1-szych odsiewach, wyborowej jakości, Gospodarstwo Nasienne Fajslawice poczta Trawniki z. Lubelska. - Lublin - Syndykat Rolniczy.

1925, nr 223, 15 VIII. Ślub. Dn. 15 b.m. w kościele parafjalnym w Wysokiem, pow. krasnostawskiego, odbędzie się obrzęd zaślubin p. Stanisława Stelińskiego, syna p. prezesa Sądu Apelacyjnego w Lublinie Ignacego Stelińskiego i Stanisławy z Kochańskich z panną Marją Żebrowską, córką Konstantego Żebrowskiego, właściciela majątku Łosień, pod Żółkiewką i Władysławy z Kiełczewskich. Młodej parze przyjaciół naszego pisma ślemy najlepsze życzenia długich lat szczęścia.

1925, nr 228, 21 VIII. Dwa zbrodnicze podpalenia. (z) W dniu 18 sierpnia b.r. około godziny 10-ej wieczorem we wsi Zaburzę, gminy Żółkiewka pow. krasnostawskiego na szkodę Adama Pakuły spłonęła sterta pszenicy i jęczmienia. Wartość spalonej sterty poszkodowany oblicza na 1000 złotych. Przyczyna pożaru na razie niewyjaśniona, zachodzi podejrzenie, iż działały tutaj zbrodnicze ręce podpalacza. *** Ujęcie sprawców napadu w Izbicy. Z pośród dziewięciu bandytów, którzy w dniu 28 lipca dokonali sensacyjnego napadu na Urząd Pocztowy w Izbicy, oraz młyn w Tarnogórze, pow. krasnostawskiego - trzech zostało ujętych. Są nimi członkowie słynnej bandy braci Lewandowskich: Tomasz Ulanowski, Antoni Stępiak i Gil. Dochodzenie w trybie doraźnym zostało już

ukończone i bandyci w pierwszej połowie miesiąca września staną przed Sądem Doraźnym. Szczegóły ujęcia niebezpiecznych opryszków podamy w następnych numerach. Z.

1925, nr 230, 23 VIII. Zmiany wśród duchowieństwa diecezji Lubelskiej. Przeniesieni wikariusze: Ks. Franciszek Ściegienny z Krasnegostawu do par. Bronowice w Lublinie. Mianowani wikariuszami: Ks. Andrzej Suchara na rektora i prefekta do Krasnegostawu.

1925, nr 235, 28 VIII. Pościg za bandą braci Lewandowskich. Podczas zarządzanej przez Okręgową Szkołę policyjną obławy - w dniach 23, 24 i 25 sierpnia, na terenach powiatów: biłgorajskiego, zamojskiego, krasnostawskiego i tomaszowskiego - aresztowano ogółem 56 osób, oskarżonych o współudział z bandą przez nadawanie bandytom t. zw. „roboty”, ukrywanie ich przed okiem policji, uprawianie paserstwa i okazywanie wszelkiej pomocy w czasie napadów.

1925, nr 252, 14 IX. Obwieszczenie. Do Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Lublinie Dział A, Tom V, wciągnięto następujące wpisy: dn. 15 czerwca 1925 r. 250. „Jan Treczyński” - biuro artykułów technicznych i elektrotechnicznych „Technomaszyn” siedziba w Krasnymstawie ul. Lubelska.

1925, nr 253, 15 IX. Ś.p. Karol Kałużyński. Syn jego Edward znany w szerszych kołach ziemiańskich gospodarzy w majątku Olszance, powiecie krasnostawskim.

1925, nr 255, 17 IX. Epilog sensacyjnego napadu w Izbicy. Zuchwali napastnicy przed Sądem Doraźnym. Z górą przed miesiącem czasu opisywaliśmy szczegółowo wydarzenia, których terenem stała się osada Izbica w pow. krasnostawskim. Na skutek przeprowadzonego przez policję dochodzenia zdołano z pośród dziewięciu członków bandy, ująć trzech, a mianowicie: Tomasza Ulanowskiego (lat 27), Antoniego Stępnia (lat 37) i Jana Gila (lat 37), wszystkich mieszkańców gminy Stary Zamość. Po ukończeniu śledztwa ci napastnicy stanęli w dniu 10 i 11 b.m. przed Sądem Doraźnym w Lublinie, na sesji wyjazdowej w Krasnymstawie. Rezultatem dwudniowej rozprawy - był wyrok skazujący: Ulanowskiego Tomasza na karę śmierci przez rozstrzelanie, Stępnia Antoniego na 15 lat ciężkiego więzienia z pozbawie-

niem praw stanu, a Gila Jana zwalniający od winy i kary. Obrońca Ulanowskiego wniósł prośbę o ułaskawienie do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, uzasadniając, że napad na dzierżawcę młyna nie pociągnął za sobą dotkliwych następstw, albowiem napastnicy zostali spłoszeni i zrabowali mu tylko zegarek wartości około 100 złotych, a napad na kierownika urzędu pocztowego w Izbicy zakończył się tylko usiłowaniem rabunku. Przychylając się do prośby obrony Pan Prezydent Rzeczypospolitej darował w drodze łaski życie Ulanowskiemu zamieniając mu karę śmierci na bezterminowe ciężkie więzienie. Z.

1925, nr 275, 07 X. Do Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Lublinie Dział A. Tom VI wciągnięto następujące firmy: 280. „Feliks Wdowicki” swój handel towarami galanteryjnymi, sprzedaż pism i materiałów piśmiennych w Krasnymstawie sprzedał Józefowi Leśniewskiemu z prawem używania dotychczasowej firmy do 26 sierpnia 1928 r.

1925, nr 277, 09 X. Lublin ma „szczęście” do fałszywych 50-ciozłotówek. (w) W dniu wczorajszym zatrzymano Ajnsztajna Lipę mieszk. m. Krasnostaw, usiłującego puścić w obieg fałszyfikat 50-ciozłotowy. Dochodzenia wszczęto. *** Napad na kupców w Krasnostawskim. Na drodze wiodącej z Częstoborowic do Piask Luterskich, obok cmentarza za wsią Częstoborowice gm. Rybczewice pow. krasnostawskiego dokonano napadu na: Suszka Jana, Szwarzkierównę Chawę, jej brata Cudyka, mieszk. wsi Stryjna i Zasadę Mieczysława, któremu zrabowano 26 butelek wódki wart. 70 zł. Przeprowadzone dochodzenie ustaliło, że rozboju dokonali uzbrojeni w noże: Banaszkiewicz Stanisław, Skórek Jan, mieszkańcy wsi Pilaszkowice oraz Terentowicz Marjan z Częstoborowic. Sprawców napadu aresztowano. W.

1925, nr 279, 11 X. Ważne dla poszukujących pracy. Robotnicy, którzy chcieliby znaleźć pracę przy budowie szosy Krasnostaw-Żółkiewka, niechaj zgłoszą się do biura pośredn. pracy przy ul. Kołłątaja No 4. Zapotrzebowanie wynosi 30 ludzi.

1925, nr 281, 13 X. Obwieszczenie o przetargu. Wojewoda Lubelski podaje do publicznej wiadomości, że w Lubelskim Urzędzie Wojewódzkim w m. Lublinie przy ul. Niecałej Nr. 14 w dniu 17 Listopada 1925 r. odbędzie się przetarg, poprzedzony konkursem ofert na sprzedaż niżej wymienio-

nych nieruchomości państwowych, pozostających w dzierżawie różnych osób. Gmina Krasnystaw: obiekt wchodzi w skład dóbr państwowych Rońsk: termin expiracji umowy 15 II 1926 r.

1925, nr 302, 03 XI. Przewiezienie zwłok Nieznanego Żołnierza do stolicy dało okazję do żywiłowej manifestacji i hołdu ludności dla bezimiennnej ofiary, złożonej na ołtarzu dobra publicz-

Przestrzeń w ha.	Cena szacunkowa w złotych	Opis nieruchomości	UWAGI
3.3944	33.433	Ziemi pod budynkiem i placem 2,7339 ha, wody 0,6605 ha. Budynki: młyn wodny z przybudówką	Młyn bez wewnętrznego urządzenia
38.5432	78.765	Ziemi: ornej 5.4810 ha, łąk 7.6962 ha, lasu 1.7915 ha, nieużytków 1.588 ha, wody 17.4157 ha. Budynki: młyn czynny z przybudówką, młyn stary nieczynny, domek mieszkalny	

Reflektanci winni wpłacić wadium w wysokości 10% ceny szacunkowej obiektu, oraz złożyć w Lubelskim Urzędzie Wojewódzki do dnia 16 listopada 1925 r. oferty na każdy majątek oddzielnie, w kopertach zapieczętowanych z nadpisem: „oferta na kupno majątku...” Lublin, „19” września 1925 r. Za Wojewodę Lubelskiego Naczelnik Wydziału W. Rachwałd.

1925, nr 295, 27 X. Dla przewozu zwłok Nieznanego Żołnierza ze Lwowa do Warszawy pociąg nadzwyczajny Nr. 920, według rozkładu: Lwów odjazd 1 XI o g. 8.48, Żółkiew 9.59, odj. 10.11, Rawa Ruska 11.23, odj. 11.38, Bełżec 12.22, odj. 12.37, Zawada 14.41, odj. 14.56, Krasnystaw 15.56, odj. 16.11, Rejowiec 16.52, odj. 17.32, Lublin 19.02, odj. 19.17, Puławy 20.19, odj. 20.29, Dęblin 21.20, Garwolin 22.11, odj. 22.26, Warszawa dw. Główny przyj. 2 listopada o godz. 6.05.

1925, nr 297, 29 X. Krasnystaw. Pociąg ze zwłokami N.Ż. przybywa 1 XI o godz. 15.56, zatrzyma się do 16.11. Na dworcu ustawia się z Komitetem uroczystości na czele delegacje władz cywilnych i wojskowych, korpus oficerski, przedstawiciele instytucji społecznych, liczne organizacje młodzieży, stowarzyszenia społeczne, kulturalne i oświatowe, gimnazja i szkoły powszechne, oddział policji i straż ogniowa. Przy trumnie rozciągniętą wartą podoficerowie. Następnie na trumnie złożone zostaną wieńce w następującym porządku: w im. Wojska, Zw. Strz., Rady Miejskiej, Wydz. Powiatowego i Stow. Urzęd. państwowych. Gimnazjum, Kółka Rolniczego, Stow. Młodzieży, Związku Ziemian, Szkół powszechnych, gminy krasnostawskiej i gminy wyznaniowej żydowskiej. W czasie odejścia pociągu wykona szereg pieśni chór gimnazjalny.

nego w chwilach niezwykle ciężkich dla Ojczyzny. W manifestacji tej wzięła udział ludność wszystkich narodowości i wyznań. Duchowni wszystkich wyznań odprawiali modły żałobne. Wśród odgłosów syren lokomotyw i fabryk pociąg, opuszcwszy dworzec główny we Lwowie, posuwał się powoli wzdłuż szpaleru kolejarzy z pochodniami aż po dworzec w Kleparowie. Pociąg zdążył ku najbliższemu postojowi w Żółkwi. Stację, przez które przejeżdżał, przybrane były w zieleń i flagi o barwach narodowych. Na torach działa szkolna i tłumy włościanstwa. Wszyscy w głębokim skupieniu oddają hołd prochom Nieznanego. Na dworzec w Żółkwi zajeżdża pociąg, witany odgłosami syren, maszyn kolejowych, oraz przy dźwiękach orkiestry 6 pułku strzelców konnych. Honory wojskowe oddał spieszony szwadron tego pułku. Obok przedstawicieli władz ze starostą na czele, zjawili się na dworcu delegacje stowarzyszeń i działa szkolna, która po złożeniu wieńców defilowała przed trumną. Następny postój w Rawie Ruskiej. Stację zaległy tłumy publiczności i młodzieży. Garnizon z orkiestrą oddaje honory, delegacje składają wieńce. Minąwszy Bełżec, gdzie okoliczna ludność manifestowała licznym udziałem swoje gorące uczucia, pociąg wjechał na ziemię zamojską. Wszędzie tłumy ludności. Pierwszy postój przypada w Topolczycy. Zgromadzone delegacje z okolicy złożyły wieńce, poczem pociąg ruszył ku Zawadzie, gdzie tysięczne rzesze wraz z garnizonem zamojskim i młodzieżą szkolną ze wzruszeniem oczekiwały nadejścia pociągu. Duchowieństwo katolickie i prawosławne odprawiło krótkie egzekwie, poczem stos wieńców od delegatów odebrał komendant pociągu gen. Marjański. W Krasnymstawie imponująca manifestacja. Rejo-

wiec był miejscem, gdzie olbrzymią manifestację urządziła ziemia chełmska. Kilka tysięcy włościąstwa i działwa szkolna przedefiniowały przed trumną. Ustawiona była również kompanja honorowa z Chełma. Wyrazem uczuć obywateli tej ziemi był srebrny wieniec z poślaczanemi szarfami, który delegacja ze starostą chełmskim p. Miedzybłockim na czele odwiozła do Warszawy. W Krasnymstawie jakiś kobiecina zaplakana złożyła skromny wianuszek roślinny, jakby na grób syna poległego, a którego grobu odnaleźć nie może. W Zawadzie po pokropieniu trumny przez kapłana katolickiego rzewną panichidę odśpiewał ksiądz prawosławny Łazuka. Na kilku stacjach rabinili bili czołem przed trumną. W Trawnikach młodzież szkolna przyjęła przejeżdżający pociąg na kolanach. Wszędzie występowało wojsko, z miejscowych i okolicznych garnizonów, zaciągało honorowe posterunki przed wagonem ze zwłokami, wystawiało kompanje honorowe z chorągwiami i orkiestrą. Korpus oficerski stawał w komplecie. Oto krótki przegląd tego, co w drodze do Lublina: Bełżec - Baon 9 pp. z mjr. Sudolem. Zawada - gen. Fabrycy, d-ca dyw. płk. Ostrowski, d-ca 9 pp., ppłk. Cechak d-ca 3 p.a.p. i mjr. Grabowski, d-ca kadry 14 p. uł. Krasnostaw - Kpt. Stobelski z kompanją szkoły łączności. Rejowiec - Płk. Chmurowicz, d-ca 2 p.a.c. i ppłk. Menderer, d-ca 7 pp., którego kompanja w nadzwyczaj sprawnym sposobie prezentowała broń. Następne postoje uroczystości odbyły się w Puławach, Dęblinie i Garwolinie. Szczegółowe sprawozdanie z uroczystości zamieścimy w następnych numerach, od specjalnego wysłannika „Głosu Lubelskiego”, który towarzyszył pociągowi przez Województwo. S.

1925, nr 305, 06 XI. Cenne wykopalisko w Krasnostawskim. We wsi „Krakowskie-Przedmieście” (?) natrafiono na urnę pełną złotych monet polskich. Adam Jakubiec, zam. we wsi Krakowskie Przedmieście, pow. krasnostawskiego nie marzył zapewne o szukaniu skarbów. Ot zwyczajnie - zwykły przypadek sprawił, iż znalazł skarb. Chłopisko zabrał się do kopania dołu na... kartofle. Gospodarz odgrzebał ziemię i o dziwo... oczom jego ukazał się szerniały garnek, szernie zaślepiiony, podobny do urny. Niezmiernie przejęty udał się z wykopany naczyniem do swej małżonki. Z rozbitego naczynia posypały się „błyszczące blaszki”. Zawiedziony gospodarz, nieświadom

wartości znalezione go skarbu, rozdał „błyszczące blaszki” sąsiadom w prezencie, a dzieci również dostały po kilka blaszek do zabawy. Wiadomość o wykopany skarbie doszła do tamtejszego post. Pol. Policja zajęła się niezwłocznie wycofany z rąk nieświadomych ludzi, zabytków przeszłości. Zdołano odnaleźć tylko 31 szt. i 2 większych złotych monet, zakonserwowany, w jak najlepszym stanie i pochodzących z lat 1470, 1619 i 1660. Obecnie trudno jest stwierdzić, jaką ilość monet zawierała urna. Monety wraz z kawałkami rozbitego naczynia przesłano do Wojew. Urzędu oddział Konserwacji i sztuk. W.

1925, nr 309, 10 XI. Przebieg uroczystości oddania hołdu zwłokom „Niezanego Żołnierza”. Krasnostaw. Dla uczczenia tej tak ważnej dla Polski chwili i godnego powitania zwłok „Niezanego Żołnierza” zawiązał się Komitet obywatelski pod przewodnictwem zastępcy starosty na powiat krasnostawski p. Bronisława Szymańskiego. Ułożono następujący program uroczystości w dniach 1-go i 2-go listopada. W dniu przewożenia zwłok na dworcu w Krasnymstawie już o godzinie 15 zgromadzili się przedstawiciele miejscowych władz, delegacje poszczególnych instytucji i miejscowe społeczeństwo. Wszyscy zajęli wyznaczone dla siebie miejsca na peronie, a więc: Duchowieństwo, Kompanja honorowa, Straże ogniowe z Krasnegostawu i Izbicy, Policja Państwowa, Gimnazjum miejskie, Szkoła Przemysłowo-Handlowa i Szkoły Powszechne oraz delegacie Sejmiku Powiatowego, Rady Miejskiej, Krasnostawskiego Koła Stowarzyszenia Urzędników Państwowych, Związku Ziemian, Kółek Rolniczych, Kółek Młodzieży Wiejskiej, gminy Krasnostaw i wyznaniowej gminy żydowskiej. Przybyła również procesja z kościoła parafjalnego. Dworzec został przybrany stosownie do wielkości chwili przez Dowództwo miejscowego garnizonu. O godz. 13 m. 30 otrzymano wiadomość, że pociąg żałobny wyszedł z Izbicy do Krasnegostawu. Kiedy w kilkanaście minut potem ukazała się sylwetka nadchodzącego pociągu z Białym Orłem na przedzie trębacz odegrał pobudkę. W czasie zaś, kiedy pociąg wchodził na stację pochyłono sztandary, a kapela Straży Ogniowej Ochotniczej z Izbicy odegrała hymn narodowy. Nastrój pośród zebranych zapanował nadzwyczaj uroczysty, że Ojczyzna nasza w tak

podniosły sposób czci i składa hołd Temu, któremu zawdzięczamy nasz byt Państwowy, Niepodległy. Po przybyciu pociągu miejscowy Dowódca p. kap. Stebelski i Starosta Krzyżanowski złożyli meldunki Dowództwu pociągu i zakomunikowali program uroczystości. Ks. Malinowski po krótkich modłach dokonał pokropienia zwłok, a Lutnia pod batutą p. Ambroziewicza odśpiewała pienia żałobne. W imienia wojska złożony został pierwszy wieniec, następnie w imieniu miasta i od ludności powiatu przez Wydział Powiatowy. Następnie przed wagonem ze zwłokami „Nieznanego Żołnierza” odbyła się defilada zgromadzonych instytucji, delegacji oraz ludności, ażeby uprzystępnąć obejrzenie sarkofagu, w którym znajdowały się zwłoki Żołnierza Polskiego. Przy odejściu pociągu kapela zagrała marsza żałobnego. 2-go listopada t.j. w dniu pogrzebu zwłok „Nieznanego Żołnierza” odprawiono uroczyste nabożeństwo żałobne, w czasie którego wygłosił kazanie ks. Marusa. O godzinie 13 na dany sygnał z wieży ratusza, uderzyły dzwony kościelne - nastąpiła minuta, w której ustała praca i wszelki ruch w mieście, a Krasnystaw połączył się myślą z całą Polską. O godzinie 17 społeczeństwo miejscowe zgromadziło się na cmentarzu pod pomnikiem „Poległych Legionów z 1831 r.”, upiększeniem którego zajęli się Harcerze. Przy świetle pochodni i lampionów Lutnia odśpiewała: Cześć Polskiej Ziemi, Cześć i Skargę, następnie profesor gimnazjum męskiego p. Bąk wygłosił okolicznościowe przemówienie, w którym wskazał na tę ważną w dziejach Polski chwilę, umiłowania Ojczyzny i poświęcenia dla niej, a na zakończenie Lutnia zaintonowała „Rotę”, której słowa podchwycili zgromadzeni i w uroczystym nastroju pieśń rozbrzmiewała wśród mogił zmarłych i poległych bohaterów przed Tron Najwyższego. Besza.

1925, nr 320, 21 XI. Stefan Żeromski (1864-1925). Wczoraj w godzinach rannych po całej Polsce rozeszła się nieoczekiwana wieść, idąca serdeczną ścieżką bólu i żałoby - Stefan Żeromski nie żyje. Ustąpił z planu walki wyczerpany, sterany strażnik dumy narodowej - Maurycy Zych, przestało bić serce nieustraszonego, a walecznego żołnierza - Józefa Katerli...

1925, nr 327, 28 XI. Nowo utworzona parafia dekanatu Krasnostawskiego. Do nowoutworzonej parafii Stężyca wydzielonej z parafii Kras-

nystaw należą wsie: Stężyca, Krupiec, Wincentów, Bzite, tudzież kolonia i dwór Stężyca, zarząd parafii do czasu naznaczenia stałego proboszcza został powierzony proboszczowi parafii Krasnystaw.

1925, nr 335, 06 XII. Władysław Reymont (1867-1925). Spadła na naród polski druga, ciężka żałoba. Zaledwie zwiędły kwiaty nad grobem ś.p. Żeromskiego a oto otworzyła się nowa mogiła. Wczoraj nad ranem po pięćdziesięciu sześciu latach ciężkiego, znojnego życia zmarł w Warszawie, Wielki Pisarz, Wielki Obywatel, Twórca nieśmiertelnej epopei „Chłopi”, laureat nagrody Nobla - Władysław Reymont. *** Po Tygodniu „Akademika”. Żółkiewka. „Tydzień Akademika” przyjęto w całej Polsce ze szczerą życzliwością i ofiarnością. Komitety wojewódzkie i powiatowe robiły, co mogły, aby jedyna impreza na Akademika, loteria fantowa dała możliwie duże zyski. Również i powiat krasnostawski miał swój Komitet Tygodnia Akademika i gdyby nie jeden kardynalny błąd, pozostawiłby po sobie miłe wspomnienie. Błąd Komitetu krasnostawskiego jest grzechem ciężkim, albowiem popełniono go względem osoby powszechnie znanego działacza narodowego, księdza prałata H. Brzozy z Żółkiewki. Zaczyn ten kapłan, dostał od Komitetu Tygodnia Akademika w Krasnymstawie 500 biletów loteryjnych i rozprzedał blisko 400. Wygrane w Żółkiewce fanty miano odebrać w Krasnymstawie. 15 listopada po południu odbiera ks. prałat Brzóz fonogram od Komitetu, że dziś 15 o godz. 5-ej po południu zamyka się sprzedaż biletów, a o godz. 8-ej wydawanie fantów. Żółkiewka oddalona od Krasnegostawu 25 klm, więc trudno dostać się końmi po odbiór fantów na oznaczoną godzinę. Komitet Tygodnia Akademika, oświadczył, że fantów wydać nie może, gdyż już nie posiada, albowiem fanty dla Żółkiewki w drodze licytacji zostały rozprzedane. Ks. prałat Brzoza powrócił do Żółkiewki i oświadczył to tym, którzy oczekiwali na fanty. Komitet krasnostawski wyrządził ks. prałatowi wielką krzywdę. G. L.

1925, nr 341, 12 XII. Nadużycia w Komen-dzie Policji pow. krasnostawskiego. Onegdaj dn. 10 b.m aresztowano w Krasnymstawie urzędnika Pow. K-dy Policji Godlewskiego i posterunkowego Jachniewiczza za sfalszowanie podpisu na rozrachunku dijet służbowych. Miał zostać zawieszony w urzędowaniu Kom. Pow. Krasnystaw. Kaz. Si-

tarz za niedozór służbowy. Stojąc na stanowiska sumienności bezwzględnej tępienia wszelkich nadużyć w służbie publicznej i surowe karanie winnych, chcemy wierzyć, że zawieszenie w urzędowaniu podkom. Sitarza jest tylko chwilowym, gdyż trudno przypuszczać, aby komis. Sitarz, znany na gruncie lubelskim ze swej kilkoletniej działalności w kierunku zwalczania bandytyzmu i wszelkiego rodzaju nadużyć, cieszący się uznaniem władz przełożonych i społeczeństwa mógł dopuścić się takiego uchybienia służbowego, któreby uzasadniało tak wysoki wymiar kary, jaki zastosował względem niego insp. Gallera. Kom. Sitarz został niedawno za wybitne osiągnięcia położone w walce z przestępczością udekorowany srebrnym krzyżem zasługi.

Brak roczników: 1926-1933 w Bibliotece Łopacińskiego i UMCS

Opracował dr Kazimierz Stolecki

*Ze zbiorów Biblioteki Cyfrowej Wojewódzkiej
Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego
w Lublinie
(pisownia oryginalna)
cdn.*



rys. Urszula Gierszon

Elżbieta Rogalska

Wspomnienie Bolesława Lesmana „Leśmiana”

Bolesławie!
Szukają Ciebie teraz wśród gwiazd.
Nie w Ratuszu, nie w Zamościu, nie w Paryżu.
Codzienność przykrył kurz opadły na sławie -
Pod koniec życia, pod koniec zwiedzania miast.

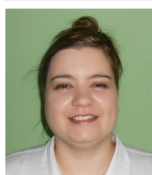
Każdy ma przecież „Łąkę” -
Każdy ją widział choć raz w życiu.
Choć „Przemiany” następują dynamicznie,
A Antoni Eisenbaum spogląda w półokręciu.

Młody chłopiec - 10 świeczek na torcie;
A już poznał żaloby uczucia,
I niebawem macochę,
Z nieufnością zamknął się w sobie.
I bawił z rodzeństwem, i myślał, i marzył.

Bolesława -
Szukają na wzgórzach zamkowych,
W wąwozach, nad rzeką,
trzymając się Wierzb.

„Niedopita czara” wrywa się,
W końcu sześć części w „Wędrowcu”.
Iłżecki pejzaż - Leśmian zachwyił się,
Kamienne ruiny i zwałiska zamku.

Tam szukać Leśmiana!
Tam gdzie baśnie i magiczne księgi;
„Kleś sezamowych” smaku poznania,
Śpieszą „Baśni o Alladynie i o lampie cudownej” -
Wśród czerwieni i cegieł, w pomarańczach.
„Przygody Sindbada Żeglarza” - promieniście,
Wędrujące po francuskich polach.



Elżbieta Rogalska doktorantka pedagogiki Uniwersytetu Szczecińskiego. Członek Pracowni Badań nad Twórczością Joanny Kulmowej. Autorka publikacji naukowych („Qualitative Inquiry”, „Kultura-Społeczeństwo-Edukacja”, „Studia Edukacyjne”, „Pedagogika Szkoły Wyższej”, „Nauczyciel i Szkoła”, „Kognitywistyka i Media w Edukacji”), literackich („Nestor”) oraz ponad 76 publikacji popularnonaukowych.

Nagrody

Prace z XVIII powiatowego konkursu „Legenda ziemi krasnostawskiej” organizowanego przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie

Nagrody:

1. Patryk Dobosz „Legenda o kłęzącym drzewie”, Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie
2. Magdalena Frańczuk „Legenda o Białej Pani”, Szkoła Podstawowa w Krupem
3. Robert Kozioł „Sercowe drzewo”, Szkoła Podstawowa im. Powstańców Styczniowych w Fajslawicach
4. Rafał Krzywicki „Legenda o tym, jak powstała wieś Wiśniów”, Szkoła Podstawowa w Gorzkowie
5. Konrad Malesza „Opowieść o dobrym księciu Siennickim”, Szkoła Podstawowa im. ks. Jana Twardowskiego w Siennicy Nadolnej
6. Cezary Puławski „Legenda o przekształceniu osady Majdan w wieś Bogusław”, Szkoła Podstawowa w Gorzkowie.

Wyróżnienia:

1. Agata Choma „Krasna Stawia”, Szkoła Podstawowa nr 1 im. Adama Mickiewicza w Krasnymstawie
2. Oliwia Hawryluk „Legenda o miejscu bżami pachnącym”, Szkoła Podstawowa im. ks. Jana Twardowskiego w Siennicy Nadolnej
3. Paweł Rybczyński „Legenda o tajemniczej dziewczynie z Krupego”, Szkoła Podstawowa im. ks. Jana Twardowskiego w Siennicy Nadolnej
4. Zuzanna Weremko „Legenda o powstaniu Łopiennika”, Publiczna Szkoła Podstawowa w Łopienniku Dolnym
5. Antonina Witko „Cudowna kapliczka”, Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie
6. Szymon Zegar „Jak to z chmielem było?”, Szkoła Podstawowa w Gorzkowie.

Patryk Dobosz

Legenda o kłęjącym drzewie

Dawno, dawno temu, do małego miasteczka Krasnystaw zawiął olbrzym, który pochodził z dalekiej Krainy Małaków. Był bardzo zmęczony, ponieważ przez wiele dni szukał dobrego materiału do wykonania nowej maczugi. Starą stracił podczas potyczek z sąsiadami krainy, w której mieszkał. Gdy przybył do miasta na wzgórzu i dotarł do jego głównego placu, postanowił, że zrobi sobie przerwę. Na miejskim rynku zobaczył rosnące drzewa. Wybrał jedno z nich, wdrapał się na nie. Wygodnie się ułożył i zasnął jak niemowlę.

Wieść o olbrzymim człowieku rozeszła się szybko. Następnego dnia wszyscy mieszkańcy Krasnegostawu zebrali się na rynku. Każdy zastanawiał się, co robi taki olbrzym w tak małym miasteczku. Nagle kolos obudził się, okrutnie ziewnął, aż wszyscy się przestraszyli. Okazało się też, że olbrzym umie mówić i można się z nim porozumieć. Mieszkańcy zapytali go, co on tutaj robi. Stwór na to odrzekł, że nazywa się Gromisław i przybył tu, bo szuka odpowiedniego drewna do wykonania nowej maczugi. Okazało się też, że nie jest groźny, ale raczej przyjaźnie nastawiony do mieszkańców małego grodu. Po krótkiej chwili zapytał ich, czy by mogli mu pomóc i czy wiedzą, gdzie rosną solidne, twarde drzewa. Wówczas jeden z mieszkańców powiedział, że na rynku rośnie jedno takie, które ostatnio zaczęło obumierać. Nie zdobi już tak miasto i można się go pozbyć. Już tej wiosny nie wypuściło wielu gałązek i zielonych listków. Wszyscy wiedzieli, o jakie drzewo chodzi. Był to klon.

Gromisław wyjął ze swojej torby siekiere i chciał już zacząć ścinać drzewo. Nagle wszyscy zgromadzeni usłyszeli dookoła siebie szum drzew i cichy głos wydobywający się ze środka klonu. Olbrzym myślał, że się przesłyszał. Wziął jeszcze raz zamach. Wówczas stała się rzecz niesamowita. Drzewo zaczęło się zginać w kierunku ziemi, tak jakby chciało prosić o ulaskawienie. Wszyscy byli tym wydarzeniem bardzo poruszeni. Rozległy się głosy mieszkańców, aby jednak ocalić je. Tak też uczyniono. Gromisława poproszono, aby jednak

nie ścinał go. Ludzie wystali olbrzymia do pobliskiego miasteczka o nazwie Rejowiec, gdzie mieszkali stolarze. Powiedzieli mu, że na pewno znajdzie się tam ktoś, kto przygotowuje mu dobry materiał do wykonania maczugi. Poruszony całym zajściem olbrzym zgodził się. Dostał od mieszkańców Krasnegostawu zapas jedzenia i udał się w drogę.

Zaś z drzewem stała się rzecz niesamowita. Wypuściło nowe gałązki i zielone liście. Jednak już nigdy się nie wyprostowało. Klon pozostał w pozycji klęczącej. I tak każdego dnia, kiedy mieszkańcy przechodzili przez rynek, widzieli klęczące drzewo. Jednak już nikt nie zaproponował, aby się go pozbyć. Drzewo przypominało im, o tym, co chcieli z nim uczynić.

Okazały klon rośnie do dziś. Ma się dobrze, co roku wypuszcza nowe gałązki i listki. Swoim widokiem cieczy mieszkańców. Można go podziwiać na rynku w Krasnymstawie.

*Patryk Dobosz
Szkoła Podstawowa nr 3
w Krasnymstawie*

Magdalena Frańczuk

Legenda o Białej Pani

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami, na malowniczym wzgórzu otoczonym borem, rzekami i stawami, położona była osada ludzka o nazwie Krupe. Stał tam piękny zamek, którego właścicielem był Paweł Orzechowski.

Człowiek ten był bardzo dobry, dbał o swoich mieszkańców, zaś ci kochali go całym sercem. Wychował po śmierci żony dwóch synów, których inteligencja i dobroć były znane w okolicy. Paweł jednak czuł się samotny, więc postanowił ożenić się po raz drugi. W dwa lata po ślubie, urodziła mu się córeczka Mirosława. Mirka rosła, stała się śliczną i mądrą dziewczynką. Bardzo kochała swoich braci i dlatego spędzała z nimi czas na wspólnych zabawach. Biegała często nad rzekę czy okoliczny staw, aby rozmawiać z rybkami i słuchać ich pięknych, niesamowitych historii przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Mieszkańcy Krupego pokochali piękną pannę. Jako że Mirka miała już dwadzieścia wiosen, jej rodzina rozmyślała o zamążpójściu dziewczyny.

Pewnego dnia dziewczka, idąc nad staw, zobaczyła młodzieńca. Podeszła i zagadnęła do niego. Urzekła ją smutna historia Henia, bo tak na imię było młodzieńcowi. Okazało się, że był on biednym rybakiem, którego wychowały siostry. Od tamtego dnia para codziennie spotykała się nad stawem.

Lata płynęły, a ich tajemnicza miłość kwitła. Mirosława postanowiła opowiedzieć ojcu i matce o swoim wybranku. Gospodarz Krupego nie był zadowolony z wyboru swojej córki, wszakże miał dla niej innego kawalera. Na nic zdały się próśby i groźby rodziców, nawet pomimo tego, że miała wielu adoratorów, ale ona swe serce tylko jednemu - Heniowi spod Krupego oddała. Cała okolica z niecierpliwością czekała na ślub. W końcu ojciec z matką wyprawili huczne wesele na zamku, a wszyscy goście bardzo dobrze się bawili. Gdy z zamkowej wieży wybiła północ, na cześć młodej pary oddano salwę dwunastu wystrzałów. Przyszła pora na oczepiny, jednak panna młoda, nie wiadomo dlaczego, wybiegła w pośpiechu z sali balowej. Pan młody na próżno szukał świeżo upieczonej małżonki. Nawet wspólne poszukiwania ze służbą nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Dziewczyny już nikt więcej nie widział.

Młoda pani w tę noc wybiegła z zamku nad pobliski staw, aby móc podziwiać przez chwilę piękne, spadające z nieba gwiazdy. Niestety pośliznęła się na mokrej od rosy trawie i wpadła do głębokiej toni. I tak ślad po niej zaginął.

Henio bardzo rozpaczał, płakał całymi dniami i nocami nad utratą ukochanej. Cała okolica pograżyła się w żałobie, bo Mirka dobrym człowiekiem była.

Jej duch - Biała Dama nadal krąży po zamku i przywołuje najdroższego. Legenda o Białej Damie z Krupego jest powszechnie znana miłośnikom warowni. I tak każdej nocy, do dnia dzisiejszego, duch Mirosławy wygląda Henia swego. Współcześnie z zamku pozostały ruiny, a zakochane pary teren ten do potajemnych schadzek sobie upodobały. Czasami, przy dużym szczęściu, spotykają ducha Mirosławy i historii tej pięknej miłości, opowiadanej im przez rybki ze stawu, z zapartym tchem słuchają.

*Magdalena Frańczuk
Szkoła Podstawowa w Krupem*

Robert Koziół**Sercowe drzewo**

Czy widzieliście kiedyś nietypowo uformowane drzewo? Czy zastanawialiście się, dlaczego tak się dzieje, że jedno drzewo wyróżnia się od innych? Z pewnością tak. W Fajslawicach, koło kościoła rośnie takie drzewo. Jest to lipa z sercową koroną, która kryje pewną historię.

Dawno temu, podczas letniego i ciepłego dnia, w okolicach Fajslawic miała miejsce krwawa bitwa. Brały w niej udział wojska rosyjskie i malutkie grupy Polaków. Starcie przebiegło gwałtownie i zakończyło się całkowitą klęską rodaków. Najeźdźcy szli dalej, grabiąc wszystko na swej drodze. Legenda głosi, że na polu bitwy pozostał młody rosyjski chłopiec, który stracił przytomność i był uważany za zmarłego.

Młodzian ocknął się i nie wiedział, co ma zrobić. W głębi duszy nawet się ucieszył, że go zostawiono, ponieważ nigdy nie chciał walczyć, a do wojska wciągnięto go siłą. Szedł obolały przed siebie, aż dotarł do wielkich drzew i w ich cieniu zasnął. Rankiem obudził go chłód i dotyk dłoni. Spostrzegł nad sobą piękną rudowłosą dziewczynę o fiołkowych oczach. Niewiasta miała na imię Igraszka, mieszkała w Lipnym Dole. Była półsierotą i jedynym dzieckiem pszczelarza Kulbaki, bezwzględniego i bardzo wymagającego człowieka. Wydawało się, że pszczoły kochał bardziej od własnej córki. Dziewczyna, w przeciwieństwie do ojca, była bardzo pomocna, dbała o wszystko i o wszystkich. Kochała ludzi, ponoć jak jej matka. Dlatego nie mogła zostawić rannego, choć był nieprzyjacielem.

Przychodziła codziennie, opatrywała rany, dawała jeść i pić Iwanowi, bo tak miał na imię. W tajemnicy przed ojcem pozwoliła mu spać w stodole, aż chłopiec nabierze sił. Z dnia na dzień Iwan zdrowiał i pomagał dziewczynie w pracach gospodarskich pod nieobecność srogiego rodzica.

I jak było można przewidzieć, Igraszka i Iwan zakochali się w sobie bez pamięci. Planowali razem przyszłość. Marzyli o wspólnym domu i dzieciach, i o wszystkim, o czym marzą młodzi ludzie. Wiedzieli również, że nikt nie będzie im sprzyjał, gdy mieszkańcy wioski dowiedzą się, kim jest wybranek dziewczyny, zwłaszcza jej tato. Igraszka bardzo miłowała swego ojca. Pomimo wielkiego strachu, postanowi-

ła wyznać mu prawdę o tym, jak bardzo kocha rosyjskiego chłopca. Stary Kulbaka, słysząc te słowa przeklął i wygnał córkę z domu za to, że związała się z Iwanem. Młodzi, mając już tylko siebie, uciekli. Szukali pomocy. Postanowili, że pójdą do proboszcza Boniewskiego i u niego się skryją. Kiedy byli już w pobliżu kościoła, rozpętała się burza.

Ojciec Igraszki nie mógł znieść myśli, że jedyne dziecko zdradziło go w tak okrutny sposób, że córka związała się z wrogiem. Jego gniew narastał i narastał. Stary Kulbaka był już tak wściekły, że przywołał złe moce. Czarna chmura przesłoniła niebo nad Fajslawicami. Rozpętała się burza, tak gwałtowna i silna, że wiatr nagiął drzewa do samej ziemi. Błyskawice rozświetlały niebo, a spadający grad niszczył wszystko na swej drodze. Wszyscy mieszkańcy wioski schowali się w chatach, modląc się gorliwie, aby nie wybuchł nigdzie pożar. Nikt nie spodziewał się, że w tym niespokojnym czasie, ktoś może przebywać na dworze. Młodzi kochankowie przed niszczycielską falą gradu schowali się pod drzewem lipy obok kościoła. Był to błąd, ponieważ w tym samym momencie nastąpił wielki błysk i grzmot. Świetlisty zygzak powędrował prosto ku młodym, rozłupując drzewo na pół. Igraszka i Iwan zginęli.

Ciemne chmury rozwiały się bardzo szybko, tak niespodziewanie, jak się pojawiły. Ludzie wyszli zobaczyć szkody wywołane nawałnicą, ale ku ich zaskoczeniu nie było tak źle. Tylko koło kościoła leżało zniszczone drzewo, a pod jego konarami leżały dwa ciała. Młodych pochowano razem w jednym grobie. Następnego ranka, ku zdziwieniu wszystkich, drzewo, które było rozdarte na pół, w magiczny sposób zostało zespolone, tworząc kształt. Kształt serca.

A co stało się z Kulbaką? Mówią, że oszalał i nikt go już więcej nie spotkał. Jak powiadają starzy ludzie, sercowe drzewo stoi tam od niepamiętnych lat. Czasem stare gałęzie podczas burzy obłamują się, ale zawsze na ich miejsce wyrastają nowe, formując się w ten nietypowy kształt. Niektórzy powiadają również, że duchy młodych żyją w koronie drzewa i czasem słysząc ich szept. Sercowe drzewo jest symbolem prawdziwej miłości ponad wszystko.

*Robert Koziół
Szkoła Podstawowa
im. Powstańców Styczniowych
w Fajslawicach*

Rafał Krzywicki**Legenda o tym, jak powstała wieś Wiśniów**

We wsi, która obecnie nosi nazwę Wiśniów, mieszkał pewien chłop Maciej. Miał on duże gospodarstwo: pole, kury, krowy, konie. Żyło mu się dobrze, aż do czasu, kiedy zapanowała w tej okolicy wielka susza, plony przepadły, nie było nawet czym napoić zwierząt. Wkrótce Maciej musiał opuścić swój dom w poszukiwaniu nowego źródła wody, bo jego studnia zupełnie wyschła, podobnie jak okoliczne źródła i strumyki. Wędrował tak i wędrował, ale nic nie znalazł, zrezygnowany miał już w rozpacz wrócić do domu, gdy nagle natrafił na opuszczony sad wiśniowy, zdziwiło go, że drzewa nie pousychały tutaj i cieszą piękną zielenią, odróżniając się od spalonej słońcem okolicy. Wkrótce znalazł wyjaśnienie tego zjawiska - w sadzie było małe źródelko, które wbrew wszystkiemu nie wyschło. Strumyk, który brał początek w źródle, przepływał przez cały sad, a potem wpływał pod korzenie starego dębu. Chłop bez zastanowienia nabrał wody i napił się. Woda była bardzo orzeźwiająca. Do głowy przyszła mu myśl, że zaopiekowałby się sadem, ponieważ był bardzo zaniedbany, a przy okazji mógłby korzystać ze źródła. Jak pomyślał, tak zrobił. Od samego rana zajmował się koszeniem trawy i przycinaniem gałązek. I tak w kilka tygodni zapuszczony sad zmienił się nie do poznania. Pewnej nocy Maciej zobaczył, że woda ze strumyczka zaczęła dziwnie lśnić. Podeszedł aż do dębu i zobaczył, że w miejscu, gdzie woda wpływała pod drzewo, coś się rusza. Stał przestraszony, a po kilku sekundach wreszcie odzyskał panowanie nad ciałem i próbował wyciągnąć zagadkowy przedmiot z wody - okazało się, że to złoty klucz. Kilka następnych dni zastanawiał się, do jakiego zamku pasuje ów klucz. Znowu podeszedł do dębu i przyglądał się miejscu, gdzie znalazł swój mały skarb. Nagle zobaczył, że tutaj, gdzie odpadła kora był otwór w kształcie dziurki od klucza. Nie zastanawiając się długo, wypróbował złoty klucz - pasował idealnie! Przekręcił raz, drugi i... nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Jednak następnego dnia, ku wielkiemu zdziwieniu zauważył, że pomimo nadal panującej suszy, w okolicy jego sadu zaczęło powracać życie, pojawiła się zieleń.

Zafascynowany tym zjawiskiem pobiegł do sadu, włożył po raz drugi klucz do otworu w starym dębie - na wszystkich drzewach pojawiły się kwiaty, przekręcił jeszcze dwa razy, a gałęzie uginały się od owoców. Urodzaj powrócił na ziemię okolic Gorzkowa, a mieszkańcy znów byli szczęśliwi i bardzo wdzięczni ogrodnikowi. Mijały lata, a z każdym następnym rokiem zbiory były coraz większe, a wiśnie coraz smaczniejsze. Sensacyjna wiadomość o magicznym kluczu rozeszła się po całej okolicy, że sam właściciel Gorzkowa zapragnął zobaczyć ów sad. Oczywiście, nie mógł wyjść z zachwytu. Z wdzięczności, postanowił założyć na tym terenie nową wieś, którą nazwał na cześć ogrodnika i jego sadu wiśniowego - Wiśniowem, a nazwa ta przetrwała aż do dziś.

*Rafał Krzywicki
Szkoła Podstawowa w Gorzkowie*

Konrad Malesza**Opowieść o dobrym księciu Siennickim**

Dawno, dawno temu, we wschodniej części Polski, w pięknej malowniczej okolicy otoczonej lasami, rzekami i różnorodną roślinnością mieszkał książę Roland Siennicki, którego poddani z ogromną sympatią „Małym” nazywali. Jak nie trudno się domyślić, był niewysokiego wzrostu, ale za to posiadał wielką mądrość, był oddanym i dobrym władcą. Roland kochał swą ziemię, a swoich poddanych traktował jak rodzinę. Wspólnie z mieszkańcami prowadził ogrody warzywne, dbał o kwiaty i sady owocowe. W okresie letnim razem zbierali plony i przygotowywali zapasy na zimę. Tak było przez lata, które płynęły spokojnie.

Pewnego ranka, gdy słońce wznosiło się nad drzewami, mieszkańców obudziły dziwne hałasy. Zaskoczeni wyszli przed chaty, a ich oczom ukazał się straszny widok. Nad polami, ogrodami i sadami krążyły wielkie, drapieżne ptaszyska, które zataczając kręgi nad uprawami, to zniżając się, to wzbijając w górę, wydawały przeraźliwe odgłosy. Nagle sfrunęły na pola i zaczęły niszczyć uprawy. W mgnieniu oka z kwitnących wiśni pozostały tylko połamane gałązki, truskawki z krzaków opadły na ziemię i zostały zgniecione. Wszystkie pielęgn-

wane rośliny zostały zniszczone, a ptaków wciąż przybywało.

Przerażeni mieszkańcy zaalarmowali swego księcia, a ten, gdy ujrzał zniszczenia i przerażenie swych poddanych, natychmiast zaczął podnosić wszystkich na duchu i organizować obronę. Nie trzeba było długo czekać, gdy cała okoliczna ludność zebrała się i ściskając w dłoniach łuki z zapasem strzał, bez zwłoki ruszyła przeciwko niespodziewanemu wrogowi.

Nagle napastliwe ptaki rozpostarły skrzydła i z otwartymi dziobami ruszyły w dół, jakby chciały zaatakować samego księcia Siennickiego. Jeden z drapieżników wyraźnie się wyróżniał. Czy to przywódca ptasiego stada? Wtedy jeden z mieszkańców krzyknął w stronę księcia, by ten się schował, i oddał strzał w kierunku ptaka, lecz strzała odbiła się od jego wielkiego dzioba i wbiła prosto w serce księcia. Nic nie można było zrobić. Dzielnym i dobrym władcą zginął.

Mieszkańcom udało się przepędzić drapieżne ptaki, a wieści o dziwnym zdarzeniu i śmierci wspaniałego pana, dotarły do samego króla. Po czasie żałoby mieszkańcy wysłali do stolicy delegację, by prosić króla o nadanie nazwy dla ich ukochanego miejsca. Chcieli uhonorować księcia Siennickiego. Król ich wysłuchał i tak piękna i urokliwa niewielka miejscowość na wschodzie Polski otrzymała nazwę Siennica Królewska Mała. Jest w niej wspomnienie o Rolandzie Siennickim i zgodzie królewskiej.

*Konrad Malesza
Szkoła Podstawowa
im. ks. Jana Twardowskiego
w Siennicy Nadolnej*

Cezary Puławski

Legenda o przekształceniu osady Majdan w wieś Bogusław

Dawno temu, niedaleko Gorzkowa, bo zaledwie 10 km, istniała mała osada o nazwie Majdan. Położona była w dolinie, niedaleko osady Orchowiec. Majdan składał się z kilku gospodarstw. Ziemi należały do majątku Czysta Dębina. Prze-

piękne krajobrazy, czyste lasy pełne zwierzyny sprawiały, że każdy kto tam przybył, pozostawał na zawsze. Mieszkańcy wioski wiedli spokojne i szczęśliwe życie. Pewnego pięknego, słonecznego popołudnia, do osady Majdan przybył całkiem przypadkiem niejaki Bogusław Kretowicz. Był właścicielem ziemskim i urzędnikiem Królestwa Polskiego. Przejeżdżał obok osady Majdan w poszukiwaniu nowych ziem. Postanowił jednak zatrzymać się tutaj na dłużej, gdyż bardzo spodobała mu się okolica. Wszyscy mieszkańcy osady Majdan miło powitali przybysza i ugościli w pobliskiej karczynie, mieszczącej się na początku osady. Zachwycony postawą mieszkańców Bogusław Kretowicz zapytał, czy może zostać tu na dłużej, a może i zamieszkać. Wszyscy się zgodzili i świętowali przyjazd wspaniałego gościa. I tak Bogusław żył tutaj spokojnie, a nawet wkrótce sprawadził swoją wielką miłość Antoninę hr. Kicińską z Kicina herbu Rogala, z którą w 1815 r. wziął ślub w Gorzkowie i wyprawił huczne wesele, zapraszając na nie okoliczną ludność. Mieszkańcom Majdanu bardzo dobrze żyło się pod opieką Kretowicza, który był dobrym zarządcą, gospodarzem i sąsiadem, dlatego wpadli na pomysł, aby nazwać osadę jego imieniem. Jednak Bogusław Kretowicz postanowił wyjechać do wielkiego miasta. Rozżaleni ludzie nie mogli pogodzić się z taką decyzją. Tuż przed wyjazdem Kretowicz udał się na długi spacer po lesie. Nagle, wśród rozłożystych dębów zauważył postać precudnej urody. Toż to sama Najświętsza Panienka! Bogusław przecierał oczy ze zdumienia.

- Jesteś dobrym człowiekiem, ludzie modlą się, abyś z nimi pozostał, liczą na ciebie. Nie zawieź ich. Żyj z Bogiem i przynieś sławę swoim ziemiom. Tu jest twoje miejsce i twojej rodziny...

Podobno chłopci, którzy pracowali w polu widzieli blask na skraju lasu. Kretowicz powrócił do domu i postanowił pozostać, służyć ludziom swoją radą, pomocą i opieką. Bogusław Kretowicz był cenionym, szczerym, pracowitym człowiekiem. Pracował jako sędzia pokoju powiatu krasnostawskiego. Został głównym założycielem wsi Bogusław. Wszyscy bardzo się radowali i cieszyli, że od tej pory będą mieszkać w tak pięknej wsi o nazwie Bogusław. Bogusław zaistniał na mapach dzięki jego założycielowi Bogusławowi Kretowiczowi.

Sam właściciel przeżył tutaj 24 szczęśliwe lata.
Zmarł 7 czerwca 1839 r., przeżywszy 68 lat. Jego
ciało spoczywa w grobowcu na cmentarzu w Gorz-
kowie. Sama wieś istnieje do dziś. A mieszkańcy
są tacy, jak za dawnych czasów - rozmodleni i pra-
cowici, chętni do pomocy i zawsze uśmiechnięci.
Być może to za sprawą cudu, którego doświadczył
Bogusław Kretowicz?

*Cezary Puławski
Szkoła Podstawowa w Gorzkowie*

Książę do ostatnich swych dni był w ukochaną wpatrzony
I „Krasna Stawia” mówił do swojej pięknej żony.

Mieszkańcy Krasnegostawu wciąż pamiętają,
Że jego nazwę pięknej córce rybaka zawdzięczają.
Zaś w herbie dwa karpie na niebieskim tle pływają
I legendę o pięknej miłości przypominają.

*Agata Choma
Szkoła Podstawowa nr 1
im. Adama Mickiewicza
w Krasnymstawie*

Wyróżnienia

Agata Choma

Krasna Stawia

Krasnystaw to miasto nad Wieprzem położone,
Na gruntach wsi Szczekarzew założone.
Z tym miastem piękna legenda jest związana,
Z wielką miłością księcia do córki rybaka powiązana.

Książę litewski w dawnych czasach przybył w te strony,
Przez wójta Szczekarzewa został zaproszony.
To miejsce dawniej z terenów łowieckich słynęło
I to właśnie księcia do dalekiej wyprawy skłoniło.

Na łowach jednak książę przeliczył swe siły
I zbłądził pod wieczór wśród leśnej gęstwiny.
Gdy tak błakał się już zmęczony bez celu,
Ujrzał postać na wielkiego stawu brzegu.

Była to Stawia - córka rybaka tutejszego,
Która pomagała przy łowieniu karpia ojcu swemu.
Promienie zachodzącego słońca w wodzie się odbijały
I jeszcze większego blasku jej pięknej twarzy nadawały.

Gdy książę spojrział w jej piękne oczy pełne zmęczenia,
Utonął w ich głębi i zakochał się od pierwszego wejrzenia.
Dziewczyna też na urok młodzieńca obojętna nie pozostała
I wnet córka biednego rybaka żoną księcia została.

Książę wielką ucztę na zamku w Szczekarzewie urządził
I wszystkich mieszkańców wsi na nią zaprosił.
Na stół podano karpie w pobliskim stawie złowione,
Najcenniejszymi przyprawami świata doprawione.

Małżeństwo w Szczekarzewie zamieszkało,
O dobrobyt jego mieszkańców bardzo dbało.

Oliwia Hawryluk

Legenda o miejscu bzami pachnącym

Dawnymi czasy, jak wieść okoliczna niesie,
przez nasze ziemie, zamieszkiwane przez dobrych
i pracowitych ludzi, przejeżdżał orszak ruskiej
księżniczki, która zmierzała na swój ślub z polskim
królem. Wszyscy dworzanie z przyszłą królową,
w drodze byli już od wielu tygodni. Mijali różne miej-
sca, podróżowali przez lasy i góry. Wszędzie było
pięknie, ale gdy znaleźli się tu, w naszej okolicy,
zachwyt nad urokliwym krajobrazem zaparł dech
podróżującym. Wzgórki, wąwozy, rozległe równiny
skąpane w ciepłym wiosennym słońcu... Cudown-
nie. Coraz bardziej podobała jej się kraina, w któ-
rej miała zostać królową. Księżniczka pomyślała,
że dobrze będzie jej władać tak pięknym krajem
u boku mądrego męża.

Pewnego wieczoru, po długiej i wyczerpu-
jącej całodzienniej podróży, cała świta postanowiła
zatrzymać się na dłuższy odpoczynek. Akurat byli
blisko niewielkiej wioski. Mieszkańcy serdecznie
ugościli księżniczkę i dworzan. Uszykowali wie-
czerzę, przygotowali postania, by noc przyniosła
wytnienie księżniczce i jej towarzyszom.

Rano obudziły księżniczkę promienie słoń-
ca. Była wypoczęta i szczęśliwa. Wyszła przed
chatę i nie mogła się nadziwić temu, co zobaczy-
ła. Wokół kwitło pełno bzów, z których pracowite
pszczoły zbierały nektar. Zapach kwiatów był prze-
cudowny. Księżniczka uznała, że to wyjątkowe
miejsce, a że osada nie miała jeszcze nazwy, po-
stanowiła, że będzie to Bzite.

Księżniczka cały dzień zwiedzała okolicę. Podziwiała malowniczą osadę. Widziała małe chatki i biegające dzieci bawiące się w berka. Tujejsze jedzenie było przepyszne. Najpierw spróbowała kapusty, a potem rogali, które tak bardzo jej posmakowały, że kazała swojej służbie wziąć przepis od miejscowej gospodyni.

Kiedy kolejnego dnia orszak wyruszał w dalszą podróż, księżniczka obiecała mieszkańcom, iż wróci do Bzitego, bo czuła się tu jak w domu.

Minęły tygodnie. W stolicy odbyły się zaślubiny księżniczki z królem. Jednym z dań na ucztę po królewskim ślubie były rogałe, w których zamakował również król.

Królowa często wspominała gościnnych i serdecznych mieszkańców Bzitego, a król był im niewymownie wdzięczny za życzliwą opiekę nad swoją małżonką, więc wyruszył do wioski, by nagrodzić mieszkańców. To wtedy w wiosce postawiono młyn, który służył wszystkim mieszkańcom.

W 2020 roku, z okazji 600. rocznicy powstania Bzitego odbył się konkurs na upieczenie najsmaczniejszego rogała. Miejscowość się rozrosła i nadal kwitną tu piękne, pachnące bzy.

*Oliwia Hawryluk
Szkoła Podstawowa
im. ks. Jana Twardowskiego
w Siennicy Nadolnej*

Paweł Rybczyński

Legenda o tajemniczej dziewczynie z Krupego

Dawno, dawno temu, gdy jeszcze zamek w Krupem nie był w ruinie, mieszkała tam rodzina szlachecka. W starych kronikach można znaleźć opowieść, że pewnego dnia w zamku wydarzyła się tragedia. Bardzo piękna dziewczyna skoczyła z zamkowej wieży. Cała rodzina, ba - cała okolica pogrążyła się w rozpacz. Nie wiadomo było, co ją do tego skłoniło. Piękną dziewczynę pochowano na miejscowym cmentarzu.

Lata mijały, rodzina i krewni dziewczyny też odeszli, a zamek obrócił się w gruzy. Kiedyś w lochach ruin zamku zaczął pojawiać się duch dziewczyny przecudnej urody. Pomimo strachu,

wielu śmiazków chciało ją zobaczyć. Pewnego razu w okolicy pojawili się dwaj bracia. Zatrzymali się w pobliskiej gospodzie i przy wieczerzy usłyszeli o smutnej historii dziewczyny, która żyć już nie chciała, ale duch jej nie potrafił opuścić rodzinnego gniazda. Zainteresowała ich opowieść o cudnej pannie. Następnego dnia wieczorem wybrali się do zamczyska. Wędrowali po ruinach aż zobaczyli jakieś światło, które się do nich zbliżało. Z poświaty wyłonił się duch szlachcianki.

Kiedy bracia ujrzeli tajemniczą postać, nie mogli się ruszyć z wrażenia, ale też i dlatego, że dziewczyna duch była tak piękna. Nigdy w życiu nie widzieli dziewczyny tak przecudnej urody. Smutna, zjawiskowa postać przemknęła obok nich, unosząc się na obłoku z mgły i rosy. Dopiero kiedy tajemnicza istota zniknęła w lochach zamczyska, ocknęli się i wyszli z ruin. Byli jak nieprzytomni. Rzeźkie powietrze ich ocuciło. Poszli do wioski i opowiadali o pięknej dziewczynie. Jedni im wierzyli, inni nie, ale nikt nie chciał sprawdzić, czy duch ciągle się pojawia. Młodzieńcy już do końca swojego życia pozostali samotni, bo nie mogli zapomnieć o nieziemskiej piękności, którą zobaczyli w krupskich ruinach.

Podobno duch pięknej dziewczyny ukazuje się do dzisiaj, a ten chłopiec, który go spotka, już na zawsze pozostanie samotny, bo żadna dziewczyna nie dorówna urodzie pięknej istocie, która błąka się po krupskich ruinach.

*Paweł Rybczyński
Szkoła Podstawowa
im. ks. Jana Twardowskiego
w Siennicy Nadolnej*

Zuzanna Weremko

Legenda o powstaniu Łopiennika

Dawno, dawno temu, w XIII wieku król Henryk II Pobożny wyruszył w podróż po kraju. Chciał zobaczyć, jak żyje się jego poddanym. Podróżował konno. Miał przy sobie pięciu rycerzy.

W czasie tej wyprawy przyglądał się życiu na wsi. Widział chłopów ciężko pracujących na roli, kobiety krzątające się koło swoich domów i dzieci

biegające po podwórzach. Podziwiał też piękno krajobrazu. Pewnego dnia dotarł do miejsca położonego między dwoma wzgórzami. W tej dolinie był niewielki zamek, a wokół niego rosło mnóstwo jakichś nieznanych mu roślin. Były one wysokie, pokryte kolcami i kwitły na fioletowo. Nie miał jednak czasu, aby się tu dłużej zatrzymać, więc ruszył w dalszą drogę.

Po tygodniu podróży, w drodze powrotnej wstąpił do zamku obrośniętego tymi dziwnymi roślinami. Na jego powitanie wyszedł książę Olgierd ze swoimi dwiema córkami. Król został serdecznie przyjęty i wspaniale ugoszczony. Gospodarz wyjaśnił mu, że ta dziwna roślina, która rośnie dookoła zamku to łopian. Król Henryk został tutaj dwa dni. W tym czasie razem z księciem jeździł do boru na polowanie i bardzo polubił to miejsce. Serce króla też mocniej zabiło do Jadwigi, córki Olgierda. On też nie był jej obojętny.

Król wyjechał, ale ciągle myślał o pięknej Jadwidze. Kiedy załatwił swoje sprawy, wrócił do księcia Olgierda i poprosił o rękę córki. Książę zgodził się i niebawem na dworze królewskim odbyło się wesele. Małżonkowie wyjechali do Krakowa. Ich życie było bardzo szczęśliwe. Doczekali się dwójki dzieci: syna Zygmunta i córki Marii.

Pewnego dnia księżniczka Maria ciężko zachorowała. Ojciec wzywał wielu medyków, ale żaden nie mógł nic poradzić na ból trapiący dziecko. Upłynął już tydzień, a bóle nie ustawały. Kiedy powiadomiono Olgierda o chorobie wnuczki, kazał nadwornym zielarzom natychmiast uwarzyć miksturę z łopianu. Gdy lekarstwo było gotowe, książę wyruszył do Krakowa. Na miejscu zaczął podawać Marysi lek. Na początku nie było żadnej poprawy, ale po trzech dniach dziecko poczuło się troszkę lepiej. Po dwóch tygodniach bóle ustały. Rodzice i dziadkowie byli bardzo szczęśliwi.

Na pamiątkę tego cudownego uzdrowienia król Henryk II Pobożny nazwał to miejsce, w którym rośnie łopian Łopiennikiem, a rzekę, która płynęła niedaleko zamku Łopą. Król rozślał cudowne działanie leku z łopianu na cały kraj. Wielu zielarzy przyjeżdżało tutaj po tę roślinę.

*Zuzanna Weremko
Publiczna Szkoła Podstawowa
w Łopienniku Dolnym*

Antonina Witko

Cudowna kapliczka

Kiedy to było dokładnie, nikt nie pamięta. Na przedmieściach miasta Krasnystaw, gdzie droga prowadziła na Kraków, w chatce niedaleko rzeki mieszkał kowal Jan z żoną. Mieli dwie córki: starszą Zosię i młodszą Małgosię. Wszyscy żyli pobożnie, nikomu nie dokuczali. Kowal codziennie chodził do pobliskiego kościoła dziękować Bogu za zdrowie i spokój w rodzinie.

Pewnego letniego wieczoru, gdy wszyscy spożywali wieczerzę, usłyszeli stanowcze pukanie do drzwi. Zdziwiony kowal Jan otworzył je. W progu stał mężczyzna o śniadej cerze, ubrany był w wytworny strój. Widać było, że nie pochodził z okolic Krasnegostawu. Zapytał, czy mają wolne izby na nocleg. Żona kowala spojrzała na męża, bo on tutaj decydował. Kowal się wahał. W końcu to był obcy człowiek, nie wiadomo, jakie miał zamiary. W domu Jan miał dwie młode córki. Mężczyzna widział, że kowal się zastanawia, wtedy rzucił na stół sakiewkę pełną złotych monet, od których w chacie pojaśniało. Uśmiechnął się chytrze i czekał na odpowiedź.

Wówczas stała się rzecz dziwna. Na ścianie w izbie, w której jadalni posiłki, wisiał obraz Matki Boskiej ubranej w błękitny płaszcz. Otóż ten obraz gwałtownie przesunął się w jedną stronę. Szyba, która go chroniła, pękła. Wszyscy domownicy nagłe poderwali się. Spoglądali to na obcego, to na obraz. Kowal Jan zrozumiał, że tajemniczy podróżny ma złe zamiary. Powiedział, aby opuścić ich dom i szukał dalej noclegu. Nieznajomy uśmiechnął się chytrze i powiedział, że będą jeszcze żalowali, że nie pozwolili mu przenocować. Opuścił ich chatę, jednak na stole pozostawił pieniądze. Kowal Jan zabronił ich dotykać. Klękali całą rodziną przed obrazem Matki Boskiej i modlili się. Koło północy rodzina poszła spać, zaś kowal czuwał całą noc, aby coś złego się nie stało. Dziwna to była noc, raz była cisza, raz słychać było jakieś jęki od strony łąk i rzeki. Kowal bał się okrutnie. Im bardziej się bał, tym mocniej prosił Matkę Boską o opiekę. Aż nastał poranek.

Kowal Jan nie zastanawiał się ani chwili. Wiedział, że moce piekielne w dzień tracą swoje

siły. Zgarnął do wiadra sakiewkę i szybko pobiegł nad rzekę. Wysypał wszystkie czarcie monety do rzeki. Woda w tym miejscu zażółciła się, dookoła zaczęło kipieć. Kowal zaczął się modlić. Po kilku minutach nastał spokój. Rzeką znów wolno płynęła, choć żółty osad w tym miejscu pozostał.

Kowal wrócił do swojej chaty, powiedział żonie i córkom, że to Matka Boska ich uratowała i dlatego nie ulegli pokusie. Na pamiątkę tego zdarzenia niedaleko rzeki wymurował kapliczkę, w której uwiecznił wizerunek Matki Boskiej w błękitnej sukni. Kapliczka do dziś stoi na ulicy Krakowskie Przedmieście. A rzekę zaczęto nazywać Żółkiewką. Dziś tylko nieliczni kąpią się w rzece. Omijają jednak miejsce, w którym kowal wrzucił monety. Podobno czasami błyszczą one w wodzie i kuszą. Odważnych brak.

Do dziś niektórzy ludzie, którzy mieszkają blisko tego miejsca, czasami wieczorami słyszą, jak woda się burzy w rzece. Na szczęście uspokaja ich widok kapliczki z Matką Boską, która sprawuje opiekę nad tutejszymi mieszkańcami.

*Antonina Witko
Szkoła Podstawowa nr 3
w Krasnymstawie*

Szymon Zegar

Jak to z chmielem było

Dawno, dawno temu, ziemię krasnostawską odwiedził król Jan III Sobieski. Zachwycił go tutejszy krajobraz, więc odpoczynek na łonie matki natury w tej okolicy był stałym elementem życiorysu naszego władcy. Faktycznie przyroda obdarzyła te strony bardzo hojnie. Wśród zalesionych wzniesień ciągnęły się piękne, rwące strumyki, rybne stawy, kwieciste łąki i bezkresne pola. Bardzo dorodna roślinność, okazała dzika zwierzyna, najróżniejsze ptactwo, ryby, miododajne pszczoły uczyniły tę okolicę ulubionym szlakiem turystycznym króla Sobieskiego.

Był to władca wyróżniający się wyjątkowym zmysłem artystycznym. Dla jego potrzeb na urokliwym wzgórzu powstała letnia rezydencja. To tutaj rodziły się złote myśli oraz plany przedsięwzięć,

które następnie realizował na szlakach wojennych. Powiadają ludzie, że tuż przed wyprawą wojenną spacerujący król spotkał śpiącego pod kasztanem rycerza. Pogawędzili, odpoczęli, a rycerz (podobno pochodził z Gorzkowa) opowiedział mu swój dziwny sen. Widział miotającego się lwa, fruwać konie, wojnę, krew i powiewający sztandar, na którym triumfował biały orzeł. Doświadczony wojak poczęstował władcę szyszkowym naparem. Twierdził, iż uspokaja, dodaje sił i odwagi, jak również ma magiczną moc. Na pożegnanie ofiarował władcy woreczek szyszek, z dziko rosnących roślin, pnących się po konarach kasztanowca.

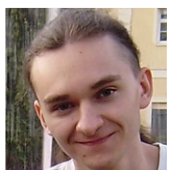
Nadszedł ciężki czas wojen. Armia dowodzona przez króla rzuciła się na Turków, miażdżąc zniechęconego wroga. Okrzykiem radości i oklaskom z okazji powrotu bohatera nie było końca. Po latach, kiedy król znów przybył w okolice Krasnegostawu, zatrzymał się pod starym kasztanowcem. Wspomnił dawne czasy i przepowiednię rycerza. Na jego cześć nakazał miejscowej ludności zająć się uprawą rośliny, która wyglądała imponująco, a w dodatku mogła przynosić zyski ludności. Tak też się stało, a pola okolic Krasnegostawu zazieleniły się soczyste chmielowymi uprawami.

Minęło wiele stuleci, ale podobno pod starym kasztanem, kiedy zajdzie już słońce, pojawia się postać śpiącego rycerza. Zbroja zardzewiała i porośla mchem. Legenda głosi, że nadal słychać jego chrapanie i dźwięk pracującej zbroi, ponoć najwyraźniej w czasie corocznego święta chmielu.

*Szymon Zegar
Szkoła Podstawowa w Gorzkowie*



rys. Urszula Gierszon



Bartłomiej Chudoba - ur. 23 października 1997 r. w Lublinie, mieszka w Chełmie. Píše reportaże, wiersze, akrostychy, teksty piosenek. Interesuje się literaturą grozy spod pióra

H.P. Lovecrafta oraz Stephena Kinga, historię poprzedniego wieku, muzyką metalową z lat 80. i początku 90. Dawny basista puławskiego zespołu Conveyor. Posiada konto literackie na Instagramie - liryczne_refleksje. Absolwent UMCS.

Bartłomiej Chudoba

Radości ile mi dajesz
Okryć mógłbym się nią cały
Kołysząc śpiewem i opowieściami
Sen staje się miłym przerwaniakiem
A kolejny dzień nowym rozdziałem
Nawet kiedy masz lodowate serce
Arktycznym podmuchem otul mnie

Majestat dawnych bóstw
Istot nadprzyrodzonych
Trwale przekazany do dziś
Opowiadany przez pokolenia
Literacko uwiecznione dzieje
Od starożytnego Egiptu
Greckim Olimpem kończąc
I pozostaje pytanie
A czy to wszystko prawda

Kiedy wokół gniew i ból
Otacza nas
Chodźmy naprzeciw światu
Holdem przed nami niech padnie
A my w swej świętości
Marszem idźmy dalej

Za zdradę
Egoizm
Muszę wymierzyć
Sprawiedliwość
To nieuniknione
A trzeba było uważać

Sznur połączonych wydarzeń
Ekran przedstawia
Realia życia bohaterów
Ile to razy jeszcze
Aktorzy zaskoczą
Losami granych postaci

To nieznana informacja
Absolutnie nikt o niej nie wie
Jedynie oprócz mnie za ją
Echo moich myśli
Ma tak pozostać
Na trwałe
I choćby nie wiem co
Cicho sza
Ani słowa

O niej

Znowu znikasz
Zostawiając kartkę z napisem
Nie ma mnie dla nikogo

Znam Twoją samotność
Za kilka dni wrócisz
I będzie jak dawniej

Oni żyją

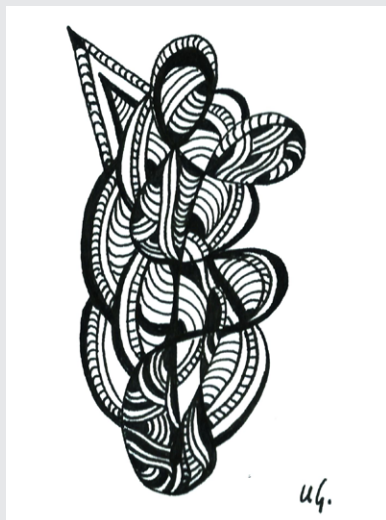
Oni znowu robią to samo
Każą żyć w nowym ładzie

Oni rozwiesili banery
Z podprogowym przekazem

Oni się zamaskowali
I trzeba im się przyglądać

Oni mają białe kołnierzyki
Jakoś trudno im zaufać

Oni żyją
My śpimy



rys. Urszula Gierszon

O nim

Jest podróżnikiem
Wyznacza trasy na mapie myśli
Na zachód od przeciętności

Ma ulubione miejsca
Najchętniej wraca
Pospiesznym do indywidualizmu

Nienazwane uczucie

Nie wiem czy to miłość
Czy chęć posiadania
Bycie tłem
Czy jego elementem
Już poczułem to kiedyś
Hamuje mnie i napędza
Wyzwała i więzi
Obawiam się jego
Może tym razem będzie inaczej
Pragnąc i nienawidząc samotności
Tęskniąc i pokazując drzwi
Krzyczę „nie zostawiaj mnie nigdy”
I „nie wracaj tu”
Nie umiem się wyrazić
Nie umiem tego nazwać
Tego nieznanego uczucia

Jacenty Jarocki

Opowiadania o zwierzętach



Siwy

Z dzieciństwa, odkąd pamiętam zawsze był Siwy. Mój tata był wielkim miłośnikiem koni, które kiedyś były niezbędne w gospodarstwie. Ale Siwy był szczególnie doceniany i wyróżniany. Był koniem niezwykle mądrym. Nie wiem akurat, czy takie określenie można przypisać do konia, zatem podam przykłady. Siwy chyba wiedział, że musi pracować. W orce, czy w innej pracy zawsze strofował swojego towarzysza, że w parze musi wkładać swój wysiłek pospół. Drogi bite w owym czasie były nieliczne, ale Siwy zawsze wiedział, że nawet bez powożenia musi prowadzić wóz po prawej stronie szosy. Od czasu do czasu na drodze pojawiały się samochody, których Siwy się nie bał, jak inne konie.

Jedno zdarzenie szczególnie pozostało w mojej pamięci. Całą rodziną wybraliśmy się na wesele do Równianek położonych od Borowa mniej więcej 6 km, ale odległość nie ma tu znaczenia. Było to lato - może czerwiec, a może początek lipca. Na weselu, jak to na weselu, alkoholu było sporo. Mój tata nie miał głowy do alkoholu, a na pożegnanie było „to na jedną, to na drugą nogę, to za ciocię itp.”. W rezultacie ledwie doszedł do wozu i tam padł. Wujek Czesio miał mocniejszą głowę i zamierzał powozić. My z mamą i ciocią Krysią zajęliśmy tylne siedzenie na furmance i usnęliśmy natychmiast. Wujek Czesio niewiele się zastanawiając, uwiązał lejce do siedzenia i też natychmiast usnął. Siwy postąpił trochę i widząc co się dzieje, wziął sprawy w swoje ręce, czyli nogi. Droga z Równianek do Borowa to nie prosty odcinek, lecz labirynt polnych drózek poprzecinanych licznymi wąwozami, gdzie spadki drogi są znaczne. Kto umie powozić wie, że jeśli wóz zjeżdża z pochyłości, należy ściągnąć lejce, żeby konie powolutku hamowały, nie dopuszczając do osiągnięcia dużej prędkości, bo to się może skończyć katastrofą. Siwy to wszystko przewidział i dowiózł nas szczęśliwie do domu. Zatrzymał się na podwórku

przed domem i czekał. Zobaczyła to sąsiadka, która szła doić krowy, bo było już widno. Obudziła męża krzykiem, że na podwórku stoi wóz, na którym wszyscy poumierali, co oczywiście nie było aż tak tragiczne.

Siwy bardzo się zestarzał. Ciężko już było mu podolać obowiązkom. Zwykle w takich przypadkach konie sprzedawano na mięso. Tata na to by nigdy nie poszedł. Któregoś dnia odwiedził nas wujek Janek Mojski z Krasnegostawu, również miłośnik koni. Wujek przyjechał z propozycją i mówi do mojego taty: „Olesiu, zrobimy tak, ja na lato dam ci swojego konia w zamian za Siwego. W lecie nie mam dużo roboty [wujek miał wóz, którym świadczył usługi przewozowe w Krasnymstawie] i praca nie jest ciężka, nie wozę ciężkich przedmiotów, a węgiel zaczynam wozić gdzieś w październiku, to się znowu wymienimy”.

Tata przysłał na propozycję wujka i Siwy pracował dużo mniej w Krasnymstawie. Pewnego dnia rano tato wychodzi na podwórek, patrzy - a tu Siwy stoi pod stajnią. Okazało się, że Siwy przegryzł powróż, na którym był uwiązany, otworzył drzwi od stajni i z Rejowieckiej przewędrował raniutko przez cały Krasnystaw, poszedł na skróty przez Niemienice (tam go rano widziano), przeskończył przez bramę w Borowie i był już w domu.

W tej sytuacji tata oddał konia wujka Janka, a Siwego umieścił w stajni. Była to ostatnia noc Siwego u siebie, następnego ranka już nie żył.

Kot

Mieliśmy w domu kota. Był to wprawdzie kot nie za bardzo stacjonarny, bo przez pewien czas przebywał w Borowie, a w pozostałym okresie bywał u mojej prababci w Równiankach. Kot niezwykle, bo był ogromny. Być może z perspektywy dziecka tak go oceniałem. Może była to jakaś krzyżówka z rysiem, żbikiem - nie jestem zoologiem, zatem nie wiem, czy taka ewentualność istniała. A równocześnie był niezwykle łaskawy, nie miał dzikości w sobie.

Kot ten był niezwykle cenny. W obejściu nie miało prawa być choć jednego szczura, myszy w domu też były wyłowione. Miał jednak wielką wadę - był niezwykle żarłoczny. W tamtych cza-

sach kielbasy, szynki, boczki umieszczano w komorze. Wisały na sznurach, w jednym z niewykończonych pomieszczeń w domu. Pomieszczenie było zamknięte, strop stanowiły luźne deski. Kot to wykorzystywał. Potrafił deski rozsunąć, dostać się do pomieszczenia, zeżreć pęto kielbasy lub połać boczku i spokojnie odejść. Trwało to może z rok. Babcia zachodziła w głowę, kto to mógł zjeść te rzeczy, podejrzenie spadało na zięcia, czyli mojego tatę, a nawet na mnie, że gdzieś wynoszę te wiktuały. Ale któregoś dnia kot został przyłapany na gorącym uczynku. Dostał za to od babci niezłe cięgi i już go nie było. Powędrował do prababci w Równiankach. Po miesiącu wrócił, bo w Równiankach został sprany za podobne przewinienie.

Pewnego dnia przyszedł do babci jej kolega, pan Ignacy Krzyżanowski. Była to postać z ogromnym autorytetem. Dzięki niemu wybudowano szkołę w Borowie, poprowadzono szosę przed wojną itp. Pomimo, że z moją babcią byli równo-latkami, mówili sobie per „panie Ignacy”, „pani Mario”. Był to swoisty sprzeciw wobec proponowanej przez komunistów formy „towarzyszu”. Pan Ignacy wyzalił się przed babcią, że cierpi bardzo na korzonki. Wskazał na kota, który wygrzewał się przed piecykiem, że tylko to zwierzę może mu pomóc, ale w postaci skóry na jego plecach. W tym momencie do domu wszedł mój tata, otworzył drzwi, a kot, ni stąd, ni zowąd, z ciepłego pomieszczenia czmychnął na zewnątrz. Babcia była bardzo niezadowolona z propozycji pana Ignacego, lecz takiemu człowiekowi nie można odmówić. Następnego dnia pan Ignacy miał przynieść duży worek i kot, a raczej jego futerko miało być na stałe umieszczone na jego plecach.

Zgodnie z umową pan Ignacy przywędrował z solidnym workiem, lecz kota ani widu, ani sły-chu. Z tego powodu nastąpiło pewne rozluźnienie przyjaźni między moją babcią a panem Ignacym. Kot zgodnie z przewidywaniem powędrował do prababci w Równiankach, nigdy już nie pojawił się w Borowie. Bywaliśmy z babcią w Równiankach, ale kot unikał nas jak ognia, domownicy mogli go głaskać, brać na ręce, ale nie my. Czy ten kot rozumiał ludzką mowę?

Perła

A to już czasy prawie współczesne. Nie mieliśmy w mieście nigdy zwierząt w domu, aż pewnego dnia pojawiła się suczka, którą ktoś bardzo niedobry wyrzucił z 4 piętra. Przygarnęła ją moja koleżanka, która miała ogromnego rasowego psa, więc suczka była dla niej zbędna. Przygarnęliśmy tę sunię, lecz nie dane jej było długo żyć, w Borowie potracił ją samochód. Nie było szans na przeżycie i została uśpiona. Ale żona została już „zaszczepiona”. W ten sposób znalazła się u nas Perła - sunia również kundelek. Kundle są niezwykle czułe i inteligentne. Perła odwodziła się mojej żonie za jej niezwykłą opiekuńczość i serce, które oddawała temu pieskowi.

Będąc już na emeryturze, pracowałem w domu, natomiast moja żona pracowała w Kraśniku. Jadąc z pracy, wysiadała z busa na Poczekajce. Jest to od naszego domu ok. 400 metrów. Zawsze wiedziałem, kiedy żona wysiadała z busa, bo w tym czasie Perła wybiegała albo na balkon, albo pod drzwi, popiskując i ciesząc się, że pani wraca. Zachodzę w głowę, jakie trzeba mieć zmysły, aby z takiej odległości wyczuć czyjaś obecność.

Perła bardzo zachorowała. Była niezbędna operacja, którą przeprowadzono w klinice na Głębokiej. Żona odwiedzała Perłę w klinice. Gdy była jeszcze w autobusie, już sunia cieszyła się, że jej pani jest blisko, a gdy podzdrowiała, to omal klatki nie rozniosła, gdy żona była jeszcze na przystanku. Pani doktor, która operowała Perłę stwierdziła, że rzadko zdarza się taka więź między zwierzęciem a człowiekiem. Perła była z nami 18 lat. Teraz jest Kruczek - też kundel, ale to osobna historia.

Jacenty Jarocki

Wojciech Bieluń-Targosz



z cyklu Parabole

1.
nie potrafię zaufać osobie
którą jestem
nie chcę bez końca analizować
porozumienia emocji i gniewu
tym bardziej że przy każdej wypowiedzi
odkrywam myśl
człowiek zagubił umiejętność
patrzenia na siebie
przechodzenia z surowego świata
do wolności
gdzie wszystko było możliwe

fakt cyklicznego powtarzania
tych samych przemyśleń
był przedświttem
kim dla mnie może być Bóg

2.
od dawna fascynuje mnie
szacowanie ludzi i problemów
jacy jesteśmy za drzwiami
jak daleko ustawiamy granice
dostrzegania nowego ryzyka
wrażliwości na coś
co może zdarzyć się bez kontroli

system akceptacji
stał się transem
podążania za nitką do przeznaczenia
z drugiej strony
nie chciałem uchodzić
za człowieka biernego
miałem dużą potrzebę
demonstrowania gdzie moje miejsce

była to jedyna rzecz
nad którą panowałem

3.
nie mogłem oderwać myśli
od miejsc
w których czułem się bezpiecznie

sam fakt wiedzy
gdzie jest światło
jego koniec i początek

wzmacniał oddawany na papierze porządek
co prawda znalazłem sposoby
na odchodzenie
od powszechnych zwyczajów
nawet usypiania sprzeciwów
to jednak moja wizja świata
stawiała na oddalenie od siebie
uczucia i obowiązku

moja skłonność do rozważań
brała się z potrzeby
bo zawsze istniało ryzyko
jej utraty

4.
zawsze intrygował mnie proces
podtrzymywania emocji
te wszystkie naprawcze sekrety
sprawy o których nie mówi się głośno
intymne więzi
słowa ze słowem
przynależenie do wybranej wersji
dosłowność poglądów
analizy
sen w którym piękna łąka
zamienia się w popiół

cała ta diaboliczność
przypomina układanie puzzli
zamazanych i niewyraźnych
w pokoju poukładanych rzeczy

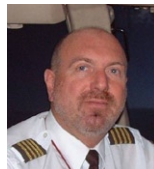
5.
od zawsze byłem zwolennikiem
swobody przepływu pomysłów
zatem nie wyrażałem chęci
na wplątywanie mnie
w oczekiwania innych ludzi
niemniej jednak coraz częściej smakowałem
potrzebę przebywania w zasięgu
niezapisanych scenariuszy
zagadkowych rozwiązań
czy silnych emocji

w myślach które pochłaniały mnie kompletnie
wyczuwałem wywarzony stosunek
do decyzji moralnych podejmowanych
w stanie wolnym od pokus

nie pomniejszały zasług ani odpowiedzialności

Marian Rybczyński

Petarda w helmie



Z cyklu: „Dęblińskie przypadki”

Obudziło mnie szarpanie za ramię. Nade mną stał Mirek „Próchniak” Próchniewicz, który był tego dnia podoficerem dyżurnym. Zanim się dobrze obudziłem, rzucił tonem nieznośnym sprzeciwu:

- Dawaj kubek, ale szybko!

- Jaki kubek? Skąd ja ci wezmę kubek?

A w ogóle to po co? - byłem jeszcze rozespany i nie bardzo wiedziałem, czy jeszcze śnię, czy to już jawa.

- Ot, wygląda na inteligentnego, a wychodzi na to, że gamoń. - „Próchniak” pokiwał z dezaprobatą głową i okrągłym gestem wskazał na kilku kolegów trzymających kubki w dłoniach.

- Oni wiedzieli, że po kolacji kubki trzeba zabrać ze sobą, bo inaczej celebracji nie będzie.

- Słyszeli wczoraj jak mówiłem, że trzeba wziąć? - pytając spojrzał na kolegów, oczekując potwierdzenia. Odpowiedziało mu zgodne skiniecie głowami całego namiotowego towarzystwa.

- Za przestępstwo kara musi być - ciągnął dalej „Próchniak”, jednocześnie napełniając resztę pustych kubków. - Nie dość, że nie dostaniesz porannego przydziału, to jeszcze wieczorem będziesz dźwigał termos (wojskowy miał pojemność 20 l) do leśniczówki i z powrotem. Ruszamy zaraz po apelu wieczornym i żebyś mi się gdzieś nie zawieruszył - prawie mi pogroził palcem. Towarzystwo zgodnym ruchem wykonało czynność podniesienia i przełknąwszy destylat, zgodnie z ludową tradycją, wytrząsnęło ostatnie krople na ziemię.

Z tego, że ominął mnie poranny przydział byłem nawet zadowolony. Po prostu nie cierpiełem wódki w czystej postaci, a bimbru w szczególności, co nie znaczy, że w ramach niewyłamania się z towarzystwa, zdarzało mi się uchybiać swoim upodobaniom. Dzień minął na totalnym nieróbstwie, ponieważ lotnictwo wzięło się za działalność szturmową, a zgodnie z przepisami, żadna inna działalność na poligonie, kiedy używają go samoloty, była absolutnie zabroniona, na wszelki wypadek, w myśl

zasady „człowiek strzela...” itd. Oczywiście w ogóle nam to nie przeszkadzało. Grupa dostała rozkaz „zajęcia stanowisk obronnych wraz z przeprowadzeniem maskowania”. Rozkaz wykonaliśmy natychmiast i bardzo skrupulatnie. Nawet najbardziej przebiegły wróg nie miał szans odkrycia naszych stanowisk obronnych. Pogoda sprzyjała lenistwu i głupim dysputom na zasadzie co by było, gdyby...

- A co by było, gdyby przykryć petardę hełmem? - rzucił Krzysiek Geldner, czyli Jabłko o zbrodniczym pseudonimie „Ichi”.

- To zależy, czy petardę się odpali, czy nie - ktoś stwierdził filozoficznie.

- Te, filozof! Wiadomo, że się odpali, bo inaczej cała robota na nic. - Broniek Borkowski popukał się wymownie w czoło.

- E tam, nic się nie stanie. Jeb... i tyle, tylko po co to robić? Chce się wam? - Tadek „TeBe” Broda był sceptyczny.

- Ja tam aż taki ciekawy nie jestem, a poza tym skąd wziąć hełm, ja swojego nie dam - odezwał się ktoś inny.

- Lepiej leżcie i nie kombinujcie. Żle wam tutaj na trawce? Prawie wczasy mamy, słońeczko świeci. A poza tym jak jeb... to zaraz jakie zmechy przylecą i spokój szlag trafi - Zbychu „Szmyk” Martynowicz, jako ciało bliskie kręgom dowódczym - był pomocnikiem dowódcy plutonu - też był zdania, by tematu dalej nie drążyć.

- A słyszeliście, że wczoraj, jak nasza szanowna kadra spożywała w namiocie, ktoś im petardę podłożył?

- Nie ktoś, tylko Grzesiek Dubowski. Pół dnia się odgrażał, że im życie umili za to, że szef mu coś tam dorzucił za jakieś przewinienie. Ale się działo, namiot podniosło i całą zagrychę im szlag trafił... hi, hi, hi, hi!

Nastąpiła ogólna wesołość, wyobraźnia podpowiadała jak zmechowi zagrycha znika. Nie brałem udziału w dyskusji, bo ani mnie nie interesowało, co się stanie z hełmem jak petarda jeb..., ani skąd wziąć hełm, pod którym miałyby to nastąpić. Temat chwilowo upadł, a towarzystwo oddało się na wpół sennym marzeniom. Jeden zaklinał się, że panna, którą poznał na ostatniej przepustce, na pewno będzie jego, bo tak jej z oczu patrzyło. Co do tego, że tak jej z oczu patrzyło, było paru sceptyków. No tak, temat zawsze nośny - dziewczyny.

I popłynęły opowieści, które na pewno zmroziłyby krew w żyłach płci niewieściej, gdyby tu akurat była, ale niestety lub na szczęście, dam w tym towarzystwie występował wybitny niedostatek. Po wyczerpaniu wszystkich tematów, znów powróciła sprawa hełmu, pod którym miała jeb... petarda.

- Dobrze, daję hełm - zdecydował się Sławek „Mrówa” Muraszkowski.

- Gdzie ta petarda?

I tutaj klops. Okazuje się, że dyskusja była o hełmie, a tu petardy nie ma.

- Znajcie moje chamskie serce - leniwie odezwał się Gienek „Wala” Wojciechowski. - W końcu kto jak kto, ale pomocnik szefa coś tam w zapasach zawsze ma. Sprawa była dograna. „Mrówa” wręczył „Wali” hełm i wszyscy zajęli stanowiska w bezpiecznej odległości. Wala, trzymając w jednej ręce hełm, w drugiej petardę, rozejrzał się wokół.

- Gotowi? - wrzasnął i po upewnieniu się, że wszyscy są na właściwych miejscach, odpalił petardę, szybko przykrył hełmem i galopem ruszył do nas. Szybko wskoczył do rowu i wraz z resztą czekał na efekt. Towarzystwo wystawiło głowy i też niecierpliwie czekało. No i jeb..., a hełm zniknął nam z oczu. Zanim z lekka ogłuszeni wybuchem doszliśmy do siebie, z góry dał się słyszeć dojmujący gwizd. To hełm wracał na ziemię lotem bardzo niustalonym. Nie bardzo można było przewidzieć, gdzie upadnie, więc towarzystwo zamarło w bezruchu. Jak tu uciekać, kiedy nie bardzo było wiadomo, w którą stronę? Hełm wykonywał przedziwne ruchy i w końcu wałnął o ziemię. Towarzystwo odetchnęło z ulgą, a „Mrówa”, podnosząc mocno zdeformowany „borecik niemnący”, zafrasowany podrapał się w głowę.

- I jak to teraz na łeb założyć?

- Nie bój - „Wala” poklepał go po plecach - mam coś na stanie poza ewidencją.

Strzał wyciorem i rzut granatem

Zapadła błoga cisza. Towarzystwo kontemlowało pogodę i rozkoszowało się lenistwem.

- Widzieliście ten śmigłowiec, który latał koło nas jak minęliśmy Bobrowniki? - odezwał się któryś.

- To podobnie latał szef oddziału szkolenia i oglądał nasze wojskowe przewagi, a potem dosyć gwałtownie odleciał w stronę Dębłina. Ktoś go ostrzelał...

- Jak to ostrzelał?

- Czym? Ślepymi nabojami?

- Mówili, że jak się łuskę od ślepaka nałoży na lufę, to ponoć nieźle leci...

Większość była sceptyczna. Poza tym trzeba mieć nieźle pod kopułą, żeby strzelać do śmigłowca, nawet jeśli to miałyby być tylko łuska.

- A ja słyszałem, że to nie była łuska tylko wycior - ktoś tam dorzucił. Zaczęła się z tego robić niezła spiskowa teoria dziejów.

- Ludzie, oni pewnie wystrzelili tylko tak na postrach.

- Przecież nawet jak ktoś rzeczywiście to zrobił, to jaka jest szansa, aby cokolwiek tym trafić? - zaczął Bronek Borkowski.

Spór rozruszał rozleniwiałe towarzystwo. Część twierdziła, że to możliwe, a część, oczywiście, że nie.

- Nie dowiemy się, jak nie sprawdzimy - zawyrokował „Wala”. - W końcu wszystko mamy - kalach jest, naboje są, a łuska zaraz będzie. Wystrzelił kilka razy w powietrze i zebrał łuski.

- No, to który chętny?

- Zacząłeś to i dokończ - padło z tłumu.

„Wala” nie namyślał się długo, włożył łuskę do lufy, odbezpieczył broń i wycelowawszy w najbliższe drzewo, pociągnął za spust. Huknął strzał, ale efektu żadnego nie było, oprócz tego, że łuska faktycznie z lufy zniknęła. Próbował jeszcze kilka razy, ale żadnego śladu na drzewie nie było.

- Widzicie? Nie ma szans, żeby czymś takim krzywdę zrobić. To musiał być zbieg okoliczności, że śmigłowiec odleciał.

- Co ty porównujesz śmigłowiec z kawałkiem sosny! Nijak się ma jedno do drugiego.

- Puknij się w głowę, do sosny było strzelane z paru metrów, a śmigłowiec latał co najmniej na 50 m, więc różnica jest.

- Odleciał, odleciał... bo szef patrzeć nie mógł w jakim to pięknym szyku bojowym to jego wojsko się posuwa.

- I słusznie, a co to my zające, żeby krok defiladowy w terenie leśnym ćwiczyć? - stwierdził ktoś, czym wzbudził ogólną wesołość.

Znowu zrobiło się cicho i leniwie. Tylko w oddali słychać było odgłosy wybuchów na poligonie lotniczym. Lotnictwo pracowało pełną parą, układając pracowicie poligon bombami i raketami. Temat jednak wkrótce powrócił.

- Przecież ktoś tam mówił, że to nie była łuska tylko wycior, może by tego jeszcze spróbować - rozpoczął temat Tadzio Guła.

- Faktycznie, wyciora nie ćwiczyliśmy. „Wala”, masz coś tam zapasowego na stanie?

Tym razem to Tadek Broda był ciekaw wyniku eksperymentu.

- Znajdzie się coś, ale dopiero na miejscu w Dęblinie - „Wala” poskrobał się za uchem.

- Trudno... ryzyk-fizyk - powiedział „TeBe” i wyciągnawszy wycior, włożył go do lufy. Krótko wycelował i wypalił.

Oniemieliliśmy z wrażenia. Efekt przerósł najśmielsze oczekiwania. Podeszliśmy do drzewa, gdzie wbity prawie na wylot, tkwił przed chwilą wystrzelony wycior.

- Jeśli ktoś faktycznie tak zrobił, to nadaje się do czubów, bo to nawet nie jest zwykła głupota - zawyrokował „TeBe”.

Zgodnie jednak stwierdziliśmy, że to chyba kolejna bajka z tysiąca i jednej nocy. Znowu nic się nie działo. I tak to na różnych eksperymentach upłynął nam czas do południa. Chmury pokryły niebo i zrobiło się mniej przyjemnie.

- Zbieramy się! Dosyć tego maskowania - zawyrokował „Szymek” i zebrawszy nasze dzielne wojsko, poprowadził w stronę obozowiska.

Przy obiedzie okazało się, że mamy przewidzianą jeszcze jedną atrakcję na dzisiaj. Przygotowanie do rzutu granatem, który to rzut ma się odbyć jutro, ale dowództwo, znając naszą wspólną inwencję i chcąc uniknąć niespodzianek, postanowiło zrobić nam krótki kurs, używając do tego petardy.

Obiad zjedzony, obowiązkowy papieros wypalony, koło 4 po południu wyruszamy na te poważne ćwiczenia. Prowadzi nas porucznik Sz. - chłop „postury nikczemnej, zgoła niewojskowej”, jak ująłby to Sienkiewicz. Głos ma natomiast porucznik Sz. bardzo donośny i aż ciężko uwierzyć, że taka niepozorna postać może wydać z siebie taki hałas.

- Wiadomo - zmech szkoła dowódców, ja bym się tam nie nadawał - mówi któryś z przekazsem.

Maszerujemy, umilając sobie czas opowiadaniem typu bla, bla, bla. Ktoś zmienia temat.

- A wiecie, co trzeba wiedzieć, żeby w LWP zostać generałem? - pada z tyłu pytanie. Nadstawiamy ciekawie ucha. Tego jeszcze nie znamy.

- Trzeba wiedzieć trzy rzeczy: że atakuje się ze wschodu na zachód, że desant spada z góry na dół i że rzekę forsuje się w poprzek a nie wzdłuż.

Dobre! Towarzystwo ryczy ze śmiechu, co wzbudza podejrzenie u por. Sz., że to jego osoba jest powodem tej wesołości.

- Cisza tam - słychać jego donośny głos - bo zaraz każę wam śpiewać.

To wywołuje jeszcze większą wesołość. Groźby jednak nie spełnia, może i szkoda, mamy przecież przeciwiczny repertuar, więc czemu nie możemy pośpiewać? Docieramy na miejsce, czyli do obronnych stanowisk strzeleckich (jak ja kocham to wojskowe nazewnictwo) i por. Sz. przeprowadza krótkie szkolenie. Następnie pierwszy delikwent przygotowuje się do rzutu. Wg instrukcji, chociaż to tylko petarda, po wyciągnięciu zawleczonej należy okrągłym ruchem całego ramienia rzucić środek bojowy w postaci granatu w kierunku nieprzyjaciela. Delikwent dzierży w ręku petardę udającą granat i spogląda z niecierpliwością na naszego dowódcę, ten gromkim głosem wydaje komendę, która jak się później okaże, przejdzie do historii i zacznie żyć w WOSL swoim życiem.

- Granaat rzuć! Chooooowaaaaj się!

Wszyscy zgodnie się chowają i historia się powtarza. Jesteśmy mniej więcej w połowie tego wesołego spektaklu, kiedy zjawia się z nieodłącznym psem rasy wyżeł, komendant Szkoły Chorażych, płk K.

Pies wabi się Sabcia i towarzyszy panu pułkownikowi, gdzie tylko się da. Pan komendant słynie z niekonwencjonalnych przemówień i czasem tylko wtajemniczeni potrafią odcyfrować sens jego wypowiedzi. Np. ...*tak, watele, tak, kadet na przepustkę, tak, spodnie, tak, kant, tak, mucha na pół*. Albo ...*tak, watele, tak, kadet czerwony, tak, kadet pijany, tak, mundur do aresztu, tak, kadet spać*. Pan komendant przyszedł osobiście się przekonać jak to też sprawuje się jego *tak, kadet*. Razem z nami był pluton ze szkoły chorażych.

Por. Sz. wydał kolejną komendę, a podchorąży, wykonawszy „okrągły ruch ramieniem” wyrzucił petardę w kierunku domniemanego nieprzyjaciela. Wyżeł to pies myśliwski, więc ujrawszy lecący przedmiot, Sabcia uznała to za aport i biegiem ruszyła za petardą. Chody miała niezłe, więc przechwyciła petardę, kiedy tylko ta upadła na ziemię. Dumnie podniosła w pysku. Zamarliśmy z przerażenia.

- Tak, Saba, tak, k... padnij! - wrzasnął pułkownik, a zbaraniała Sabcia wypuściła na szczęście petardę z pyska. Huknęło. Pies przeokoziółkował w powietrzu, a pan pułkownik ruszył klusem, ale zanim dobiegł, pies z podkuloną resztką ogona dał w długą. Na próżno wykrzykiwał: - tak, Sabcia!, tak, do nogii! - Za psem tylko się kurzyło.

- Tak, watele, tak, głupie bydlę - stwierdził.

- Dobrze, że to nie był granacik - bąknął któryś z kadetów - bo byłoby już po Sabci.

- Tak, watele, tak, sami widzicie, że tak, ostrożność zachować trzeba. Tak, kontynuujcie, poruczniku - i pan komendant udał się w kierunku, gdzie pogalopował przestraszony pies.

Wycieczka po destylat

Wieczorem, po apelu czekała mnie jeszcze z „Próchniakem” i Jurkiem „Bambrem” Kielichem, wycieczka po destylat do zaprzyjaźnionego pana leśniczego. Za karę, za brak kubka, miałem służyć za tragarza cennego trunku. Leśniczy przywitał nas w progu, powiódł na pokoje i usadził przy stole.

- Panie poruczniku - „Próchniak” dla dodania sobie powagi, założył oficerskie naramienniki - pańskie zdrowie! - podniósł kieliszek do góry, a my wraz z nim.

Zakąsiliśmy dziczyznę i poszło na drugą nogę. Poruszyliśmy jeden temat, drugi, taka rozmowa o wszystkim i o niczym. „Bamber” zaczął o coś się spierać z „Próchniakem” i zauważyłem, że leśniczy jest czymś wyraźnie zniesmaczony. W pewnym momencie odezwał się, patrząc na „Próchniaka”:

- Jak to jest, panie poruczniku, żeby zwykły kapral zwracał się przez „ty” do oficera i to jeszcze bez żadnego szacunku? Za moich czasów tak w wojsku nie było - pokręcił z dezaprobatą głową.

- Ma pan absolutnie rację - przyznał „Próchniak” - zaraz przywołam żołnierza do porządku.

- Kapralu Kielich, powstań!!! - wrzasnął. „Bamber” wybałuszył na niego oczy, ale posłusznie wstał.

- Co chcesz, dziadu jeden? - wymamrotał pod nosem.

- Baczność!!! Za lekceważący stosunek do stopnia oficerskiego karzę was 3-dniowym zakazem picia alkoholu!

- Kara! - odwrzasnął Jurek i po komendzie „spocznij!” obydwaj usiedli ponownie do stołu.

Leśniczy był wniebowzięty:

- O, panie... to mi się podoba, panie... W końcu to ma być wojsko, a nie jakaś ochronka - z entuzjazmem wykrzyknął leśniczy.

- Wasze zdrowie! - podniósł kieliszek, a my za nim.

- Gdzie? - „Próchniak” złapał „Bambra” za rękę. - Karę masz!

U leśniczego wywołało to niekłamaną euforię.

- Bo pić, panie, to trza umić - zwrócił się do „Bambra” - a nie kieliszek łyknie i już by oficerowi po pagonach skakał.

Wypiliśmy kolejne zdrowie już bez ukaraniego i pożegnawszy się z leśniczym, ruszyliśmy w drogę powrotną z okazałym zapasem destylatu na moich plecach.

Legalna podróż bez przepustki

Następnego dnia po śniadaniu otrzymuję polecenie stawienia się u dowódcy kompanii. Wraz ze mną takie same polecenie dostaje Bronek Borkowski i Jurek „Cichosz” Niepołomski. Robię rachunek sumienia, co mogłem przeszkrobać. Czyżby wczorajsza wycieczka po destylat się wydała? Ale w takim razie dlaczego „Próchniak” i „Bamber” nie idą ze mną? To chyba jednak nie to. Zachodzę w głowę i nic mi się nie zgadza. Bronek z Jurkiem też nie bardzo wiedzą, co jest powodem. Meldujemy się u dowódcy kompanii. To, co słyszę za chwilę z jego ust wywołuje moje zdziwienie.

- Słuchajcie, Rybczyński, wy, jako stary lewiżniarz... - zaczyna dowódca z przekąsem. Usiłuję gwałtownie zaprotestować, ale zostaję uciszony niecierpliwym ruchem ręki.

- Wy, jako stary, doświadczony lewiżniarz - kontynuuje dowódca - macie szansę wykorzystać swoje umiejętności.

- Przecież nikt mi nigdy nie udowodnił, że byłem kiedykolwiek na samowolnym oddaleniu - udaje mi się gwałtownie zaprotestować. - To wszystko tylko niesłuszne podejrzenia pana porucznika!

Prawie sam w to wierzę. Fakt, między Bogiem a prawdą, mam na sumieniu parę przepustek od Janka Krasickiego, ale prawdą jest też, że nikt nigdy na zewnątrz mnie nie złapał, ani nigdy nie zmoczyłem na kompanii. - Ładnie - myślę sobie - mamy kreta.

- No właśnie, dlatego tutaj was wezwałem - kontynuuje porucznik - ponieważ nikt nigdy wam nic nie udowodnił, ani nie złapał, więc mam nadzieję, że i tym razem dowiedziecie swoich niewątpliwych umiejętności, w słusznej sprawie - dodaje z sarkazmem.

Teraz już nic z tego nie rozumiem. Bronek z „Cichoszem” też wybałuszają oczy, spoglądając niepewnie po sobie. O ile, jak mi wiadomo pchor. Niepołomski jest czysty jak łąza, no, powiedzmy prawie jak łąza, o tyle Bronek ma duże osiągnięcia na tym polu, nie dałbym głowy, czy nie większe niż moje. Zresztą, wcale nie uważam się za mistrza świata. Co innego zespół „Kawiarenki”... Ooo, ci to dopiero pierwsza liga, co ja tam mówię pierwsza liga - to w czystej postaci ekstraklasa.

Tutaj nie mogę się powstrzymać, aby paru słów na temat zespołu „Kawiarenki” nie napisać. Ponieważ dostałem werbalną zgodę od absolwentów promocji 1978, że mam prawo używać pełnych nazwisk, bez względu jakich sytuacji to dotyczy, przeto czynię to ku potomności. Byli to Antek „Toni” Dobrowolski, Rysiek „Harnaś” Kosman i Waldek „Flisak” Rutkowski. Z tego, co wiem, czasem na gościnnych występach bywał z nimi Bogdan „Old” Żegarski. Otóż tenże zespół wstąpił się tym, że po przepustki prawie nigdy nie chodził, a mimo to często udawał się na gościnne występy, o których krążyły legendy. Nie muszę dodawać, że złapać się nie dali.

Któregoś razu Antek Dobrowolski chodził od pokoju do pokoju i mówił, żeby nie iść na seans do miejskiego kina w niedzielę. Kiedy koledzy zaczęli pytać dlaczego, z tajemniczą miną wyjaśnił, że będzie występował wtedy zespół „Kawiarenki”.

Większość nie poszła, ale było paru, którzy to zrobili z ciekawości lub niewiedzy, co potrafi zespół „Kawiarenki”. W kinie była antresola, skąd widok był na całą salę i właśnie na antresoli usiadł zespół. W trakcie seansu nagle zrobiło się białe. Na salę posypało się parę kilogramów mąki i seans został przerwany. Towarzystwo, klnąc na czym świat stoi, pędem wybiegło z kina, szukając intensywnie dowcipnisiów. Antek zarzekł się później, że była to „empiryczna próba udowodnienia wpływu sytuacji nadzwyczajnej na zachowanie się tłumu”.

Wracając do głównego wątku, znakomita część zespołu, kiedy my byliśmy na poligonie, została w Dęblinie zatrudniona przy jakichś tam pracach i w związku z tym zespół przestał się liczyć w przedbiegach.

- Jest przykra sytuacja - kontynuował por. Jankowski - porucznikowi Sieńce zmarł ojciec i trzeba wysłać delegację na pogrzeb, który jest pojutrze. Macie dostać się do Dębłina, przepustek nie dostaniecie, bo nie macie wyjściowych mundurów. Broń musicie zabrać ze sobą, oczywiście bez amunicji. W Dęblinie zgłosicie się w dowództwie batalionu, gdzie dostaniecie przepustki i pojedziecie na pogrzeb. Broń zdać do służby dyżurnej. To wszystko. A Niepołomski jedzie z wami po to, aby pilnować, co by wam buty przypadkiem gdzieś w tył na lewo nie skrzyły. I niech was ręka boska broni, żeby jakiś patrol was zwinął! - dodał na zakończenie.

Dumni z wyróżnienia, pozbieraliśmy swoje bambette i żegnani zazdrosnymi spojrzeniami kolegów, ruszyliśmy przez las w kierunku szosy. Plan był prosty. Trzeba tylko dostać się do Łukowa, tam złapać bezpośredni, popołudniowy pociąg do Dębłina. W Łukowie nie było żadnej jednostki wojskowej, więc ryzyko spotkania jakiegokolwiek patrolu było zerowe. Pewne niebezpieczeństwo było w Dęblinie. Z dworca do szkoły było parę kilometrów, a my, będąc w polowych mundurach, z bronią i całym wyposażeniem, byliśmy widoczni na odległość i łatwo było wzbudzić zainteresowanie jakiegoś łajzowatego patrolu czy to z WSW, czy to od saperów z twierdzy. Jednak w myśl zasady „martwmy się etapami” zajęliśmy się etapem pierwszym, czyli dotarciem do Łukowa. Tutaj sprawa okazała się prostsza niż myśleliśmy. Kiedy zza zakrętu ukazała się syrenka, Bronek wyszedł po prostu na drogę i zaczął dawać znaki do zatrzymania. Prowadzący samochód, ma-

jąc na uwadze, że to środek lasu, trzech wojaków o niewiadomych intencjach, z karabinami, wołał nie ryzykować i się zatrzymał. Grzecznie poprosiliśmy go o podwiezienie do Łukowa, a ten wyraził aprobatę i kazał nam się ładować do środka.

- Macie szczęście, że jadę sam - powiedział - inaczej nie zmieścilibyście się we trzech z tymi wszystkimi manelami.

Kiedy opowiedzieliśmy mu całą sytuację, zrobił nam uprzejmość i zawiózł nas na samą stację. Pociąg odchodził za dwie godziny, mieliśmy cały przedział dla siebie, a w Dęblinie też nam się poszczęściło i nieniekajeni przez nikogo, dotarliśmy do cywilizacji. Po doprowadzeniu się do ludzkiego wyglądu, następnego dnia pojechaliśmy, gdzieś pod Kielce na pogrzeb. Po powrocie do Dębłina, razem z Bronkiem postanowiliśmy wyskoczyć, nie całkiem oficjalnie oczywiście, do mnie do domu. W niedzielę całe towarzystwo, brudne i zarośnięte wróciło z poligonu, a rzeczy znowu zaczęły biec utartym torem.

Widmo aresztu

Oficjalnie już dowiedzieliśmy się, że pod koniec sierpnia wyjeżdżamy na lotniska. Nasza kompania była przeznaczona na wyjazd do Tomaszowa Mazowieckiego, a tak dokładniej do Glinnika Nowego, tam było bowiem usytuowane lotnisko. Różne opinie na temat tego pułku były, w jednym względzie wszystkie jednak zgodne, tam jest dyscyplina. Marzyłem o tym, aby zostać skierowany do Radomia. Nic z tego, szanse na to były raczej zerowe. Nie to jednak wzbudziło moje największe obawy. Poczta pantoflowa doniosła, że wszyscy, którzy z jakichkolwiek powodów mają zaległą karę aresztu, po przybyciu do pułku szkolnego, najpierw odsiedzą tę karę, a dopiero później będą brani pod uwagę w kolejce do latania. Na delikwentów, a niestety byłem wśród nich, padł blady strach. Zrobiłem rachunek sumienia i nie wyglądało to różowo. Moja historia wyglądała nieciekawie. W ogóle to miałem wątpliwe szczęście uczestniczyć w - jak można by to było określić - zbiorówkach. Nie odstawiałem poziomem zdyscyplinowania od jakiejś tam średniej, niemniej jednak w prawie każdej zbiorówce udział jednak brałem. Swoją pierwszą karę aresztu złapa-

łem na pierwszym roku, będąc jeszcze na nawigacji. Wyszliśmy po zajęciach w oddziale szkolenia i czekaliśmy cierpliwie na resztę grupy, aby w szyku zwartym pójść do rejonu zakwaterowania (piękne wojskowe określenia, których będę z uporem używał). Była zima i temperatura oscylowała ok. -5°C. Zawsze szybko marzły mi ręce, więc aby nie wkładać ich do kieszeni, co było prawie zbrodnią przeciwko wszechwładnym wojskowym regulaminom, włożyłem je za pasek, aby cokolwiek je ogrzać. Nie wyglądało mi to na żadne przestępstwo. Dlatego byłem bardzo zdziwiony, kiedy przechodzący obok płk pilot Konopiński, zwany „Płatynką” (z powodu jakiegoś wypadku, miał w czoło wstawioną platynową płytkę i chyba właśnie ta platynka na mózgu mu padła, bo jak się wkrótce miałem dowiedzieć, zachowywał się jak najgorszego sortu „zmechol”) skierował najpierw w moim kierunku wzrok, a zaraz potem swoje kroki. Pełnił nie do końca mi znaną jakąś podrzędną funkcję w oddziale szkolenia.

- Nazwisko, która kompania? - warknął do mnie.

Zameldowałem się jak mnie nauczyl.

- Za pół godziny z dowódcą kompanii do raportu u mnie w gabinecie - rzucił. Zmierzył mnie od stóp do głów groźnym wzrokiem i wszedł do budynku oddziału. Byłem w szoku. Ani ja, ani moi koledzy nie mieliśmy pojęcia jakież to ciężkie przestępstwo popełniłem, że muszę stawać do raportu, do bądź co bądź wysokiej szarży. Po przyjeździe do koszarowca (nie mieszkaliśmy jeszcze w akademiku) poszedłem do dowódcy kompanii, kapitana Politowskiego, z informacją o zaistniałej sytuacji.

- Na pewno nie wiesz, co zbroiłeś? - dowódca przyglądał mi się badawczo.

- Pojęcia nie mam - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Chodźmy, więc do tego raportu - westchnął kapitan. Nie było mu to w smak, bo w jakimś stopniu dotyczyło to i jego, w końcu byłem jego podwładnym. Zameldowaliśmy się, najpierw on, potem ja, jak przewidywał wszechwładny regulamin wojskowy i wtedy padło pytanie w moim kierunku:

- Czy podchorąży wie za co został postawiony do raportu? - padło pytanie.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Wielki błąd. Brak wojskowego obycia i doświadczenia mocno się

zemścił. Mogłem podać jakąś zupełnie bzdurną przyczynę, a nie silić się na szczerość. Nie po to wysoka szarża wzywa pastuszka podchorążego do raportu, żeby ten miał jakąkolwiek czelność dopuścić do siebie myśl, że jest niewinny, a wysoka szarża najnormalniej się myli. Teraz dopiero ustami pana „Płatynki” dotarła do mnie prawda, jakiej to zbrodni dopuściłem się, trzymając ręce za paskiem.

- Ale obywatelu pułkowniku, regulamin nie zabrania trzymania rąk za paskiem, nie byliśmy w szyku, nie było komendy baczność, prowadzący grupy oddał honory wojskowe - zacząłem nieśmiało. Jeszcze większy błąd. Dopiero teraz zostałem uświadomiony, jaki to negatywny wpływ na dyscyplinę miały te ręce za paskiem. Omal, że nie uwierzyłem, że przez to Układ Warszawski się zawali, a NATO napadnie na nas w następnym tygodniu.

- Baczność! - zakomenderował pułkownik po zakończeniu umoralniającej tyrady.

- Za nieprzestrzeganie dyscypliny i zły wpływ na grupę karzę podchorążego trzema dniami aresztu.

Uff, aż mnie замуrowało. Co prawda, od pewnego momentu jego przemowy dotarło do mnie, że bez kary się nie obędzie, ale żeby od razu areszt? Za takie gówna? Byłem załamany.

- Kara - odpowiedziałem regulaminowo i po odmeldowaniu się, wyszliśmy z gabinetu.

Dowódca kompanii milczał, kiedy wracaliśmy, ale po jego minie widziałem, że i on jest zszokowany.

- Aż tak bardzo się nie przejmuj - powiedział kiedy dotarliśmy do budynku. - Z tym też da się żyć, tylko, że też na ciebie to musiało trafić - dodał. Wszedłem do sali, gdzie ujrzałem pytający wzrok moich kolegów.

- No i jak? - zapytał mnie Andrzej Wagner, dowódca mojej „drużyny”.

Kiedy opowiedziałem, na chwilę zapadła cisza.

- Eee... nie przejmuj się tak bardzo - rzucił - a poza tym dzierzysz bądź co bądź palmę pierwszeństwa. W końcu pierwszy areszt w kompanii i to w naszej „drużynie” - dodał z dumą.

Niestety, kara aresztu miała swoje konsekwencje. Wkrótce były Święta Wielkanocne, na które to dostawaliśmy 5 dni urlopu. Nie wszyscy, ukarani musieli spędzić święta w koszarach. Oczy-

wiecie ani mi się śniło tam zostawać. Po prostu wzięłem pewną część ciała w troki i do domu pojechałem. Oczywiście też było, że sprawa się wyda i oczywistą wydawała się kara, którą za ten występ poniosę. O dziwo, dowódca kompanii, upewniwszy się tylko, czy aby nie zostałem zatrzymany przez jakiś patrol, puścił mi występ płazem. Kiedy jednak byliśmy kwalifikowani na tzw. „kurs przyspieszony”, mimo jednej z najwyższych średnich na roku, nie zostałem na ów kurs zakwalifikowany. Tym aresztem jednak zupełnie się nie przejmowałem, ponieważ przez następne półtora roku udało mi się złapać parę nagród i kara poszła w niebyt.

Na drugim roku, gdzieś tak około stycznia, nasza kompania dostała wartę, wiadomo - w weekend, bo w dni powszednie chodziliśmy na zajęcia. Zimno było piekielnie i mimo grubych, wartowniczych kożuchów, ciężko było wytrzymać dwugodzinną zmianę. Podczas kolejnego nocnego odpoczynku na wartowni, Tadek „Telu” Telkowski zdradził mi tajemnicę, że na MPS jest kotłownia i tam można się ogrzać. Ciężkim przestępstwem było opuszczenie posterunku, jako że warta to było „pełnienie zadania bojowego podczas pokoju” i podczas pełnienia tegoż zadania, należało czujnie wypatrywać podstępного wroga, który czyhał na nasze wojskowe mienie.

- Nie wiem jak ty, ale ja na następnej zmianie idę się ogrzać - powiedział „Telu”. Mieliśmy sąsiednie posterunki.

- Kontrola już dzisiaj była i nie sądzę, żeby oficerowi inspekcyjnemu chciało się po nocy łądzić. W końcu też człowiek.

Chętnie przystałem na tę propozycję i kiedy minęło zamieszanie związane z przekazaniem posterunku i sprawdzeniem, że wszystko jest w porządku, obecności żadnych ważnych sił nie stwierdziwszy, udaliśmy się do onego przytulnego miejsca. Na zewnątrz było chyba z -15°C, co wraz z dmuchającym nieźle wiatrem sprawiało, że pogoda była wyjątkowo podła. A tutaj ciepłutko, przyjemnie. Powitał nas cały tłum czujnych i dzielnych wartowników, którzy, podobnie jak my, zaryzykowali oddanie cennego mienia w ręce podstępного nieprzyjaciela. Towarzystwo poustawiało kałachy rządkiem pod ścianą, każdy umieścił się gdzie tam komu było wygodnie i... sam nie wiem kiedy zasnąłem. Obudziło mnie szarpanie za ramię. Powoli

wracałem do rzeczywistości, a ta była jak w koszmarnym śnie. Nade mną stał oficer inspekcyjny, przy naszych karabinach pomocnik dowódcy warty pilnował, aby nikt przypadkiem „giwery” nie porwał. W ten sposób została wygarnięta cała nasza zmiana. skłamałbym - nie cała. Jeden „Telu” nie odstawił broni pod ścianę, tylko zostawił ją przy sobie. Kiedy obudził się i zorientował, co się dzieje, wykorzystał moment i porwawszy swój karabin, czmychnął prawie między nogami inspekcyjnego i tyle go widzieli. Za to my poszliśmy prawie czwórkami do ukarania. Wynik - 10 dni do odsiadki. „Telu” zaparł się, że tam go nie było, a na pytanie dlaczego nie było go też na posterunku, przysięgał, że był po drugiej stronie budynku. Kary nie dostał.

Podsumowując, było to 10 dni plus 5, które dostałem za nieregulaminowy plecak przed poligonem, razem 15. Poszedłem do szefa, żeby zgłosić swój akces do odsiadki, im prędzej tym lepiej. Mogłem jeszcze zaryzykować, że dostanę jakąś nagrodę za sesję egzaminacyjną, która zniweluje mi część kary. Ale co będzie, jeśli nagradzać nie będą? Duże ryzyko. Szef kompanii, kiedy usłyszał z czym przychodzę, uśmiechnął się z politowaniem.

- Rybczyński... w lecie do aresztu? - zapomnij, już dawno kompania wykorzystała limit.

- W Tomaszowie nie będziesz musiał się prosić, sami cię wsadzą - zarechotał.

Totalna kłapa, „Mrówka” mi poradził, abym popytał „uczonych w piśmie” z ósmej kompanii.

- Idź, pogadaj, tam większe doświadczenie mają! Kup flaszkę i idź do profosa, to niezły moczymorda, więc może uda ci się coś załatwić. Ludzie tak robią - usłyszałem dobrą radę. Następnego dnia, z butelką „żyta” skrzętnie ukrytego za pazuchą, poszedłem do aresztu, gdzie niepodzielną władzę sprawował sierżant M.

- Dzień dobry - zacząłem, prawie gnąc się w ukłonach. - Mam sprawę.

Ten, spojrzawszy na mój stopień, szybko ze znanostwem zapytał:

- Drugi rok lotniska? Ile do odsiadki?

- 15 i może pan sierżant by coś załatwił, bo byłem u szefa kompanii i ten powiedział...

- Kochaniutki - przerwał mi szybko - nic z tego - kolejkę mam do września, nie da rady. Jak by to było, powiedzmy 7, no może gdzieś bym cię wcisnął, ale 15 - wykluczone.

- Wie pan, ale ja mam tutaj coś dla pana. Wyciągnąłem gorzałkę zza pazuchy. Nadzieja zawsze umiera ostatnia.

- A co ty myślisz, że inni to z pustymi rękami przychodzą? - szef uśmieł się serdecznie.

O co tu chodzi, zachodziłem w głowę, idąc do akademika. Dawać łapówkę, żeby pójść do aresztu i jeszcze odejść z kwitkiem? Nic mi się tu nie zgadzało. Zgodziło mi się, kiedy opowiedziałem o tym „uczonym w piśmie”.

- Sprawa jest bardzo prosta - zaczął Wiesiek „Duży” Olszewski. - Wraz z nastaniem lata, areszt zaczyna pękać w szwach. Ponieważ podlegamy aresztowi szkolnemu, musimy w areszcie spędzać tylko noc. I tak delikwent idzie się wyspać na twardej desce, rano zostaje wypisany na zajęcia szkolne. Zjada z nami śniadanko i kiedy my udajemy się na zajęcia, ten udaje się na basen lub w jakiekolwiek inne, odpowiadające mu miejsce. Po naszych zajęciach udaje się razem z nami na obiad, a kiedy my ćwiczymy obowiązkową naukę własną, złoczyńca oddaje się słodkiemu lenistwu w wyżej wymienionych miejscach. Po kolacji udaje się z powrotem na twardą deskę i tak mu areszt leci. Tak to mniej więcej działa. Było jeszcze lepiej, bo niektórzy wyjeżdżali nawet na przepustkę od Janka Krasickiego podczas pobytu w tym kurorcie i o dziwo, nigdy nie doszło do żadnej wpadki. Skończyło się to, kiedy ktoś przyjechał pod areszt taksówką i posprzeczał się z taksówkarzem o należną kwotę. Kiedy sprzeczka przyjęła gwałtowny charakter i stała się cokolwiek głośnie, zainteresowało to oficera inspekcyjnego, którego dyżurka była w budynku aresztu. Wyszedł, aby zobaczyć, co się tam dzieje i od słowa do słowa okazało się, że nie dość, że „podchorąż” jest cokolwiek w stanie wskazującym, to jeszcze, o zgrozo, powinien właśnie znajdować się za kratkami, a nie wysiadać z taksówki. Wybuchła afera i eldorado szlag trafił - zakończył Wiesiek.

Katapulta, wirówka i inne tortury

Nie dość więc, że nieodsiedziany areszt wisiał nade mną jak miecz Damoklesa, to jeszcze zapadła ostateczna decyzja o moim przydziale do Tomaszowa. Wszystko to jednak trochę zbladło w natłoku dziejących się wydarzeń. Życie wyraźnie

przyśpieszyło. W ciągu tygodnia mieliśmy pierwsze skoki spadochronowe i pierwsze katapultowanie na urządzeniu treningowym UTKZ. O ile skok ze spadochronem nie był dla mnie jakąś nowością (miałem już na swoim koncie wykonane trzy w aeroklubie), o tyle katapultowanie napawało mnie, jakby tu powiedzieć eufemistycznie, pewnym uczuciem nieśmiałości. Aby opuścić współczesny odrzutowiec w przypadku niedającej się opanować awarii, trzeba użyć fotela wyrzucanego, potocznie nazywanego katapultą. Współczesne fotele katapultowe to bardzo skomplikowane urządzenia, które zapewniają pilotowi opuszczenie samolotu, nawet z zerowej wysokości, czyli nawet jeśli samolot znajduje się na ziemi, pilot może go bezpiecznie opuścić. Na „Iskrach” czy „Limach” urządzenia nie były ostatnim krzykiem techniki, jednak swoje zadanie, ogólnie rzecz biorąc, spełniały. Wymagało to treningu na ziemi na specjalnym urządzeniu zwanym właśnie UTKZ. Była to replika fotela katapultowego używanego w samolocie, tyle, że stojącego na ziemi na specjalnym stelażu. Do tego dochodziło rusztowanie, które zatrzymywało fotel w górze, kiedy katapultujący się pilot od niego się oddzielił i opadał na specjalnej linie, do której podczepiona była uprząż spadochronu. Dla patrzących z boku efekt był trochę niesamowity. Po naciśnięciu dźwigni spustowej, przy dość głośnym huku delikwent wraz z fotelem wylatywał w górę na około 6-7 m, automat rozpiął pasy, czynność tę należało zdublować ręcznie, fotel zostawał w górze, a trenujący opadał podczepiony do liny na potężny materac. Po pierwszym katapultowaniu okazywało się, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Siedząc w fotelu, huku w ogóle się nie słyszało, a wszystko trwało dosłownie parę sekund. Emocje jednak były - większe, mniejsze, ale były. Jedni przeżywali to mniej, inni więcej, ale chyba nie było nikogo, kto by do sprawy podchodził zupełnie obojętnie. Jeden z kolegów, nazwisko pominę, wyraźnie się bał, nadrabiał miną, zresztą jak każdy z nas, ale kiedy nadeszła jego kolej, wyraźna zieloność wystąpiła na jego twarzy. Prawie drżący usiadł na fotelu, prowadzący trening wydał kolejne komendy:

- Głowa do podglówka, nogi z pedałów, zrzut owiewki... - Strzał!!!

Kolega nacisnął dźwignię spustową... a tu cisza - niewypał. W fotelu był zamontowany spe-

cialny ładunek wybuchowy, który wyrzucał fotel w powietrze i to właśnie on zawiódł. Prowadzący zatrzymał cały proces katapultowania i zarządził powtórkę. Znowu po wykonaniu wszystkich czynności nie nastąpił strzał. Trzeba było gościa ściągnąć z fotela, bardzo ostrożnie zresztą, nie wiadomo czy nabój niespodziewanie nie odpali. Nic takiego na szczęście nie nastąpiło i po sprawdzeniu fotela okazało się, że został założony inny nabój niepasujący do tego konkretnie egzemplarza. Nabój został zmieniony, a nieszczęśnik ponownie zajął miejsce w fotelu. Wystarczyło popatrzeć na jego twarz, a można było tylko się domysleć jego stanu psychicznego, ale trzymał się dzielnie. Tym razem wszystko przebiegło zgodnie z planem, ale nie do końca. Po wystrzeleniu, zamiast zdublować rozpięcie pasów, z wrażenia trzymał się kurczowo fotela, wisząc pod nim na wykręconych rękach. Po kilkakrotnym okrzyku prowadzącego, aby puścił fotel, w końcu to zrobił... ale zamiast opaść powoli na linie, runął z wysokości na materac. Nic mu się oczywiście złego nie stało, materac był wystarczająco duży i gruby, ale tak to nim wstrząsnęło, że wkrótce potem zrezygnował w ogóle z latania, widząc w tym przysłowiowy palec boży. Okazało się, że w ferworze walki z fotelem, zapomniano podczepić uprząż spadochronową do właściwej liny i to był powód, że delikwent spadł bez asekuracji na materac.

Następnym, nowym doświadczeniem, był trening na wirówce przeciążeniowej w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej, popularnym WIML-u. Wyobraźcie sobie kabinę umieszczoną na długim obracającym się ramieniu. Kabina była umieszczona na przegubach i w miarę zwiększania prędkości obrotowej, przyjmowała coraz bardziej poziome położenie. Miało to zapewnić odpowiedni kierunek siły działającego przeciążenia, pionowego w stosunku do ciała badanego. Pojechaliśmy grupą w pięć osób. Był m.in. Marek Kaletka, reszty składu już nie pamiętam. Według alfabetu, wypadła mi ostatnia kolejka, miałem więc możliwość oglądania kolegów w akcji i muszę powiedzieć, kiedy kolejni koledzy nie przechodzili tego treningu, wielkie zwątpienie wkraśniało w moje serce, a kiedy niemal pewniak (kolega był niski, co predysponowało do znoszenia przeciążeń) poległ przy 4 g, byłem niemal pewien, że też nie podołam. W ogóle badanie prowadzono do

przeciążenia 8 g. Nie jest to mało, ale nie jest to też dużo, kiedy jest się wytrenowanym. Trzeba tylko wiedzieć jak się zachować. Nie można przede wszystkim siedzieć rozwalony jak basza na fotelu, bo wtedy krew bardzo szybko ucieka z głowy do dolnych partii ciała i klient „wysiada” przy 4-5 g. Wirówka była wyłączana automatycznie w kilku przypadkach - kiedy ciśnienie, a zwłaszcza tętno przekroczyło ustaloną granicę, kiedy badany nie zareagował dwukrotnie na zapalające się światła umieszczone po bokach kabiny, co świadczyło o zawężającym się polu widzenia bezpośrednio poprzedzającym całkowitą utratę świadomości, lub kiedy w ogóle puścił specjalny przycisk, co świadczyło o kompletnym blackoucie. Wsiadłem z duszą na ramieniu i po zapięciu wszystkich czujników oraz zamknięciu kabiny, maszynierzy ruszyła. Uczucie było takie, jakbym robił ostry, podciągany zakręt. Wkrótce zaczęły mi ciążyć policzki. Cały czas widziałem zapalające się światła i je regularnie gasiłem. Przeciążenie rosło cały czas i coraz trudniej było oddychać. Jazda trwała, nawet nie wiem jak długo, ale w pewnym momencie, kiedy zaczynało mi się robić szaro przed oczami, wirówka zaczęła zwalniać. Sam nie mogłem w to uwierzyć - wytrzymałem 8 g jako jedyny z grupy. Utwierdził mnie w tym lekarz po otwarciu kabiny.

Na początku sierpnia rozpoczęła się sesja egzaminacyjna, a przedmiotów było sporo. Oprócz ogólnych, doszły przedmioty typowo kierunkowe jak meteorologia, mechanika lotu i cała gama związanych z budową i eksploatacją samolotu TS-11 „Iskra”, na którym mieliśmy wykonywać loty. Wykładowców mieliśmy w większości bardzo dobrych. Prawie wszyscy robili to z wielką pasją. Do wojska jako takiego mieli podobne podejście jak i my - po prostu traktowali je jako zło konieczne. Ich pasją była nauka, tak jak naszą pasją było latanie. Pamiętam jak jeden z wykładowców psychologii, mając służbę oficera inspekcyjnego szkoły, prowadził odprawę wart. W wojsku to było prawie jak msza święta w kościele, często prowadzona z namaszczeniem przez oficera inspekcyjnego, ściśle wg regulaminów, którą to odprawę kończyło odegranie przez trębaczę sygnału „Służba wartownicza”. Pan pułkownik - wykładowca stanął przed dwuszeremgiem warty i zamiast rozpocząć wojskowy ceremoniał, zapytał zupełnie nie po wojskowemu:

- W plecakach wszystko macie? - wojsko skinęło głowami.

- Obowiązki swoje znacie? - znowu potwierdzenie.

- Grajek grać - zwrócił się do trębacza. Żołnierz wybałuszył ze zdziwieniem na niego oczy.

- No co jest? - ze zniecierpliwieniem popatrzył na niego pan wykładowca. - Grajże, synek tę „Służbę wartowniczą”!

Biblioteka była bardzo dobrze wyposażona, a na dodatek pracowała tam całkiem niegarbata pani w wieku jak najbardziej poborowym, więc chodziłem tam chętnie i często. Lubiłem się zawsze uczyć i jeśli coś mnie interesowało, starałem się dowiedzieć na ten temat jak najwięcej. Tak było na przykład z aerodynamiką. Wykładowcą tego przedmiotu był płk doc. Biestek, który swego czasu musiał odnowić na własny koszt pokój w hotelu, bo udowadniając koledze, że mucha może wylądować na suficie, kiedy zapisał wszystkie dostępne kartki papieru, użył do tego hotelowych ścian.

Równie pasjonowała mnie nawigacja. Kiedyś, latając już w PLL „LOT”, na jakimś tam pobycie, prowadziliśmy dyskusję przy piwie. Jeden z kolegów, absolwent Politechniki Rzeszowskiej, wyraził opinię, że WOSL to była pod względem naukowym szkółka niedzielna. Powiedziałem, że trudno się z tym zgodzić, bo kto wykładów nie prześpał i trochę się zagadnieniem interesował, mógł się dużo nauczyć, bo warunki były.

- Co ty, Ryba pierdzielis? Ty nawet równania ciągłości strugi nie napiszesz.

- A to się zdziwisz, napiszę... i nie tylko to - napisałem mu na kartce równanie będące podstawą aerodynamiki.

- To nawet tego was tam uczyli?

- Wyobraź sobie, że tak i nawet trochę więcej. Zapytałeś mnie, zapytam i ja. Narysuj mi wykres zależności C_x (współczynnik siły oporu) w zależności od liczby Macha (podstawa aerodynamiki prędkości ponaddźwiękowych).

Koleżka wybałuszył na mnie oczy, podrapał się za uchem i z zakłopotaniem stwierdził, że tego nie potrafi.

- No i kto uczęszczał do szkółki niedzielnej - jak ją tam zwą - Politechnika Rzeszowska? - zakończyłem dyskusję.

Egzaminy zdałem przed czasem, ale tym razem się z tym nie ujawniałem i na spokojnie wybyłem sobie na kilka dni do domu. Po powrocie dowiedziałem się, że 1 września wyjeżdżamy do Tomaszowa Mazowieckiego. Nie bardzo wierzyłem w ten wyjazd i nawet na wszelki wypadek umówiłem się w Lublinie z jedną Danusią, do której sma-liłem od pewnego czasu cholewki. Okazało się, że jednak jedziemy i w przeddzień każdy we własnym gronie i na swój sposób pożegnał się z Dęblinem. Ci, którzy nie zaliczyli wszystkich egzaminów, mieli pozostać w Dęblinie. Trochę im nawet zazdrościłem. Jechałem na niewiadome. Tomaszów i jeszcze ten nieodsiedziany areszt. Oczywiście wyobraziłem już widziałem się w celi zaraz po przyjeździe. Wznosiliśmy więc kolejne toasty za latanie, za przyszłość i znowu za latanie. Następnego dnia było trochę rozgardiaszu, ale w końcu grupa wsiadła do autobusu i ruszyliśmy. Nigdy wcześniej nie byłem w Tomaszowie Mazowieckim, a na lotnisku w Nowym Glinniku tylko raz, kiedy zabrałem się przy okazji, aby się przelecieć, jeszcze kiedy latałem w Aeroklubie Rzeszowskim. Autobus jechał przez wieś, pola, lasy, znowu przez pola i w końcu stanęliśmy przed bramą w samym środku lasu. Rozejrzałem się dookoła, jak stąd się wydostać do normalnej cywilizacji?

- No to, panie Rybczyński... masz posprzą-tane. Jak tu żyć? - pomyślałem.

Kto mi dał skrzydła

JW 1071 to oficjalna nazwa 61 Ipsz (lotniczego pułku szkolnego). Numer pułku jest tajny, jak większość wojskowych rzeczy w PRL. Tajne to było na użytek wewnętrzny. Śmialiśmy się często, że jeśli chce się uzyskać jakieś supertajne informacje na temat naszych jednostek wojskowych, to wystarczy wejść do pierwszej lepszej tematycznej księgarni na Zachodzie i tam wszystko się znajdzie - od nazwy jednostki, poprzez nazwisko dowódcy, po liczebność i uzbrojenie. Pułk dęblińskiej szkoły jest jednym z tych szkolących podchorążych na „Iskrach”. Oprócz tego, są jeszcze pułki w Modlinie i Radomiu oraz w Dęblinie i Nowym Mieście n. Pilicą, szkolące na „Limach”. Lotnisko w Nowym Glinniku leży około 7 km na płn.-wsch. od Tomaszowa,

otoczone lasami. Niedaleko stąd do Spały, rzeki Pilicy i Zalewu Sulejowskiego. Sama jednostka wraz z przyległym osiedlem wojskowym robi jak najlepsze wrażenie. Wszystko zadbane, dużo kwiatów i ponoć jednak da się tu żyć, jak twierdzą koledzy z III roku. O wszystko dba dowódca pułku płk pil. Ciepela, najlepszy ogrodnik wśród pilotów i najlepszy pilot wśród ogrodników, jak głosi miejscowy dowcip. Pan pułkownik wygląda bardzo nobliwie i sprawia wrażenie starszego, sympatycznego pana. Potrafi jednak, jak się niejednokrotnie przekonałem, przemówić wojskowym językiem, że słysząc go było na drugim końcu lotniska. Spotykam tutaj Andrzeja Kozaka, kolegę z technikum, który nie miał poślizgu jak ja, jest na III roku i kończy program na „Iskrach”. Ogólnie całość sprawia wrażenie schludnego kurortu, gdyby nie - jak głosi fama - ostra dyscyplina, wręcz wojskowy rygor.

- Nie jest tu najgorzej i da się z tym żyć - mówi Andrzej, kiedy go o to pytam - pod warunkiem, że nie trafisz do eskadry, której dowódcą jest mjr Samól. Dobry pilot i instruktor, ale, niestety, po wojskowej linii na żartach się nie zna. Podzielili już was?

- Jeszcze nie, przecież dopiero wczoraj przyjechaliśmy i na dobrą sprawę to nic nie wiemy.

- No to się módl, żebyś do niego nie trafił. W końcu masz 50 % szans, że ci się uda.

- Będę, ale znając swoje zezowate szczęście, jest duża szansa, że tak się stanie.

Następnego dnia pierwszy raz przebieramy się w kombinezony lotnicze. To dodaje nam powagi, w naszych oczach oczywiście. Po śniadaniu maszerujemy na lotnisko, aby zapoznać się z domkiem pilota, płytą postojową samolotów i w ogóle z atmosferą lotniska. Z zazdrością patrzę na kolegów z III roku. Boże, to dla mnie prawie nadludzie. Czy ja w ogóle dam sobie z tym radę? Patrzymy, jak zbierają się do lotu, siadają do kabiny, a potem startują - SAMI. „Iskra” wydaje mi się potworem prawie nie do okiełznania. Do tej pory latałem tylko na szybowcach, ale jakie to porównanie, gdzie te prędkości - przepaść. Dopiero dużo później, latając już na B-747 doceniłem, co to znaczy szybowcowy sznyt. Po prostu pilot, który nie latał nigdy na szybowcu, to tylko rzemieślnik, nie artysta. Jak na razie osławiamy się z odrzutowcem tylko na ziemi.

Kolejne dni przynoszą kolejne wyzwania. Zaczynamy naziemne przygotowanie do lotów. Zajęcia z techniki pilotowania prowadzi mjr Jaworski - artysta. Lot po okręgu trwa raptem 6 minut, a on potrafi opowiadać o tym przez 4 godziny. A my, o dziwo, słuchamy z otwartymi ustami.

„Wszystko dobre, byle w miarę - młode kobiety, wino stare”. Tak głosi mjr Jaworski, a my całkowicie się z nim zgadzamy. Następnego dnia idziemy znowu na lotnisko, aby zapoznać się bliżej z samolotem. W programie jest uruchamianie silnika i jego próba na ziemi, dosyć długa i skomplikowana zresztą. Kolejno wsiadamy do kabiny i przechodzimy całą procedurę. Mam coraz większe wątpliwości, czy będę w stanie to wszystko opanować.

- Nie przejmuj się - pociesza mnie Andrzej - większe głęby od ciebie dały sobie radę, więc nie przewiduję, aby w twoim przypadku było inaczej.

Hmm... dobrze mieć świadomość, że głębem nie jestem.

Katastrofa w Modlinie - zabił się podchorąży z III roku na „Iskrze”. Loty wstrzymane, wszyscy chodzą przygnębieni. Orzeczenie komisji - błąd pilota. Nasze szkolenie w tym roku pod znakiem zapytania. Przygotowanie do lotów zostaje wstrzymane, lata tylko III rok. Wojsko się nudzi, wojsko zaczyna mieć głupie pomysły, np. pojechać do miasta Tomaszowa w sobotę wieczorem. Ośmiela nas to, że na eskadrze, czyli tam, gdzie jesteśmy zakwaterowani, nikt się w ogóle nie pojawia. To było nie do pomyślenia w Dęblinie. Po południu zawsze ktoś z dowództwa tam był, byliśmy ciągle liczeni i sprawdzani. A tu nic... Po zasięgnięciu języka od starszych kolegów, wypuszczamy się do miasta. Boże, wreszcie cywilizacja, panny na ulicach i piwo w knajpach. Ja, „TeBe” i „Ichi” sprawdzamy finanse i robimy zamach na „Tameę”, to najlepszy lokal w mieście, ale, niestety ceny też najlepsze. Nie stać nas na zbyt wiele, ale już wiemy na co warto oszczędzać. Dodatkowo obowiązują karty wstępu, ale „podchorążę” mają *carte blanche*, pod warunkiem, że mają kasę, a z tym to już jest różnie. Co tu dużo mówić, przeważnie jest kiepsko lub bardzo kiepsko. Wyobraź sobie, Czytelniku, że przy dzisiejszych cenach, wtedy były podobne lub nawet nieco wyższe, nasz tzw. żołd wynosił około 400 zł. Co z tego, że mieliśmy wikt i opierunek, ale kasy i tak było mało. Co wtedy robi podchorąży? Nadra-

bia siłą i godnością osobistą. Nigdy nie usłyszałem, że na drodze jakiegokolwiek podboju stanął brak kasy. W ciemno mógłbym przysiąc, że moi koledzy to potwierdzą. Byliśmy młodzi i pełni entuzjazmu we wszystkim. Dużo by było opowiadać, co się nasłuchało o różnych przewagach naszego towarzystwa, ale ja oczywiście zmilczę ten temat. Faktem jednak jest, że Tomaszów był penetrowany permanentnie i skutecznie. A to były dopiero początki, bo w dalszym ciągu byliśmy tylko kaczorkami. Kaczorami był III rok. I na nich patrzyliśmy z zazdrością. Jakie oni panny holowali, ale wiadomo, co trzy paski to nie kaczorkowe dwa.

Minął wrzesień. Zajęcia cały czas trwały i opanowaliśmy kolejne etapy naszego wtajemniczenia, ale powoli stawało się jasne, że latać w tym roku już nie zaczniemy. Myślałem, że na zimę wrócimy do Dębina. Stamtąd niedaleko do Lublina, gdzie, miałem nadzieję - jak wkrótce się przekonałem płonną - czekała stęskniona Danusia. Wyrok zapadł w połowie października. Zostajemy na zimę w Tomaszowie, w Dęblinie nie ma dla nas miejsca, szkoła pęka w szwach. Przyjąłem wiadomość w podłym nastroju, jak i większość moich kolegów. Przyszliśmy tu latać, a nie siedzieć w środku lasu. Nastrój poleciał w dół. W sensie dzisiejszych kryteriów kwalifikowałoby się to do zbiorowej depresji, ale wtedy? Uczony w wojskowym piśmie stwierdziłby, że wojsku się we łbie poprzewracało i należy dać wojsku zajęcie. Tylko, że był jeszcze III rok i nikt nie miał głowy, aby się nami zajmować, więc z depresją radziliśmy sobie sami, zresztą całkiem skutecznie. Była „Jagódka”, była „Baśniowa”, „Tama” i jeszcze parę innych instytucji kulturalnych, gdzie skutecznie tej depresji stan podchorążych się pozbywał.

- Dwie dychy od łebka, teraz, na powrót - Szymbek wyciągnął rękę - ale już!

Niechętnie wyciągamy kasę i składamy na rękę Zbycha. Wsiadamy do autobusu nr 5 na podbój Tomaszowa. Zbyszek, ja, „Ichi” i „Old” - jedziemy. Zbyszek zebrał działkę „in advance”, tak by na powrotną taksówkę starczyło, bo inaczej trzeba by drałować pieszo. Po przyjeździe na miejsce idziemy do „Tamy”, aby pobrać rozruchowe piwko, na rozgrzewkę, jak mówi „Ichi”. Po pobraniu odwagi udajemy się do „Jagódki”, słynnej z superdancin-gów. Dostajemy ustronny stolik i zaczyna się zaba-

wa. Niestety, kończy się to awanturą z jakiegoś błahego powodu. Trochę ucierpiałem na tym ja i „Ichi”. Na szczęście „Old”, człowiek słusznego wzrostu, przeważał szalę na naszą stronę. I tak zakończył się nasz podbój Tomaszowa. Wróciliśmy na Glinnik taksówką, dzięki zapobiegliwości Zbycha.

Nazajutrz - sądny dzień. Dowiaduję się, że zostajemy w drugiej eskadrze u mjr. Samóla. Koledzy triumfują, są w I eskadrze u mjr. Kowalskiego. Szczerze im zazdroszczę i przewiduję pewne kłopoty z powodu II eskadry. Na pocieszenie dowiaduję się, że trafiam do klucza mjr. Maćka Kamyka. Moim instruktorem jest por. Waldemar Mikołajczyk. Na razie nic się nie dzieje, objamy się na potęgę. III rok intensywnie lata i dla nas nikt nie ma czasu. Dobrze, z jednej strony można wyskoczyć do Tomaszowa albo i do domu. Na lewo oczywiście. Co prawda, mamy formalnie dowódcę plutonu, por. Sieńka, ale ten poszedł z nami na układ i w zamian za zapewnienie, że nie damy ciała, sam jeździ też do domu. Konkluduję, że też na lewo... Los jest myśliwym.

Obiecanki, cacanki

Udało mi się wyskoczyć raz czy dwa na przepustkę do domu i do Lublina, gdzie ciągle usiłowałem, bez powodzenia niestety, zdobyć względy pewnej młodej damy o imieniu Danuta. A mówią, że za mundurem panny sznurem. Jakoś tego nie zauważyłem. Sądząc z opowiadań kolegów, po takich wypadach, byłem chyba wyjątkiem. Inni nie mieli takich problemów. Mimo, że instruktorzy są cały czas zajęci lotami z III rokiem, to jednak nasza lotnicza edukacja też powoli posuwa się do przodu. Powtarzamy ciągle wiadomości z eksploatacji samolotu. Zastanawiam się po co? Przecież już tyle razy to robiliśmy, napisaliśmy parę sprawdzianów, a tu wciąż do znudzenia.

- Pamiętajcie, stara zasada - to, co na ziemi umiesz na pięć, w powietrzu umiesz na trzy - ciągle słyszymy. Z jednej strony brzmi to trochę absurdalnie, ale z drugiej - liźnałem już trochę latania na szybowcach i wiem, że tkwi w tym ziarno prawdy. A przecież szybowiec to zaledwie hulajnoga przy samochodzie, jakim jest „Iskra”. Bardzo szybko przekonuję się o słuszności tej zasady. Pewnego dnia, kiedy akurat nie ma lotów, idziemy na lotni-

sko przećwiczyć praktycznie uruchamianie silnika i jego próbę. Wszystkie czynności i parametry mam wykute na blachę, wielokrotnie sprawdzone, a jednak przy spotkaniu z realnym samolotem dostaję trochę „małego rozumu”. Wszystko dzieje się dla mnie za szybko, za dużo parametrów trzeba na raz śledzić i za dużo czynności wykonać. Wychodzę z kabiny mokry jak mysz, ale pan instruktor jest zadowolony.

- Nie najgorzej - oświadcza. - Jest nadzieja, że będą z ciebie ludzie.

To oznacza, że nie jestem największym głąbem i może faktycznie coś ze mnie będzie.

Wieczorem dzielimy się wrażeniami i okazuje się, że wszyscy mieli podobne problemy. Część kolegów ma za sobą lotnicze przysposobienie wojskowe (LPW) i samodzielne loty na TS-8 „Bies”. Ci uchodzą w naszych oczach za prawdziwych wyjadaczy. A na naszych instruktorów patrzymy wręcz jak na nadludzi. W ogóle, w życiu lotniczym lepiej pamięta się pierwszego instruktora niż pierwszą dziewczynę. Powiem więcej, nie zapomina się nie tylko pierwszego, ale i każdego następnego. Pamiętam wszystkich moich instruktorów - od tych na szybowcach, mimo, że minęło już prawie 50 lat, poprzez wojsko, LOT, a później Singapore Airlines, Asiana Airlines i nawet z Silkway Airlines, gdzie właściwie to ja mógłbym, nieskromnie mówiąc, uczyć, ze względu na doświadczenie, tamtejszych instruktorów. Jestem w grupie z Krzyśkiem Geldnerem i Markiem Majorkiem. Naszym dowódcą kłucza jest początkowo kpt. Kamyk, ale wkrótce zostaje nim kpt. Kaczor. W drugiej grupie u por. Rogowskiego jest Bogdan Żegarski i Tadek Guła. Kiedy pierwsi mają zacząć loty, spada na nas, jak grom z jasnego nieba, wiadomość o kolejnej katastrofie w Modlinie. Zabił się instruktor z podchorążym III roku. Loty oczywiście zawieszone, trwa analiza przyczyn katastrofy. W Modlinie jest również grupa od nas z roku, a w niej dwóch moich dobrych kolegów - Marek „Kangur” Kaletka i Tadek „Wróbel” Telkowski. Dostaję od nich wiadomość, że wysyłają ich, w celu „odreagowania”, na krótki pobyt w WOSzK (Wojskowy Ośrodek Szkoleniowo-Kondycyjny) w Mrągowie. Oczywiście, jak mi później koledzy donoszą, pobyt był bardzo krótki, ale jakże owocny w różne wydarzenia „spod znaku płaszcza i szpady”, gdzie najmniej drastycznym było zanie-

czyszczenie munduru szefa sztabu przez jednego z naszych orłów. Przyczyną zaś było gwałtowne uczucie dyskomfortu, z nieznanego bliżej powodu u tegoż. Niektórzy beczelnie twierdzili nawet, że orzeł trochę przeholował w spożywaniu, ale kto by tam w to uwierzył... Złośliwych przecież nie brakuje. Nastrój u nas nie najlepszy, tym bardziej, że zapada również decyzja o wstrzymaniu naszego szkolenia i przełożeniu go na rok następny. Niestety chodzą stadami. Następuje również reorganizacja, niestety zostajemy u mjr. Samóla, który, co najgorzej, zaczyna się nami bliżej interesować.

- Powiadam, beton będzie gorący i nie róbcie jak pchor. Balawajder. Na „samowolkę” poszedł, nogę złamał i powiadam on do „Miga” już nie podejdzie - powtarza, podkreślając to charakterystycznym gestem przestrogi.

Wiemy, co prawda kto to Balawajder, ale nie bardzo wiemy o co chodzi z tym betonem. Uświadamiają nas koledzy z III roku. U nas na szczęście na „samowolce” nikt nogi jeszcze nie złamał, ale paru kolegów, wracając któregoś dnia z samowolnego wyjazdu, wpadło w sidła zastawione przez szefa sztabu ppłk. Kotrę. Ppłk Kotra szczególnymi względami darzył podchorążych (zresztą, kto nas nie darzył?). Podczas odprawy służb słynna była jego instrukcja dotycząca zaprawy porannej dla oficera dyżurnego:

- I uważajcie na tych z paskami - cedził przez zęby - to sami artyści. Prawie każdy to śpiewak - w szaliczku na zaprawę... I pianistów też nie brakuje... rękawiczki zakładają. Zasłynał on także wysmarowaniem płotu towotem, aby ci z paskami przez niego nie przełazili. Nie wiem, po co mielibyśmy przez ten płot przełazić, skoro można było przejść normalnie bramą. Ale nie zawsze. Właśnie na takich zastawił sidła, w swojej osobie ppłk Kotra. Niepodejrzewający niczego koledzy wracali późną wieczorną porą z wesołej wycieczki do Tomaszowa i nie chcąc fatygować się przez bramę, zrobili sobie skrót przez las. Nie było tam, co prawda płotu wypačanego smarem, ale za to czaił się złowrogi ppłk Kotra.

- Aaa... mam was skur...! - wykrzyknął. - Która eskadra? Dokumenty!

Nie wiedział na kogo trafił. „Tym z paskami” ani w głowie było dawać dokumenty, tylko zawinęły na pięcie i dali w tzw. długą. Szef sztabu dzielnie

ruszył za nimi, bo chody miał też nie najgorsze. Jednak pech to pech, po kilku krokach, kiedy już prawie dosięgał ostatniego, zaczął o jakiś korzeń i rymśnął jak długi, na dodatek spadły mu okulary, a bez okularów było mu trudno cokolwiek dostrzec. Chyba ze 6 dioptrii nosił.

- Hej, podchorąży, podchorąży zaczekajcie! Potrzebuję pomocy! - zawołał za oddalającą się rączym galopem trójką. - Nie uciekajcie! Pomóżcie! Obiecuję, nic wam nie zrobię!

Ostatniego z uciekinierów ruszyło sumienie. Zatrzymał się i nie zwracając uwagi na ponaglące krzyki pozostałej dwójki, zaczął podchodzić do leżącego i bezradnie szukającego okularów pułkownika.

- Chodźcie, pomóżcie, nic wam nie zrobię, tylko znajdźcie mi okulary, bez nich nic nie widzę, naprawdę nic wam nie zrobię.

Kolega ulitował się nad szefem sztabu i znalazłszy okulary ostrożnie zbliżył się do leżącego.

- Na pewno nic mi pan nie zrobi? - zapytał podejrzliwie, wręczając mu okulary.

- Nie, obiecuję!

Wstał na równe nogi i założywszy okulary na nos, złapał mocno podchorążego.

- Aaa... mam cię, złoczyńco - triumfalnie wykrzyknął - teraz już mi nie uciekniesz.

- Ale przecież pan obiecał, że jak pomogę...

- Obiecanki, cacanki! - przerwał mu. - Idziemy.

Sprawa oczywiście nabrała rozgłosu, wywołała wśród nie tylko nas, powszechną wesołość, ale skutek był taki, że mjr Samół zaczął się nami bardziej interesować. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Przepustki, powiadam wstrzymane i kontrola za kontrolą. Mjr Samół nosił ze sobą popularny notatnik TEWO, gdzie każdy miał swoje dossier, w którym przeważnie zasług nie było. Jurek „Bamber” Kielich podłożył się pierwszy. Został przyłapany na jakimś nieformalnym wyjeździe i jako pierwszy honorowo zaliczył 10 dni paki. Czyżby zły los się ode mnie odwrócił? A co będzie, jak sobie przypomnę o recydywistach, którym obiecywano odsiadkę zaległej „tury”, zadawałem sobie pytanie. Przeważnie dane mi było być zbiorowym uczestnikiem takich wydarzeń. Na szczęście nikomu z przełożonych ta złota myśl nie przyszła do głowy i „Bamber” poszedł odsiadywać sam, oczywiście w trybie szkolnym. Nie wiem dlaczego areszt no-

sił nazwę „Pod kominkami”, ale tak się utarło i już. Rzecz stała się w poniedziałek, a gdzieś około czwartku Jurek zaczął zanudzać towarzystwo prosbami o zamianę w areszcie z soboty na niedzielę.

- Panowie, dziewczyna do mnie przyjeżdża i jak to tak... ja w areszcie? Tam tego nikt nie kontroluje, byleby sztuka się zgadzała. Zamienimy się w sobotę wieczorem, a na powrót w niedzielę po obiedzie.

Chociaż obiecywał w zamian złote góry, chętnych jakoś nie było. W końcu Boguś Smiech, który był akurat na etapie studiowania konstytucji, miał taką ekstrawagancję, chodził cały czas z jej egzemplarzem pod pachą, wyraził zainteresowanie.

- Czytać tam można? - zapytał „Bambra”.

- Nam z paskami wolno - padła odpowiedź.

- W takim razie wchodzę w to - zdecydował Boguś.

„Bamber” pojechał na spotkanie z dziewczyną, Bogusiowi nikt nie przeszkadzał w studiowaniu państwowego dokumentu i wszyscy byli zadowoleni. Jednak w niedzielę po obiedzie, kiedy zamiast Bogusia do celi wróciła „inna sztuka”, dowódca warty zorientował się i narobił rabanu.

- To jest ciężkie przestępstwo! - pienił się.

- Ja muszę o tym zameldować! Nie było jeszcze takiego przypadku w wojsku!

- Panie chorąży - zaczął „Bamber”, kiedy tamten na chwilę przestał - czy oprócz tego, że wie o tym pan, ja i kolega, ktoś jeszcze się dowiedział? Czy z tego powodu coś się stało? Jak pan zameldujesz, to przede wszystkim pan dostaniesz po uszach. Ja dostanę, powiedzmy, następne 10 dni do odsiadki, kolega też. A pan? No, nie wiem. W końcu to pan tego nie dopilnował. Opłaca się panu wszczynać aferę? Nie sadzę. Ja przecież nie będę się chwalił tym na lewo i prawo. Przemyśl to pan na spokojnie, zanim wykonasz jakiś głupi ruch.

Biedny dowódca warty złapał się za głowę, poszedł do swojej „kapciory” i przekalkulowawszy wszystkie za i przeciw, dał sprawie spokój. I tak przypadek zamiany aresztanta nie wyszedł na jaw i nie został odnotowany w rejestrze wykroczeń Wojsk Lotniczych, a „Bamber” wyszedł na wolność w glorii pierwszego skazanego w Tomaszowie z naszego roku.

kpt. Marian Rybczyński

Iwona Chudoba**bilet**

podczas ostatniej podróży
na białym obłoku
układałam noc do spania
gdy ta częstowała mnie
magicznym uśmiechem
przepięknie wkomponowanym
w rozgwieżdżone niebo
jakby tam chciała trwać
w realnym bezmiarze wolności

wyrwana ze świata absurdu
chłonę dobroć
ukrytą pod warstwą życia

sny

kolekcjonuję sny
otwierane nocą
układam według schematu
wysokiej półki
popadam w rutynę
osnutą milczeniem
oswobadzam z ciężaru właściwego
lekką niczym puch drzemkę
wprowadzam w stan nieważkości
ospale części ciała

aranżacja własna
nie do podrobienia
spakowana przez przypadek

bez nas

wewnątrz nas zbudowano mur
co odgradza naszą inteligencję od głupoty
wysokość nie ma znaczenia
bo plastyczna masa szybko twardnieje
może to celowa gra podyktowana
chęcią rewanżu za niezapamiętanie
kiedy przyjdzie pora na rozbudowę myśli
kondygnacje stworzą prowizoryczny układ

w nas samych

stoję
chciana
niechciana
w kolejce
pod chatą starca
którego nazywają Bogiem

słowa w nagość ubrane
trzymam w gardle

słyszę deszcz

uderza bezboleśnie
jakby potrzebował
swojej niewiny

przemokłam przeszłością
susząc łzy

ogrzana cząstka myśli
jak żar z wysoka
leje się na mnie
pojedyncze nitki
zdobią ciało
w znane sobie
wzory i kolory
kropla
po
kropli
rozpływam się
na dobre
pragnę
czuję
widzę
smakuję
nie tracę kontroli
żeby była jasność

uczę się siebie od nowa
testuję
sprawdzam wytrzymałość
przywiązuję mniejszą wagę do detali
poddaję obróbce niewygodną jednolitość
udaje mi się zaskakiwać
nawet samą siebie
drzemiące w środku pokłady buntu
przechodzą metamorfozę
w ciepłym klimacie
stałam się bardziej łagodna

świat
magicznych barw
bezludnych wysp
spłoszonych doznań
przemkną wąską ścieżką

przyozdobił nitkami
skrawki myśli
w poplątanym życiu
uszytym bez miary

z letnich dni
na łące pośród kwiatów
słowa rozsiane
wydziobują ptaki

Iwona Chudoba
(wiersze z sennej kolekcji)



rys. Urszula Gierszon

Marta Kafarska



Moje wspomnienia

Długo zastanawiałam się, czy ja, jako rodowita krasnostawianka, stała mieszkanka i senior, mogę napisać kilka wspomnień z naszego pięknego miasta Krasnegostawu. Przyznam, że impulsem dla mnie były opracowania zamieszczone w „Nestorze”, które były mi bliskie i tak bardzo odświeżały moją pamięć. Ciekawe i wzruszające były artykuły oparte na własnych wspomnieniach i przeżyciach, jak również te, które wymagały żmudnej pracy w poszukiwaniu źródeł, czego wynikiem były obszerne informacje historyczne z różnych dziedzin życia i tematyki naszego miasta, regionu i nie tylko. Ponadto piękna była również poezja, która jest wyrazem indywidualnych uczuć i myśli.

W tym miejscu składam serdeczne podziękowania wszystkim ich autorom, a w szczególności dla całego zespołu redakcyjnego „Nestora” wraz z jego naczelnym redaktorem Panem Andrzejem Misiurą, a także dla całego zespołu, który stale współpracuje z „Nestorem”, jak również innym pozostałym osobom.

Urodziłam się w Krasnymstawie w roku 1941, a więc w środku tak okrutnej II wojny światowej. Z relacji moich rodziców wiem, jak trudne i straszne były to czasy, w dodatku z tak malutkim dzieckiem. Wiem też, że w tym okresie bardzo chorowałam i byłam skutecznie leczona przez felczera, zielarza, a właściwie wspaniałego lekarza śp. Leonida Gawryłowa. Później bardzo chorowała też moja mama. Pamiętam, jak przychodził do nas do domu i leczył ją. Miał charakterystyczny głos o akcencie rosyjskim. Wiele już o nim pisano w różnych publikacjach, były piękne słowa i dużo było również o nim w „Nestorze”. Był to człowiek niezwykły, wyjątkowy, ofiarny, który przez długie lata niósł pomoc ludziom potrzebującym, nawet bezinteresownie.

Na przestrzeni lat w naszym mieście powstało wiele ulic upamiętniających ważne, zasłużone osoby dla naszego kraju, w tym również dla naszego miasta. Wymienię niektóre: Mickiewicza,

Piłsudskiego, Poniatowskiego, Sikorskiego, Kościuszki, Okrzei, Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Bojarczuka, Matysiaka. Ostatnio również powstała ulica św. Jana Pawła II - zwierzchnika Kościoła rzymskokatolickiego, orędownika pokoju na całym świecie, namiestnika Chrystusa.

Nasze miasto doceniło również zasługi wspaniałego kiedyś lekarza, podejmując uchwałę o zmianie nazwy dawnej ulicy Mokrej na Gawryłowa. Jest to ulica, a właściwie mała skromna uliczka, tak jak skromny był jej mieszkaniec. Biorąc jednak pod uwagę jego olbrzymie zasługi, myślę, że powinna być bardziej wyeksponowana. A co najważniejsze, miejsce jego zamieszkania i udzielania pomocy lekarskiej przez tyle lat tak wielu ludziom powinno być upamiętnione odpowiednią tablicą, gdyż ten zacytowany człowiek zasłużył sobie na to. Ten wspaniały lekarz pochowany jest przy głównej alei naszego cmentarza parafialnego. Cześć Jego pamięci.

Moja mama nieraz mówiła, że swoje życie zawdzięcza też śp. pani Mechejskiej, która była moją mamą chrzestną. Mąż jej w czasie wojny, w malinach w swoim ogrodzie przy ulicy Kołowrót wykopał duży schron, w którym znaleźli schronienie nawet sąsiedzi. Moi rodzice też wówczas tam mieszkali. Pewnego dnia moja mama siedziała przy wejściu do schronu na kocu i jadła z blaszanej miski kluski z malinami. Nagle, w tym czasie był nalot samolotów niemieckich. Podobno leciały bardzo nisko. Pani Mechejska krzyknęła, aby mama natychmiast schowała się do schronu, co też szybko uczyniła. W tym miejscu, gdzie siedziała spadła bomba. Gdy ucihło, okazało się, że został zabity pies, koc, na którym siedziała mama został zniszczony, blaszana miska podziurawiona i pognięta. Zniszczona została również książeczka do nabożeństwa, która leżała obok. Ta książeczka później przez wiele lat leżała w pokoju w szufladzie mojej mamy - w domu na ulicy Zawieprze. Pamiętam, nieraz miałam ją w rękach. Była bardzo podziurawiona, popalona, w strzępach. Później już jej nie widziałam. W szufladzie mamy były również listy pisane do moich rodziców przez mamę Wojciecha Siemiona. Mama Siemiona i mama mojego ojca były rodzonymi siostrami. Mieszkała ona w Lublinie. Po wojnie moi rodzice nieraz ją odwiedzali. Moja mama zmarła w wieku 94 lat. Ludzie w podeszłym wieku robią nieraz porządki po sobie.

Tak było i teraz. Pozostały jednak zdjęcia Wojtka Siemiona i jego mamy wraz z dedykacjami. Wśród pamiątek mamy znalazłam wzruszającą modlitwę dr. L. Gawryłowa. Z treści tej modlitwy wnioskuję, że była ona pisana wspólnie z jego żoną. Domniemywam również, że mogła to być początkowa wersja tej modlitwy przekazana wówczas, kiedy będąc małym dzieckiem, chorowałam lub później, kiedy chorowała moja mama, a ja byłam w szkole podstawowej. Wersja modlitwy, którą podała śp. pani Irena Iwańczyk w „Nestorze” (nr 4/30/2014) zawiera wiele pięknych, dodatkowych słów.

W tym miejscu nie mogę nie wspomnieć pani Ireny, z którą utrzymywałam kontakt telefoniczny od chwili odejścia mojej wspaniałej koleżanki i sąsiadki śp. Ani Brachy. Panią Irenę poznałam bliżej na imieninach kilka razy u Ani. Telefonicznie rozmawiałam z nią o tym, jak pięknie pożegnała swoje koleżanki z pracy ze Szkoły Podstawowej nr 5, śp. Anię Brachę i Lucynę Sobczak, pięknymi słowami, jako nauczycielka i jako poetka na łamach „Nestora”. Jeszcze w maju br., w którym odeszła pani Irena, pytała mnie, kiedy ukażą się moje wspomnienia w „Nestorze”, o czym wiedziała i chciała je poznać, a ja też tak bardzo tego chciałam. Powiedziałam wówczas, że są już przepisywane na komputerze przez moją wnuczkę, która jednocześnie zajmuje się nauką zdalną jako studentka.

Pani Ireno, jakże brakuje mi w tej chwili rozmów telefonicznych z Panią, jako wspaniałej nauczycielki naszego ojczystego, polskiego języka i jako poetki. Jakże znamienne i wymowne są słowa śp. ks. i poety Jana Twardowskiego:

*Śpieszmy się kochać ludzi
Tak szybko odchodzą
Zostaną po nich buty i telefon głuchy.*

Kilka słów jeszcze o śp. panu Mechejskim. Był on znanym i cenionym zegarmistrzem w naszym mieście. W domu miał kolekcję zegarów. Zapamiętałam duży zegar w jego pokoju sięgający do sufitu, który wskazując godziny, wydzwaniał piękne kuranty. Jego zakład z niezwykle też zegarem w oknie był atrakcją na naszej starówce. Kiedy się przechodziło chodnikiem, zawsze było widać za tym zegarem zapracowanego z lupą w oku pana Mechejskiego.

Dokładnie nie wiem, ale pewnie pod koniec wojny zaczęłam uczęszczać do przedszkola, które miało swoją siedzibę w prywatnym budynku pani lek. stom. Kosteckiej. Budynek ten stoi do dziś przy ulicy Okrzei, naprzeciw domu kultury. Widnieje na nim rok jego budowy 1889. Przedszkole było prowadzone przez młode siostry zakonne. Pamiętam, że były to siostry Maria i Bogumiła. Była też jeszcze jedna starsza siostra, która nie zajmowała się dziećmi, ale innymi sprawami. Być może były to sprawy administracyjne.



Marta Kafarska, druga od lewej (przy siostrze zakonnej).

Ze skromnej informacji w Internecie dowiedziałam się, że przedszkole moje działało w latach 1944-1949 przy ul. Lubelskiej i utrzymywane było z własnych funduszy sióstr zakonnych. Dużo natomiast jest o działalności sióstr w tym czasie w innych placówkach na terenie Krasnegostawu. W tej chwili utrzymuję kontakt telefoniczny z Archiwum Głównym Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP w Starej Wsi. Posiadam dokładny życiorys i zdjęcia zmarłych już sióstr z ich dowodów osobistych. Moich wychowawczyń w przedszkolu, z czasów na pewno trudnych, wojennych i powojennych, za co jestem wdzięczna. Natomiast na prośbę siostry z archiwum, przekazałam do wykorzystania swoje zdjęcia z przedszkola i I Komunii Świętej, gdyż archiwum nie posiada innych zdjęć z tego okresu. Pośrednikiem w tej sprawie była siostra Lidia z zakładu w Tuligłowach. Z archiwum dowiedziałam się również, że siostra, która jest na moim zdjęciu grupowym z przedszkola i I Komunii św., nie pracowała w przedszkolu i w szkole. Pomagała tam tylko dorywczo. Stale natomiast zajmowała się szyciem

w pracowni krawiecko-bielizniarskiej prowadzonej przez siostry dla młodzieży w czasie II wojny światowej i po wojnie.

Pamiętam jak pewnego dnia wracałam z przedszkola do domu ze starszym bratem śp. Ryśkiem przez nasz park. Na jego środku stały wykopane trumny. Jedna była odkryta. W niej jakąś postać, a obok niej leżał karabin. W naszym parku stał wysoki pomnik - postument w zielonym kolorze, z czerwoną dużą gwiazdą na szczycie. Mówiono, że byli tam pochowani żołnierze radzieccy, którzy później zostali przeniesieni na miejscowy cmentarz. Dziś w tym miejscu jest fontanna.

Miłym wspomnieniem dla mnie z przedszkola są występy w historycznej sali sejmikowej, a obecnie sali konferencyjnej Urzędu Miasta, na takich uroczystościach jak choinki świąteczne, noworoczne i inne. Zapamiętałam małą scenkę. Występowałyśmy z koleżankami w białych fartuszkach na szelkach i śpiewałyśmy m.in. „Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”, a mimo to później częstowałyśmy ciasteczkami publiczność na sali. Tę



Przy scenie na przedszkolnej choince w sali sejmikowej.



Na przedszkolnych schodach. Drugi rząd od dołu, pierwsza od lewej kol. Krysia Klisowska, obok kol. Krysia Brzozowska, obecnie Poniewierska, za nimi nieco powyżej jako czwarty Jurek Tchórzewski, poniżej z jego lewej strony kol. Asia Korczak. W środku od lewej siostra Bogumiła i siostra Maria. Nad siostrami stoi Ania Tworuszka, a z jej lewej strony kol. Krysia Pidek. W górnym rzędzie piąta od lewej - autorka Marta Kafarska. W tle mało widoczna starsza siostra Józefa.

chwilę zapamiętałam, ale jak przez mgłę. Biały fartuszek szyty przez moją mamę był potem przez długie lata jeszcze w moim domu. Słynna sala sejmikowa była kiedyś jedyną salą reprezentacyjną w mieście. Odbýwały się w niej wszystkie uroczystości państwowe, imprezy kulturalne. Była tam

również duża scena, pamiętam dokładnie, w którym miejscu sali. Domu kultury wówczas jeszcze nie było, był w budowie. Nie było tam jeszcze żadnych ścian, tylko coś niskiego - fundamenty. Jako pamiątkę z przedszkola mam zdjęcie z Mikołajem na scenie w sali sejmikowej. Mam również zdjęcie w przedszkolu z siostrą Bogumiłą i koleżankami. Mam także pamiątkowe zdjęcie całej mojej grupy na wysokich schodach prowadzących do przedszkola. Wiele osób wyjechało, wiele z nich już odeszło, ale są tam koleżanki, które bardzo były i są związane z naszym ukochanym miastem. Krysia Pidek pracowała początkowo w administracji powiatowej, a później miejskiej i zajmowała się sprawami ewidencji ludności i dowodami osobistymi. Przez 40 lat miała możliwość poznać mieszkańców. Krysia Klisowska również pracowała w administracji powiatowej, w większości w wydziale finansowym w domu sejmikowym. Krysia miała wrodzone, wybitne zdolności plastyczne potem nieraz bardzo przydatne w pracy. Moja praca związana była z finansami, początkowo w wydziale finansowym, a końcowo w urzędzie skarbowym. W tym okresie miałam ośmiu pracodawców.

Jest mi niezmiernie przykro, że ze zdjęcia grupowego z przedszkola zabrakło mi w i tak już



Środek dolnego rzędu: kol. Krysia Pidek (długie, lokowane włosy), czwarta od prawej - kol. Ania Tworuszka, po lewej stronie ks. Wacława Kowalskiego autorka, natomiast po prawej stronie kol. Asia Korczak. Po lewej stronie s. Klaudia, a po prawej s. Bogumiła.

nikłym naszym gronie koleżanki śp. Ani Tworuszki, która odeszła nieoczekiwanie 29 stycznia 2021 r. Ania przepracowała wiele lat w szkolnictwie. Opracowała również pamiątkową książkę o naszej najstarszej szkole - Liceum i Gimnazjum im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie. Cześć Jej pamięci.

Po latach z moją koleżanką Krysią Pidek, już jako emerytki wybrałyśmy się do naszego przedszkola, gdzie nie byliśmy od chwili jego ukończenia. Obecnie jest tam sklep z odzieżą. Weszliśmy do budynku po tych, jakże pamiątkowych, wysokich schodach. Już w pierwszym pomieszczeniu mówię: „Krysiu, tutaj była nasza szatnia, tutaj wisiały nasze worki na buty”. Drzwi do sali, w której przebywałyśmy całymi dniami są zamurowane. Ożyły w nas wspomnienia z dawnych lat.

Po ukończeniu przedszkola zaczęłam uczęszczać do Szkoły Podstawowej nr 5. W klasach I-III była wspaniała wychowawczyni o nazwisku Oberdówna. Była też siostra zakonna Klaudia, która uczyła religii i przygotowała nas do I Komunii św.

W tym czasie byłam dwukrotnie podczas wakacji na koloniach letnich w Rybczewicach, jakże odmiennych od tych, które dzisiaj mają dzieci. Zapamiętałam wyjazd spod szkoły samochodem ciężarowym pod plandeką i siedzenie na walizkach. Na miejscu w Rybczewicach trzeba było przygotować sobie spanie z siennika wypełnionego sianem. Pomagał nam w tym wychowawca chłopców pan Ryszard, syn znanego malarza w naszym mieście śp. p. Czwoźnoga. Pan Ryszard pięknie grał na akordeonie. W każdą niedzielę chodziliśmy daleko przez łąki do kościoła w Częstoborowicach. Zapamiętałam wysokie, zadaszone schody prowadzące do kościoła.

Gdy byłam w klasie IV nie było już religii w szkole. Była to wówczas tzw. szkoła TPD. Siostra Klaudia wyjechała z Krasnegostawu. Naszym wychowawcą był pan, który na lekcjach wychowawczych odradzał nam chodzenie do kościoła i wyrażał swoją antypatię do łańcuszków na szyi, które nosiliśmy od niedawna. O tym wszystkim mówiłam w domu mamie, która bardzo denerwowała się z tego powodu. W szkole, na początku roku było zebranie rodziców. Było to zebranie ogólne, a później wszyscy rozchodzili się do poszczególnych klas. Na zebraniu ogólnym były rozpatrywane różne sprawy. Wówczas moja mama Janina Woj-



S. Zuzanna M.
Klaudia Juszcak
(1917-1991)

S. Rozalia Maria
Słobodzian
(1917-2002)

S. Józefa M.
Bogumiła Tygar
(1923-1995)

ciechowska zabrała też głos i powiedziała m.in.: „Nie ma religii w szkole to trudno, ale to nie powód, żeby nauczyciel w szkole wpajał dzieciom własne poglądy antyreligijne”. Do mojej mamy dołączyli inni rodzice i powstał szum. Okazało się, że nie tylko ja przekazywałam w domu to, co wówczas mówiło się w szkole. Nauczyciel podszedł później do mojej mamy i wymachując ręką wykrzyczał: „jak pani mogła publicznie tak mówić?!”. Skutkiem tego wystąpienia było przeniesienie dzieci tych rodziców do szkoły nr 1. Było nas siedmiu, w tym dwie koleżanki z klasy. Moja mama była też kilka razy wzywana na różne przesłuchania, zachodziło podejrzenie, że mogła być to zmowa, której jednak nie było.

Do szkoły nr 5 miałam blisko, tylko kilka minut drogi. Gdy wyszłam z domu na ulicę, szkoła była na wyciągnięcie ręki. Teraz rano musiałam wychodzić o wiele wcześniej z domu, mijać swoją szkołę, iść przez most, centrum miasta, przez długą ulicę Poniatowskiego, którą opisywał w „Nestorze” nr 2/52/2020 pan Naliwajko, i skręcałam zaraz obok krzyża, który stoi tam do dziś. Skręcało się na ukos przez pusty plac, wydeptaną ścieżką przez jej uczestników, gdyż nie było tam jeszcze żadnych zabudowań i wychodziło się wprost na szkołę nr 1 przy ul. Szkolnej.

Budynek szkoły był parterowy i mieściły się w nim tylko cztery sale lekcyjne. Nauka odbywała się więc na zmiany. Za budynkiem był jeszcze jeden podobny dom, tylko z gankiem, w którym mieszkała pani kierownik Joanna Świechowa. Zajmowała tam dwa pomieszczenia. W jej pokoju była cała dokumentacja szkoły. W budynku była jeszcze biblioteka, a później także jedna dodatkowa sala lekcyjna. Wcześniej, przed panią Świechową,

kierownikiem szkoły był jej mąż Stanisław Świech, który, gdy tam przyszłam był już bardzo chory. Zapamiętałam go, jak siedział nieraz na ganku okryty kocem. Wkrótce zmarł. W szkole przyjęto nas bardzo dobrze, gdyż wiadano z jakiego powodu tam trafiliśmy. Szczególnie zapamiętałam ks. Ciołka, który uczył nas religii. Moją wychowawczynią była wspaniała pani Waleria Barańska, która uczyła większości przedmiotów. Języka polskiego w klasie siódmej uczyła pani Tekla Podgórska, która przygotowała wieczór mickiewiczowski, gdyż patronem szkoły był Adam Mickiewicz. Szkoła była bardzo dumna ze swego patrona. Cała uroczystość odbyła się w domu kultury. Wystawiona była IV część „Dziadów”. Występowały też „świtezianki”, byłam jedną z nich. Miałymy długie, białe sukienki uszyte z gazy kupionej w aptece, które były następnie krochmalone, aby były sztywne. Wówczas w sklepach nie było dużego wyboru materiałów. Była też recytacja fragmentu z „Pana Tadeusza”: „Poloneza czas zacząć...”, którą pięknie deklamowała kol. Irena Faustman. Następnie koleżanki i koledzy z młodszych klas w przepięknych strojach zatańczyli poloneza „Pożegnanie ojczyzny” – kompozycji Michała Kleofasa Ogińskiego. Matematyki w klasie siódmej uczyła pani Aleksandra Prokopowicz. Lubiłam z nią lekcje, gdyż zawsze tak umiejętnie prowadziła je, że zostawiała kilka minut, aby pod koniec opowiadać nam przeczytane książki. Miała dar opowiadania. Słuchaliśmy z zapartym tchem i czekaliśmy do następnej lekcji, z myślą, co będzie dalej. Wówczas poznałam już wstępnie „Trylogię” Sienkiewicza. Śpiewu uczył pan Włodzimierz Daszczyszak. Zorganizował on zespół instrumentalny. Szkoła zakupiła mandoliny – sześć sztuk. Grałam na jednej z nich. W zespole były jeszcze dwa akordeony, na których grali koledzy. Były to ich własne instrumenty. Nauczyciel pan Daszczyszak grał na skrzypcach. Występowaliśmy często w szkole na różnych uroczystościach, a także w domu kultury. W szkole nr 1 była wówczas, jak wspomniałam wcześniej, lekcja religii, której uczył ks. Ciołek. Odbywała się ona nieraz na dworze, „na świeżym powietrzu”, jak mówił ks. Ciołek, pod olbrzymią lipą, która rosła przed szkołą i była ogrodzona szeroką ławką, na której siadaliśmy. Ksiądz był jednocześnie administratorem małego kościołka, w którym msza św. odprawiana była jeden raz

w niedzielę o godz. 10.00. Na wysokiej ambonie po lewej stronie głosił kazania. Zapamiętałam również w kościółku tabliczki blaszane przymocowane do ławek ważnych wówczas osób w mieście. Jedną z nich należała do słynnej chirurgi śp. pani Ireny Czarneckiej, która operowała mnie na wyrostek.

W szkole nr 1, jak też wcześniej w przedszkolu, miałam kolegę Jurka, który był synem prof. Franciszka Tchórzewskiego, który uczył nas później w liceum. Był też kol. Jan Stolecki. Pamiętam, że jego ojciec był przewodniczącym rady rodziców i w tej funkcji był bardzo zaangażowany. Później pełnił stanowisko przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej. To stanowisko było kiedyś równorzędne z obecnym stanowiskiem burmistrza. Urzędował w naszym ratuszu. Podejrzewam, że była to rodzina pana dr. Kazimierza Stoleckiego.

W szkole nr 1 miałam też koleżankę Joasię Korczak, która wcześniej była ze mną w szkole nr 5, a także w przedszkolu. Jej wychowaniem zajmowała się ciocia z rodziny ojca, która była już w podeszłym wieku. Już wówczas Asia była właścicielką po ojcu kamienicy na naszej starówce, w której przez wiele lat miał swoją siedzibę sąd powiatowy. Asia była też właścicielką dużego ogrodu przylegającego do kamienicy, w którym jej ciocia uprawiała i pielęgnowała piękne kwiaty. Można było je kupić, gdyż wówczas w mieście nie było jeszcze kwiaciarni. Ciocia Asi miała do pomocy zatrudnioną jeszcze jedną osobę o imieniu Kasia. Ogród był bardzo duży, były tam alejki i ławki i nieraz tam przebywałam z koleżankami. Już wtedy w klasie mówiło się, że Asia jest bogata, majątna. Nie miała jednak tego, co jest najważniejsze w rodzinie. Asia z ciocią mieszkały w budynku parterowym w ogrodzie, który jednocześnie przylegał do kamienicy. Wchodziło się tam przez furtkę w rogu przy sądzie przy głównej ulicy Lubelskiej, teraz Matysiaka. Była ona zainstalowana na sprężynie i otwierała się z niewielkim wysiłkiem, a później sama zamykała się z hukiem. Do budynku można było również wejść od tyłu za sądem przez taką samą furtkę. Później w ogrodzie Asi, przy głównej ulicy Okrzei pan Wojtał miał budkę z piwem, które miało duże powodzenie. Ze szkoły nr 5 zapamiętałam taki moment, jak do Asi przyjechała mama z młodszą siostrą i przyszły do szkoły. Wówczas Asia była zwolniona z lekcji. Było to wielkie wyda-

zenie, dla nas w klasie jednak dziwne. Pamiętam również, jak pewnego dnia Asia spacerowała po naszej starówce ze swoim ojcem, który ją odwiedził. Ze szkoły nr 5 zapamiętałam jakąś szczególną opiekę s. Klaudii w stosunku do mojej koleżanki. Przebywała ona często u niej. Pamiętam, że w ogrodzie Asi zdawałam też z koleżankami egzamin do I Komunii św. Asia była zawsze samodzielna i bardzo energiczna, być może zmuszały ją do tego warunki. Jeszcze, gdy była w szkole nr 1, zmarła jej ciocia. Asia, jako już osoba dorosła wyjechała. Przyjeżdżała później i zajmowała się swoimi nieruchomościami. W tej sprawie była również interesantką mojego męża - byłego naczelnika miasta - Ludwika Kafarskiego. Obecnie blok mieszkalny, który został pobudowany na nieruchomości mojej koleżanki, jest własnością - wg moich informacji - spółdzielni mieszkaniowej, która przejęła go od miasta aktem notarialnym z 7.11.1995 roku. Nie wiem tylko na jakiej zasadzie miasto przejęło tę nieruchomość. Budynek po sądzie został zakupiony przez osoby prywatne, ale nie mam informacji kto był sprzedawcą. Moja koleżanka w tej chwili już nie żyje. Miałam jednak możliwość poznać jej syna.

Po latach, jako osoba dorosła, wybrałam się do Lublina, gdyż studiowałam wówczas zaocznie. Były to studia administracyjne na UMCS. Na dworcu wsiadłam do autobusu i zajęłam miejsce zaraz na przedzie, obok starszej, sympatycznej i eleganckiej pani. Gdy autobus ruszył i przejeżdżał ulicami miasta, ta pani zaczęła spoglądać przez szybę na prawo, na lewo, a widząc zwróconą na to moją uwagę, powiedziała: „ja tak miło wspominam Krasnystaw, gdyż ja tutaj kiedyś mieszkałam”. Wtedy mówię: „Krasnystaw nie jest dużym miastem, ale ja nie przypominam sobie pani”. „Ja mieszkałam na ulicy Lwowskiej, a mój mąż był dyrektorem zakładów mięsnych”. „Czy pani przypadkiem nie nazywa się Olszańska? „A tak” - usłyszałam. „To ja muszę pani powiedzieć, że chodziłam z pani córką Danusią do szkoły nr 5, a później byliśmy przeniesione do szkoły nr 1”. Naszym wspomnieniom podczas podróży do Lublina nie było końca.

Miło mi było, gdy po latach wróciła do Krasnegostawu s. Klaudia i uczyła jak dawniej religii i przygotowała również moje dzieci do I Komunii św.

Gdy kończyłam Szkołę Podstawową nr 1 odbyła się w maju 1955 roku duża uroczystość - wmurowanie kamienia węgielnego pod nowy budynek szkoły, na który wcześniej wpłacane były przez nas składki. Aktu tego dokonała śp. pani kierownik Joanna Świechowa. Przyznam, że było mi bardzo miło, byłam wzruszona, gdy po latach, będąc w naszej księgarni zauważyłam książkę pt. „Szkoła Podstawowa nr 1 w Krasnymstawie końca drugiego tysiąclecia”, opracowaną przez dyrektora Edwarda Polskiego. W tym też miejscu serdecznie dziękuję p. dyrektorowi za tę wspaniałą pamiątkę. W tej chwili w zmodernizowanym i rozbudowanym budynku starej szkoły nr 1 ma swoją siedzibę „Caritas”.

Moją dalszą naukę kontynuowałam w Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława Jagiełły w starym budynku. (dzisiaj mieści się tam szkoła specjalna). Byli tam wówczas starsi profesorowie: Franciszek Tchórzewski, który uczył języka francuskiego i łaciny (mówił na mnie „Macia”), Janina Wierciak - matematyki, Franciszek Podgórski - historii i prof. Zofia Wagchgesang - języka polskiego. Z jej inicjatywy powstało w liceum harcerstwo. Swoich profesorów pamiętam i wspominam bardzo dobrze. Wiem, gdzie mieszkali, a domy prof. Tchórzewskiego i Janiny Wierciak stoją do dziś. Prof. Tchórzewski swój dom - bliźniak na ulicy Sikorskiego, pobudował już po wojnie. W budynku piętrowym z balkonikiem zlokalizowanym na wzgórku na ulicy Sikorskiego, w którym mieszkała prof. Wierciak, byłam kilka razy z koleżankami. Była również moją wychowawczynią. Bardzo wzruszyłam się, gdy po latach przeczytałam książkę dr. Leszka Janeczka „Gimnazjum i Liceum im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie w czasie II wojny światowej”. Dowiedziałam się wówczas, jaką drogę wcześniej przeszli moi profesorowie, zajmując się tajnym nauczaniem. Przyznam, że uczęszczając do szkoły, nie wiedziałam, nigdy nie słyszałam o tym i może to dziwne, że będąc już w podeszłym wieku, zupełnie tego nie rozumiem. W tym też miejscu składam serdeczne podziękowania dla absolwenta tej szkoły pana dr. Leszka Janeczka.

W liceum wówczas byli również młodzi profesorowie, którzy rozpoczęli swoją pracę pedagogiczną w tej szkole zaraz po ukończeniu studiów. Prof. Feliksa Korol uczyła języka rosyjskiego, prof. Stanisław Kosmowski - przysposobienia wojskowe-

go, prof. Franciszek Karolczyk - biologii i geografii, Zygmunt Różycki - języka polskiego i prof. Jan Zahor - fizyki. Prof. Korol-Kociuba w Krasnymstawie ułożyła również swoje życie prywatne, rodzinne. Natomiast charakterystycznym momentem młodych profesorów, był fakt, że weszli oni w związki małżeńskie ze swoimi uczennicami a naszymi koleżankami - oczywiście po ukończeniu szkoły. Prof. Feliksa Kociuba i prof. Stanisław Kosmowski, są moimi najdłużej żyjącymi profesorami.

Będąc w liceum, założyłam pamiętnik. Wpisywały mi się koleżanki i koledzy, a ponadto na moją prośbę zamieszczali swoje zdjęcia. Jako motto do pamiętnika wpisałam słowa Stanisława Wyspiańskiego:

*I ciągle widzę ich twarze,
Ustawnie w oczy ich patrzę
Ich nie ma - myślę i marzę
Widzę ich w duszy teatrze*

Po latach wybrałam się podczas urlopu z moją młodszą córką Kasią na kilka dni do mojej siostry Basi do Lublina. Było lato, wakacje. Moja siostra pracowała wówczas jako pielęgniarka w szpitalu wojskowym, a ja przebywałam z jej małym synkiem i swoją córką u niej w domu. Pewnego dnia ugotowałam obiad i wyszłam z dziećmi przed blok na spotkanie z siostrą. Był tam nieduży park. Usiadłam z nimi na ławce i zauważyłam, że alejką dość szybkim krokiem idzie mężczyzna, rozpromieniony i popija piwo z butelki. Pomyślałam: „oby tylko nie usiadł na naszej ławce”. A jednak usiadł. W pierwszej chwili miałam odruch, aby się przesiąść, ale obawiałam się, że może powiedzieć mi jakieś głupstwo. Po chwili zwrócił się do mojej córki i pyta: „Do której szkoły tutaj chodzisz?” - „Ja tutaj nie chodzę, ja chodzę w Krasnymstawie” - odpowiedziała. „W Krasnymstawie? Znam Krasnystaw” i zwracając się do mnie, mówi: „wie pani, ja kiedyś w Krasnymstawie obracałem się w nie byle jakich kręgach”. Wymienia prof. Kraczkę - „Znam, uczył mnie w liceum języka francuskiego”. Dalej wymienia prokuratora Brachę. „Bardzo znana i poważna osoba w naszym mieście” - powiedziałam. Wymienił jeszcze nazwisko, którego nie pamiętam. Po chwili mówi: „A w ogóle muszę pani powiedzieć, że miałem dziewczynę, która za wcześniej ode-

szła”. Z treści tej rozmowy wywnioskowałam, że to moja koleżanka z liceum, mieszkała na starówce. Wówczas mężczyzna wstaje z ławki i z wrażenia całuje mnie w rękę. Po chwili mówi: „Jaka szkoda, że jej nie wziąłem”. Ja mówię: „Pamiętam, że moja koleżanka chodziła kiedyś z takim blondynkiem”. „Niech mi się pani przyjrzy, to byłem właśnie ja, tylko miałem kiedyś więcej włosów na głowie” - powiedział. Spojrzałam na niego: „Tak, przypominam sobie pana, poznaję pana” - powiedziałam. Zapanaowała cisza. Po chwili mówię: „Dziś taki upał, a pan pije piwo”. Wtedy wstał z ławki, spojrzał na mnie, przechylił butelkę i powoli wylał resztę jej zawartości na trawnik. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Zamieniliśmy jeszcze kilka słów i po chwili wstałam z ławki, powiedziałam do widzenia i odeszłam z dziećmi. Bardzo, ale bardzo żałowałam potem, że bliżej nie ujawniłam się, gdyż jak wróciłam do Krasnegostawu i oзнакомиłam o tym spotkaniu mężowi, powiedział, że to był na pewno jego były kolega. Bardzo chciałabym spotkać jeszcze tego mężczyznę, o ile żyje, gdyż zrobił na mnie duże, pozytywne wrażenie. Był nauczycielem, moja koleżanka też.

A w moim pamiętniku jest zdjęcie mojej koleżanki i słowa:

*Mówią, że nie ma szczęścia na świecie,
że tylko można o szczęściu snuć.
Lecz są wyjątki przecież,
więc życzę ci szczęśliwą być.”*

Na pamiątkę Martuni - Myś. R. (pseudonim szkolny).

Dziś często zaglądam do swojego pamiętnika, gdyż tam są mądre i prawdziwe słowa. Przytoczę kilka:

*A gdy będziesz starą babcią,
okulary na nos włoż,
weź do ręki album swój
i przeczytaj podpis mój” - kolega Felek.*

*Uśmiechaj się, uśmiech zdobywa serca ludzkie
- kol. Krysia P. (jeszcze ta z przedszkola).*

Życie to jest miecz, na którym dużo szczerb, na nim napisał Bóg - zwyciężaj, kochaj, cierp” - kol. Stanisław.

W roku 1960 rozpoczęłam swoją pierwszą w życiu pracę w Wydziale Finansowym PPRN, który miał swoją siedzibę w dawnym budynku sejmikowym. Pracowałam początkowo w tej historycznej sali, a następnie w innej, wzdłuż długiego korytarza. W sali sejmikowej była księgowość podatku obrotowego i dochodowego oraz podatków wiejskich całego ówczesnego naszego powiatu. W tej sali stało biurko przy biurku. Było ich chyba dwadzieścia, a może i więcej, a przy nich pracowały młode dziewczyny - wśród nich i ja. W tej sali była również kasa. Księgowość odgradzono długą barierką wzdłuż sali, przy której załatwialiśmy interesantów. Zapamiętałam również przy niej moją koleżankę Marysię, jak przychodził do niej, jako świeżo poślubionej, mąż. Był nim śp. pan Nowosadzki - ojciec pana Marka Nowosadzkiego, obecnego wicestarosty. W wydziale było też wówczas dużo młodych chłopców, którzy pracowali w innych pokojach wzdłuż długiego korytarza. Była to wówczas jedna duża rodzina. Powstały tam również małżeństwa. Byli to Molasowie, Wójcikowie, Kurkowie, Kafarscy. Zapamiętałam wspianego kolegę - woźnego, którym był śp. Czesio Książek. Ze swojej pracy wywiązywał się znakomicie. Nie miał jednak łatwo. Szczególnie w zimie, kiedy trzeba było palić w piecach kaflowych, których było wówczas kilkanaście. W samej sali sejmikowej były dwa, a może i trzy. Do tej pracy przygotowywał się każdego dnia już po południu, aby rano tylko podpalić i przypilnować. Ileż ciężkich węglarek trzeba było wnieść na I piętro?! Pomagała mu w tym żona, która również sprzątała. W dzień chodził po pokojach, sprawdzał i pytał, czy jest nam ciepło. Nasz Czesio, jak mówili wszyscy na niego, był zawsze pogodny i miły w stosunku do nas - współpracowników. Dodatkowym jego obowiązkiem było przynoszenie każdego miesiąca gotówki z banku na wypłatę wynagrodzeń. Pieniądze te każdorazowo przynosił w teczce bez żadnej obstawy i zabezpieczenia, czego dzisiaj zupełnie nie można sobie wyobrazić.

Nie mogłam pogodzić się z tym, gdy po reorganizacji wydziału, w tej słynnej sali sejmikowej, sali historycznej zostały zainstalowane żelazne regały, na których składowano archiwa państwowe. Proszę sobie wyobrazić, że takie same regały były wówczas zainstalowane we wszystkich pokojach

obecnego Urzędu Miasta na I piętrze. Był to rok 1975. Pamiętam, że wówczas zastanawiano się, czy stropy wytrzymają taki ciężar - żelazne regały i olbrzymie archiwum. Wówczas pozostał, ale tylko chwilowo mój referat w dwu pokojach i z kilkoma pracownikami. Któregoś dnia, a było to latem, gdy wszyscy z mojego referatu byli na urlopie i pozostałam sama, wyszłam ze swojego pokoju na ten długi korytarz i idąc powoli, myślałam sobie „Mój Boże - tyle tutaj było moich koleżanek i kolegów, a teraz takie pustki, taka cisza”. Tylko żelazne regały, papier i jedna osoba obsługująca archiwum. Papier wprawdzie niezwykle, papier bardzo ważny, ale już wtedy, jako młoda osoba uważałam, że był to błąd ówczesnych władarzy, być może wymuszony na nich - umieszczenie w tak historycznym miejscu olbrzymiego archiwum przywiezionego z gmachu w Chełmie, gdy powstawało nowe województwo chełmskie. W tym czasie klucze do budynku miałam ja i pani obsługująca archiwum, która przyjeżdżała z Chełma.

W tym miejscu chcę wspomnieć, że wówczas pewnego dnia znalazłam się przypadkowo w Chełmie, gdzie była prowadzona miła rozmowa na temat nowo powstającego województwa. Ale w pewnej chwili powiedziano: „co tam Krasnostaw!” i przy tym machnięcie ręką. Jako rodowita krasnostawianka nie mogłam przejść obok tych słów obojętnie i jako nieznana tam nikomu osoba, wtrąciłam się do tej rozmowy i powiedziałam: „a jakie byłoby to województwo bez Krasnegostawu?” i zaczęłam wyliczać nasze bardziej prężne wówczas zakłady pracy: zakłady tytoniowe, Corę, cukrownię no i oczywiście zakłady ceramiczne i wspianą Spółdzielnię Mleczarską, których wyroby znane są nawet poza granicami naszego kraju.

Obecnie słynna sala sejmikowa, jak również cały budynek odzyskał swój blask i dawne znaczenie. Od dawna mówili i mówią o nim najstarsi mieszkańcy - „budynek sejmikowy”. Tutaj dopowiem, że jest tam reprezentacyjne główne wejście z pięknymi kolumnami, a w środku zabytkowe kręte schody prowadzące na górę.

Dawny Wydział Finansowy, który później zmienił swoją nazwę na Urząd Skarbowy, ma w tej chwili własne pomieszczenia. Budynek ten był uroczystie poświęcony przez śp. arcybiskupa Józefa Życińskiego w obecności śp. ks. prała-

ta Piotra Kimaka i byłego proboszcza parafii św. Franciszka Ksawerego - ks. prałata Henryka Kapicy. Wszyscy pracownicy z poszczególnych referatów mogli wówczas zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie z Jego Ekscelencją Józefem Życińskim. W tym dniu poświęcona została również Kuchnia dla ubogich im. św. Matki Teresy z Kalkuty, przy kościele Trójcy Przenajświętszej, której inicjatorem i organizatorem był ks. proboszcz Ryszard Winiarski. Poświęcona została również kaplica w zakładzie karnym.

Przez tyle lat cieszyło mnie wszystko, co było związane z wizerunkiem naszego miasta, z poprawą życia mieszkańców. Powstawały nowe ulice, chodniki, nowe tak ważne miejsca użyteczności społecznej. Nieraz myślę, jak wyglądałoby nasze miasto, gdyby przez starówkę przemierzały się wszystkie pojazdy, które w tej chwili przejeżdża obwodnica. Piękna jest nasza starówka, która w latach mojego dzieciństwa była także miejscem miłym, ciekawym, miejscem wypoczynku. Świadczy o tym moje zdjęcie w parku na niedzisiejszych już ławkach wraz z rodzicami i bratem.



Autorka z rodzicami i bratem w parku miejskim.

Później na starówce były przy parku dwa kioski z prasą. Jeden przy głównej ulicy Okrzei, drugi na przeciwległym brzegu na wprost kościoła

św. Franciszka. Przy parku, na jego rogach, przy obecnej ulicy Okrzei były również dwa małe sklepiki ze słodczykami. Pamiętam, że mój ojciec regularnie kupował prasę. Kupował też słodczyki np. chałwę, którą wszyscy w domu lubiliśmy. W niedziele i święta chodziliśmy całą rodziną do kościoła św. Franciszka, którego proboszczem był śp. ks. prałat Malinowski, którego zapamiętałam, będąc jeszcze w przedszkolu. Później proboszczem był śp. ks. prałat Wacław Kowalski. Głosząc kazania na historycznej już ambonie, zwracał się do wiernych słowami: „...i dlatego też, moi drodzy...”.

Zapamiętałam również na starówce wspaniałe lody u państwa Mielniczków i Koterwasów, jak również u pani Tyburkowej, która miała dodatkowo wspaniałe pączki. Lody miały zawsze duże powodzenie po mszy św. w niedziele i ustawiały się tam długie kolejki.

Wówczas do przyjemności w naszym mieście należało chodzenie do kina „Morskie Oko”, które miało swoją siedzibę w pomieszczeniach na piętrze obecnego muzeum. Kino to miało bardzo duże powodzenie. Był tam zawsze tłok, ścisk. Nie było przecież jeszcze telewizji. Chodziłam tam nieraz z rodzicami jako mała dziewczynka.

Na przełomie lat 60. i 70. ubiegłego wieku przy domu kultury działał zespół, który grał i śpiewał piękne piosenki o naszym mieście, zakładach pracy - o Krasnymstawie. Historia powstania tego zespołu jest ciekawa. Otóż młode wówczas osoby zwróciły się do kierownika domu kultury śp. pani Zdzisławy Lipczyńskiej z propozycją wsparcia na założenie zespołu. Pani kierownik przyjęła tę propozycję i z uśmiechem miała powiedzieć: „Jaka z was będzie pociecha”. I tak powstała „Pociecha”. Założycielem zespołu był ówczesny instruktor muzyczny domu kultury Jerzy Rysak. Najpiękniejsze wówczas bale sylwestrowe odbywały się w domu kultury, do których przygrywała „Pociecha”, a wodzirejem był starszy pan, teść mojej koleżanki Krysi, radca prawny ówczesnego PPRN, śp. mgr Karol Klisowski. Zespół ten przygrywał również na moim weselu, oczywiście nie w pełnym składzie, gdyż wesela wówczas odbywały się przeważnie w domach rodzinnych. Trudno dzisiaj odtworzyć jego skład, ponieważ wielokrotnie się zmieniał. Chciałabym jeszcze zobaczyć, posłuchać tych piosenek. Myślę, że może są jeszcze jakieś nagrania,

których mogło by posłuchać również nasze młodsze pokolenie.

Po niespełna dziesięciu latach powstał inny zespół, który zrobił prawdziwą furorę. Była to Krasnostawska Kapela Podwórkowa, a utworzyli ją przyjaciele występujący w Kabarecie ATA przy klubach kultury spółdzielni mieszkaniowej i PSS „Społem” oraz muzycy z Powiatowego Domu Kultury. Pierwszy skład tworzyli: Andrzej Babik, Andrzej Woźniak, Tomasz Zięba, Zbigniew Mazurek - zawsze dowcipny, Jerzy Rysak, Kazimierz Kaczmarczyk, Stefan Dolebski, Tadeusz Kiciński - w charakterystycznym czarnym kapeluszu i fraku, a po kilku miesiącach dołączył Henryk Suchodolski. Często występowali w czasie różnych uroczystości, a także na ulicach miasta i starówce. Było coś wzruszającego w tych słowach i melodiach. Szczególnie zapadły mi w pamięć słowa jednej z nich: „nasze miasto grajdołek Krasnostaw”.

Dziś jako senior zachwycam się również naszą starówką, do której przylega piękny, zabytkowy kościół św. Franciszka, którego proboszczem przez długie lata był śp. ks. prałat Piotr Kimak, a następnie ks. prałat Henryk Kapica. Była to ofiarna praca kapłańska, pełna zaangażowania dla Kościoła i umiejętne współpraca z parafianami, dzięki której możliwe było wykonanie tylu zadań, które pozostaną trwałym dobrem dla następnych pokoleń. Są to piękne i jakże prawdziwe słowa zacytowane przez ks. prałata Henryka Kapicę w „Nestorze” nr 2/52/2020 z wypowiedzi śp. arcybiskupa Józefa Życińskiego, z chwilą odejścia na emeryturę śp. ks. prałata Piotra Kimaka. Myślę, że te wielkie słowa uznania należą się dziś także ks. prałatowi Henrykowi Kapicy. Obecnie ks. proboszcz Jarosław Wójcik kontynuuje trafne decyzje podejmowane przez jego poprzedników, jednocześnie wprowadzając do realizacji swoje własne i cenne pomysły.

Teraz, w czasie pandemii wspominam piękne uroczystości z okazji świąt Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy, Bożego Ciała i inne w kościele, a także na ulicach. Wspominam również pielgrzymki organizowane każdego roku do sanktuarium Matki Bożej na Jasnej Górze i do sanktuarium maryjnego w Licheniu oraz inne pielgrzymki. Często mam w uszach słowa pieśni, którą śpiewaliśmy, wracając późnym wieczorem do domu - do naszego miasta:

*Zapada zmrok, już świat ukołysany,
znów jeden dzień odrunął nam jak ptak.
Panience swej piosenkę na dobranoc
zaśpiewać chcę w ostatnią chwilę dnia.
I chociaż wnet ostatnie światła zgasną,
opieka Twoja rozproszy nocy mrok,
uśpionym wsiom, ukołysanym miastom,
Panienko daj szczęśliwą, dobrą noc.*

Na starówce mamy też Urząd Miasta, gdzie zapadają tak ważne decyzje. Tam mieszkańcy, jak również osoby zamiejscowe, mogą załatwiać różne swoje sprawy. Jest też wspaniały ratusz, jak na starówkę przystało, z pięknym herbem i dużym zegarem, na który spoglądałam przed epidemią koronawirusa, gdy przemierzałam park, kiedy szłam do kościoła św. Franciszka. Chciałabym tylko, aby jego cyferblat był odnowiony i bardziej widoczny. Na starówce mamy także okazały i pięknie odnowiony budynek poczty. Wymienić należy także zakład fotograficzny pana Sarzyńskiego, który ten zawód przejął wraz z żoną, jak pamiętam po swoich rodzicach i który zawsze upamiętnia wszystkie uroczystości państwowe i kościelne, a także kulturalne. To dzięki panu Januszowi i ks. proboszczowi Jarosławowi Wójcikowi, jak również byłemu proboszczowi ks. Kapicy mogliśmy w okresie epidemii oglądać i słuchać mszy świętych przez Internet w okresie tak smutnych, a właściwie jakże pięknych świąt Wielkiejnocy. Tak było również w pozostałych naszych parafiach.

Na starówce widziałabym jeszcze jakąś cukiernię, może nawet z wadowickimi, papieskimi kremówkami. Tam też, a nie na uboczu widziałabym jeszcze jakąś - może nie restaurację, ale po prostu zwykłą jadalnię, która serwowałaby tylko te podstawowe, tradycyjne, te nasze polskie dania np. bigos, mielone, pierogi. Spotkałam się bowiem z pytaniem osób przyjezdnych: „proszę pani, a gdzie można tutaj coś zjeść?”.

Na starówce brak mi jednak jeszcze czegoś. Brak mi apteki na tym starym miejscu, w miejscu widocznym, jak na starówkę przystało a nie gdzieś na uboczu. Wszak nasze zdrowie jest najważniejsze. Stwierdzam to, ilekroć tamtędy przechodzę. Wiem, że w tej sprawie były stosowne starania, ale bezskuteczne. W naszym mieście

była kiedyś tylko jedna, jedyna apteka pamiętająca czasy przedwojenne - apteka śp. pana Szczesławskiego. Pamiętam seniora tej apteki pana Antoniego - pochylony, zgarbiony już staruszek, towarzyszył mu syn Maciuś. Pamiętam również wszystkie panie, które pracowały z nimi ostatnio. Było ich osiem. Zawsze rano otwierane były przez śp. pana Maćka stare okiennice tej apteki, które tak bardzo pasowały do zabytkowych kamieniczek na starówce.

Chcę jeszcze powiedzieć, że piękny jest nasz cmentarz parafialny, o który dbał kiedyś ks. proboszcz Ryszard Winiarski. Mam tu na uwadze m.in. gruntowny remont tamtejszej kaplicy. O to miejsce dba obecnie ks. proboszcz Roman Skowron. Cmentarz jest już bardzo stary, ale zadbane i wiele w tej chwili tam zainwestowano. Lubię tam chodzić i wspominać swoich bliskich, a także tych, którzy tak bardzo byli kiedyś związani z naszym miastem i mają swoje zasługi, o czym świadczą przyznane im kiedyś wyróżnienia „Złotych Karpi”.

Piękny jest również cmentarz komunalny, na którym już ponad rok spoczywa nieodżałowany, długoletni proboszcz (26 lat) i emeryt (18 lat) parafii św. Franciszka, laureat „Złotych Karpi” ks. prałat Piotr Kimak. Cześć Jego pamięci. W tej chwili wrzuciłam się i często wracam do tego, jak leżałam w szpitalu po wypadku samochodowym, w którym jako piesza zostałam poszkodowana, nie z mojej winy, o czym świadczy nagranie monitoringu. Wówczas była u mnie moja córka Małgosia z zięciem Jackiem. Byli także chociaż na chwilę u ks. prałata Piotra Kimaka. Był już bardzo chory. Małgosia nie mogła jednak powstrzymać się, aby nie powiedzieć: „moja mama też jest w szpitalu”. Ksiądz zapytał: „A co się stało?”, a po chwili cichym głosem dodał: „Będę się za nią modlić”.

Bardzo mi przykro, że nie mogłam uczestniczyć w ostatniej drodze naszego ks. Prałata. Mogłam tylko już po wyjściu ze szpitala, w domu słuchać ze łzami w oczach nagrania z uroczystej mszy pogrzebowej, które nagrał na dyktafon mój zięć Jacek. Następnie, po długim okresie rekonwalescencji, mogłam złożyć małą, delikatną wiązanek kwiatów na grobie księdza.

O te dwa tak ważne miejsca zadbało również nasze miasto, a także i my jako mieszkańcy i parafianie trzech parafii: Trójcy Przenajświętszej, św. Franciszka Ksawerego i Matki Bożej Pociesze-

nia, wrzucając nieraz może nawet tylko drobne pieniądze do puszek. A trzeba o nie dbać, gdyż tam jest historia naszego miasta.

Byłam na pewnym spotkaniu zorganizowanym przez śp. Janusza Kalmana (były to jego imię-niny), wspaniałego sponsora w naszym mieście, w tym m.in. budowy pomnika Chrystusa Króla, zlokalizowanego przy małym kościółku Trójcy Przenajświętszej. Prowadziłam rozmowę z uczestnikami na temat rozwoju naszego miasta. Do pana Roberta Kościuka powiedziałam wtedy: „Pan jest jeszcze młody i wszystko jest jeszcze przed Panem”. Był to listopad 2014 roku. Dziś Panu burmistrzowi, Radzie Miasta i wszystkim radnym życzę przede wszystkim dużo zdrowia i wspaniałych sukcesów w tak trudnej i odpowiedzialnej pracy dla dobra naszego społeczeństwa, mieszkańców miasta nad piękną rzeką Wieprz.

Obecna sala konferencyjna Urzędu Miasta, sala historyczna, słynna kiedyś sala sejmikowa dla mnie ma szczególne znaczenie w tak ważnych momentach mojego życia. W związku z Jubileuszem Roku 2000 ukazał się w lokalnej gazecie, z której mam tylko wycinek, następujący apel:

Drodzy Mieszkańcy Krasnegostawu, szanowni Prezesi i Właściciele Instytucji, Zakładów, Firm, Hurtowni i Sklepów na terenie miasta!

Komitet obchodów Jubileuszu Roku 2000 zwraca się uprzejmą prośbą o wsparcie finansowe budowy pomnika Chrystusa Króla, który stanie w Krasnymstawie przy ulicy Okrzei i Mickiewicza. Będzie to znak czasu upamiętniający Wielki Jubileusz Roku 2000 od narodzin Jezusa Chrystusa. Wspomagając finansowo to przedsięwzięcie, bierzemy wszyscy udział w łaskach, jakie spływają na każdego z nas. Z wyrazami szacunku Komitet Obchodów Jubileuszu Roku 2000.

Cytuję również słowa artykułu, który ukazał się później w „Ziemi Krasnostawskiej”, której redaktorem naczelnym był pan Marek Nowosadzki, obecny wicestarosta:

Przy upalnej pogodzie w święto Bożego Ciała, odbyła się podniosła uroczystość odsłonięcia milenijnego pomnika Chrystusa Króla. W obecności kilku tysięcy mieszkańców poświęcenia pomnika dokonał ks. arcybiskup prof. Bolesław Pylak, który celebrował Mszę św. w asyście proboszczów trzech krasnostawskich parafii.



Z Krystyną Pidek koleżanką z przedszkola w Częstochowie.



Marta Kafarska ze swoją mamą i siostrzeńcem w parku miejskim.



Koleżanka z przedszkola Krystyna Klisowska z mężem Andrzejem, byłym członkiem NSZZ „Solidarność”, 2015.



Stadnina w Białce. Autorka z siostrą Barbarą i prof. Stanisław Kosmowski, 80-lecie Gimnazjum i Liceum im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie.



Poświęcenie budynku Urzędu Skarbowego w Krasnymstawie przez arcybiskupa Józefa Życińskiego.

Jako rodowita krasnostawianka i senior chcę powiedzieć jeszcze coś, co tak bardzo od dawna leży mi na sercu. Jest mi niezmiernie żal dwu inwestycji, które były zbudowane kiedyś w naszym mieście z wielkim trudem, a które zostały zniszczone, zniweczone. Żal mi jest dworca autobusowego. Pamiętam jego uroczyste otwarcie, przecinanie wstęgi w obecności rzeszy mieszkańców. Był to dworzec z prawdziwego zdarzenia, to była wizytówka naszego miasta, dodam, że w samym centrum. Drugiego takiego, jak mówiono nie było w Chełmie, Zamościu, Lublinie, w całym województwie lubelskim. Dworzec z obszernym placem manewrowym i jakże funkcjonalnymi - przelotowymi stanowiskami. I głos z megafonu oznajmujący odjazdy poszczególnych autobusów, który było słychać nawet na starówce. To było coś pięknego, nasze miasto tętniło wówczas życiem. Ale przyszedł dzień, że został otoczony wysokim i szczerbym płotem i słychać było tylko odgłosy walącego się dworca. Któregoś dnia znalazłam szparę w płocie i zobaczyłam niszczenie tego, co tak uroczyście było kiedyś otwierane. Wkrótce autobusy i busy, które pojawiły się w naszym mieście stacjonowały jak te sierotki na poszczególnych ulicach wokół niszczonego dworca. Ku mojemu zdziwieniu powstały aż trzy dworce, tak blisko siebie zlokalizowane. Postanowiłam je zobaczyć i dowiedzieć się, z którego i w jakim kierunku można pojechać. Jeden dworzec na targu koszyczkowym, jaka tam jest ciasnota (!). To nie jest dworzec na miarę XXI wieku. Na drugim - naprzeciw straży pożarnej zastałam to samo. Muszę jednak przyznać, że właścicielom tych dworców należą się słowa uznania, gdyż ratowali trudną sytuację, nie mając ku temu odpowiednich warunków. Trzeci dworzec, może trochę lepszy, ale powiedziałabym tak: jest tam więcej tego sklepu wewnątrz jak dworca na zewnątrz. To nie było czym się chwalić, jak to miało miejsce w prasie, gdyż to nie jest to, co bezpowrotnie utraciliśmy. Jaka szkoda, że nie można było tego dworca utrzymać, z którego w tej chwili korzystałyby busy i nasze społeczeństwo. Mam tu na uwadze przede wszystkim tych, którzy nie mają własnego pojazdu, a jeżeli mają, to nie są w stanie go prowadzić ze względu na chorobę lub wiek. Miasto też miałoby z tego zyski. Znam relacje naszych mieszkańców. Mówią tak: „Lidl jest potrzebny, ale to nie kosztem

naszego dworca, który był najpiękniejszy w całym województwie lubelskim”.

Żal mi jest również naszego amfiteatru, który - co było istotne - w części był zbudowany w czynie społecznym przez mieszkańców. Jakże piękne były kiedyś chmielaki, ileż tam ludzi siedziało, ile znanych i lubianych osób ze świata artystycznego tam występowało?! Zapamiętałam występ Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego, który nie pomieściłby się na scenie domu kultury. Osobiście lubiłam tam pójść, kiedy nie było nawet żadnych koncertów, żadnych imprez, ale pójść i tylko posiedzieć w zadumie z dala od zgiełku ulicznego i popatrzeć, jak bawią się i biegają po scenie gromadki dzieci. Scena uległa spaleniu, ale miejsce to było jeszcze przez jakiś czas zadbane i życie kulturalne odbywało się. Trwało to jednak bardzo krótko. Jak można było później dopuścić do dewastacji i kradzieży pozostałej części amfiteatru?! Pamiętam, jak były montowane i malowane ławki, a jak zobaczyłam to rumowisko w tym tak pięknym kiedyś miejscu, zrobiło to na mnie, jako seniorze bardzo przykre wrażenie. Myślę, że w tej chwili nie jest łatwo zorganizować chmielaki, tak jak kiedyś. Dworek starościński jest piękny jako zabytek, ale na takie rodzaje imprez jak chmielaki niezbędny jest amfiteatr z prawdziwego zdarzenia, którego tak nam brakuje. W parku natomiast mogą usiąść, ale tylko nieliczni. Muszlę koncertową w naszym powiecie mają w tej chwili Izbica, Siennica Różana, słyszałam, że i Łopiennik. My mieliśmy jako pierwsi i o wiele piękniejszą i potężniejszą i nie mamy już tyle, tyle lat. A mnie jest po prostu żal.

Kończąc swoje wspomnienia, chcę powiedzieć, jak to mówiłam już kiedyś, zabierając głos w domu kultury z okazji gali urodzin naszego miasta, którą organizowała pani burmistrz Hanna Mazurkiewicz i przewodniczący Rady Miasta pan Edward Kawęcki, że jako rodowita krasnostawianka i senior, w sposób szczególny kocham swoje miasto. I niewątpliwie kocha je każdy krasnostawianin, każdy w swoim stylu, żyjąc i mieszkając w nim. Nawet ci, którzy może z przyczyn od siebie niezależnych wyjechali gdzieś daleko, wyrażają to swoimi myślami i słowami, np. w „Nestorze”. Ja natomiast, czytając te słowa, niejednokrotnie przypominałam to sobie i mówiłam w duchu „tak, tak

było". Zwracam się do Pana dr. Janusza Wanota. Ta wpadająca do Wieprza cienka struga wody, opisana w „Nestorze” nr 3/53/2020 to jest po prostu mała rzeczka Lubańka, która latem wysychała, a nieraz wiosną stawała się dużą rzeką i była bardzo groźna, podtapiając okolicznych mieszkańców. Mówię to tylko jako mieszkanka tej części miasta. Po tej drugiej stronie Wieprza ja też kiedyś przebywałam i też się kąpałam. Natomiast z góry prowadzącej w stronę Borku, zwanej przez mieszkańców Górą Kalmana, a także Górą Ciechańskiego, będąc dzieckiem, też kiedyś w zimie zjeżdżałam na sankach. Nie do pomyslenia w tej chwili przy tak dużym ruchu. W tym miejscu chciałoby się powiedzieć: „ale to już było i nie wróci więcej”, jak śpiewa Maryla Rodowicz. Mając na uwadze swój styl, chcę powiedzieć, że kiedyś wyjeżdżałam podczas urlopów w celach wypoczynkowych do pięknych zakątków w naszym kraju, jak również za granicę. Zawsze jednak wracałam tutaj. I już na peryferiach, na obrzeżach naszego miasta z wielkim wzruszeniem i utęsknieniem. Tak jak to się mówi „wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”. Tak jak w tej wzruszającej piosence Ireny Santor „Powróć tu”. I powtórzę to jeszcze raz, tak jak kiedyś - do swojego miasta, któremu na imię KRASNYSTAW

Marta Kafarska



rys. Urszula Gierszon

Irena Iwańczyk



Podróż przez życie

Ponieważ życie jest krótkie jak błyskawica i rzucone na ogień przemijania, staram się je uwiecznić wierszem, bo uważam, że słowo ma coś z wieczności i nieprzemijalności, jest twardsze i silniejsze od pomników.

Moja poezja w tomiku pod tytułem „Nad mapą życia” jest autentyczna, przeżyta przeze mnie, oparta na sytuacjach z własnego życia, a także z obserwacji człowieka i obserwacji świata. Zapewne zapytacie jak rozumieć tytuł mojej książki. Otóż mapa mojego życia to jest czas, przestrzeń i świat, w jakim żyję i który uwieczniam swoimi wierszami o różnej tematyce, takiej, jaką przynosi mi mój czas, który staram się zatrzymać słowem. Czuwam na nim i staram się go wykorzystać, zanim się skończy, dlatego moja książka nosi tytuł „Nad mapą życia”.

Każdy wiersz, to dzielenie się sobą, własną wiedzą, poglądami, refleksją, stosunkiem do człowieka i różnych dziedzin sztuki. Główną treścią poetyki mojego świata jest człowiek, jego przeżycia, odwieczne problemy wobec przemijania, miłości, śmierci, dobra, zła, związane z odkrywaniem tajemnicy życia ludzkiego. Są też rozważania o sensie bytu, ładu, piękna, krzywdy, dotykaniu Boga i najważniejszych wartości, co uwydatniłam w wielu wierszach, takich jak „Pod krzyżem”, „Kapłan Solidarności”, „Pożegnanie”, „Maksyma”, „Wracam”, „Kim jestem?” i innych.

Ważne miejsce w mojej twórczości zajmują rodzina, dzieci, koledzy, matka. Uwieczniam też piękno obyczajów i ten świat, którego już nie ma, domy pokryte strzechą, tamtych ludzi, którzy już odeszli, lecz byli mi bardzo bliscy. Dzielę się również swoimi najgłębszymi przemyśleniami i przeżyciami. Są to osobiste doznania matki, przyjaciółki i człowieka wpłatanego w sieci trudnej rzeczywistości.

W wierszach o pięknie świata, na przykład „Wiosna”, „Jesień”, „Białe ptaki” nie chodzi mi tylko o przyrodę, ale także o człowieka, w którym - podobnie jak w przyrodzie - zachodzą zmiany. Natura

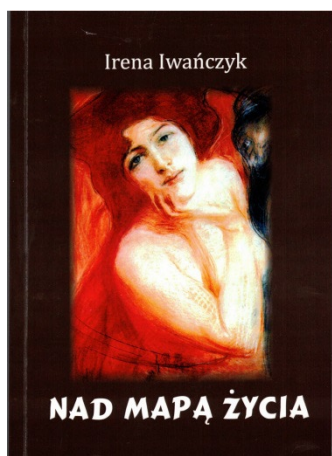
ludzka przechodzi wszystkie fazy życia. Nuta niepokoju, ciągłego wysiłku i troski w podążaniu za nieuchwytnym i budującym zachwytem, nad olśnieniem pięknem, dobrem i szczęściem, ale i rozpacz z powodu śmierci bliskich osób towarzyszą moim wierszom, takim jak „Podzwonne” „Refleksje”, „Kropla”, „Cyrk Wiktoria”, „Inny świat” i innych.

Do pisania zmusza mnie własne życie. Gdy piszę, wydaje mi się jakbym powtórnie przeżywała to, co minęło. Często będąc w rozterkach, pisanie buduję ochronny mur, tak aby mniej bolało to, co przeżywam i aby odgonić niebezpieczeństwo. Ale gdy piszę wiersz o szczęściu, moja radość jest wzmocniona. Jest to, więc terapia na życie, a także satysfakcja wystarczająca za wszystkie. Wiele tracimy, puszczając w niepamięć nasze przeżycia, dlatego czytelnikowi pragnę odpowiedzieć, jak żyć w codzienności, w której tak trudno się samo-realizować.

Mam nadzieję, że czytelnicy doznają głębokich przeżyć, myśli i refleksji, poszerzą swoją wiedzę o psychice ludzkiej. Znajdą też ulgę w cierpieniu oraz radość w pięknie, szczęściu i sprawiedliwości. Pragnę też dodać, że każdy wiersz opatrzam w motto, które staram się dopasować do treści wiersza. Są to krótkie fragmenty z utworów wybitnych pisarzy oraz wypowiedzi filozofów i ludzi wielkiego formatu, które poszerzają wiedzę każdego człowieka w zakresie literatury, życia i różnych dziedzin sztuki.

Życzę dobrego czytania

autorka



Irena Iwańczyk

Zmierzch

Wymagać można, tylko kochając.

papież Jan Paweł II

Wydawać by się mogło,
że zmierzch patrzy na widoki,
ale czy to wiadomo, że on na nie patrzy?
Człowiek też ma w sobie widoki,
które otacza mgła czasu.
Kiedy tak patrzę na zmierzch,
zastanawiam się, czy to ten sam
zmierzch, na który patrzył mój
ojciec i moja matka,
i czy moja córka, i wnuczka
będą patrzeć na ten sam zmierzch
co ja, kiedy mnie już nie będzie?
Świat przechodzi koło mnie,
ale też przechodzi przeze mnie
Wszyscy przechodzimy w zmierzch czasu.

Czas

*W umieraniu najstraszniejsze wydaje się to,
że człowiek jest zdany tylko na siebie.*

Vladimir Nabokov

Irenie Żukowskiej z Ustki

Czas jest wieczny
chytry i podstępny.
Tak nadcina nas
karbami chorób,
jak rani się brzozę,
by spływał z niej sok.
Oplątuje mgłą
przemijania,
rzeźbiąc twarz
na wzór starej
drzewnej kory.
Człowiek staje się
tak słaby,
że nie może udźwignąć
własnego ciała.
Już od zarania
życia
przygotowuje nam
garnitur
i grzebień kosmosu,
by nas zgarnąć
i przesłać
na łąki konwaliowe.

Na brzegu życia

*Zatracić siebie i zgubić
to utracić radość życia.*

św. Bernard

Po latach,
gdy człowiek
stanie się ogryzkiem,
suchym liściem,
uschłą jabłonią,
i w końcu
muzealnym przedmiotem,
wtedy słabnie mu pamięć,
słuch, wzrok
i robi się mniejszy
z każdym dniem mniejszy,
najpierw o imię i twarz
wreszcie rozpada się
na niebyt ludzkiej pamięci,
by z podmuchem
wiatru odejść
Dokąd? Nikt nie wie.
Stamtąd nie wracają.

Tory czasu

*Świat współczesny złamał gałąź
prawdy, piękna i dobra, a kłamstwo,
brzydota i zło zostały przyjęte za normy
życia i nie tylko, bo często są nagradzane.*

Aleksander Solżenicyn

Jestem przygodnym
bytem,
zrodzona z tęsknoty
i z miłości za tym,
co było trudne.
Mam swój świat.
Swoje światło
i swoją oryginalność.
Ale nie jestem już tą,
która wyszła w noc zielone.
Idę we mgle w niezbadane
tory czasu według rozkładu,
którym los mnie obdarzył.

Księga wspomnień

*Lepiej biednie u siebie,
niż bogato u obcych.*

Szymonowi Arturowi

Domku
lat podzwonnych,
z gankiem,
w złocistej oprawie,
jak słońce patrzysz
oczyma okien,
zza grzebienia płotu
na wszystkie strony świata.
Nie jesteś sam.
Obok dwie brzoźki
w białych sukienkach
warkoczyki zaplatają.
Czekają na wiatr.
Jesteś księgą wspomnień,
które lśnią szafirami i brylantami
sercem wsi, pól, lasów i łąk
w tobie moja rodzina,
dzieciństwo, młodość i świat.

Bądźmy razem, niby dym wonny
kadzidlany do pierwobytu
się wznoszący.

Łzy matki

*Życie jest większe od legend,
bo w życiu jest prawda.*

Łzy mojej matki
świecą nocą i dniem
na niebie i na ziemi,
nad polem i łąką,
nad lasem i rzeką,
ale też nad górami i oceanem,
nad każdą trawką i kwiatem,
nad brzaskiem poranka,
i śpiewem skowronka,
nad każdą sekundą,
nad jawą i snem,
nad uśmiechem i pocałunkiem.
Łzy moje, łzy mojej matki
świecą nade mną,
śmiertelne korale.

Przemijanie

Życie jest chwilą wieczności.
Plutarch

Wszystko,
cały świat,
roześmiane słońce
na błękitnym niebie,
tajemniczy księżyc
w tańcu gwiazd,
wirujące planety
z naszą ziemią
pod nogami,
pędzą jak rumaki,
i człowiek - pył we wszechświecie,
matka ze swym cierpieniem,
troską i miłością,
kobieta z pokaleczonym życiem,
bogacz i nędzarz,

żebrak i kłamca
pędzą do źródła nicości,
gdzie narodzi się nowe życie.

Bez powrotu

*Śmierć ma pod swoim
dnem nieśmiertelności podłoże.*
Emily Dickinson

Żyjemy pośród ciągłego
odchodzenia,
aby i ono nas toczyło.
Czasem los nas doświadcza
ciężką chorobą.
Najpierw wzrok z oczu wygasa,
słuch przestaje słyszeć,
rozum rozumieć,
i wszelkie czucie zanika,
prócz bólu.
Ból, bólu nie czuje.
Odchodzimy tylko
w tamtą stronę.

Irena Kulik

Wpływ Ewangelii na lirykę ks. Edwarda Wolskiego



Biografia ks. Edwarda Wolskiego

Od wieków poezja religijna zajmuje znaczące miejsce w literaturze polskiej. Do niej można zaliczyć również twórczość poetycką związanego z Lubelszczyzną księdza Edwarda Wolskiego, który był skromną osobą o bogatym wnętrzu pełnym wiary i pokory, co odzwierciedlił w swojej spuściźnie literackiej. Urodził się w Ostrowie Krupskim nieopodal Krasnegostawu w pamiętną Wigilię - 24 grudnia 1918 roku, w rodzinie rolniczej, jako syn Michała i Katarzyny z domu Bojarczuk. Decyzją rodziców miał przejąć dwuhektarowe gospodarstwo i w tym celu kontynuował naukę w latach 1937-38 w szkole rolniczej w Krasnymstawie pod wychowawczą opieką literata Józefa Nikodema Kłosowskiego. Po latach tak o nim wspominał w swoim pamiętniku:

...wychowawca naszej klasy budził respekt nie tylko u mnie, ale u całego grona kolegów szkolnych. Swym moralnym wychowaniem i szeroką wiedzą kształtował dusze młodych wychowanków, budził szlachetne ambicje, rozwijał zmysł estetyczny, kształtował potrzebę działalności społecznej...

Pod wpływem wychowawcy zadebiutował w 1939 roku wierszem „Ojczyzna” na łamach pisma „Wici”, organu prasowego Związku Młodzieży Wiejskiej RP.

W czasie okupacji należał do ruchu oporu, dlatego ukrywał się przed hitlerowcami poza domem. W tym okresie dużo czytał dzieła o tematyce religijnej oraz zapoznał się z Pismem Świętym Starego i Nowego Testamentu, pochłaniając treści „z chciwością i miłością”, co kontynuował również po wojnie. Po maturze w 1948 roku rozpoczął naukę w seminarium duchownym w Lublinie. W wieku 35 lat otrzymał święcenia kapłańskie. Pracował jako wikariusz w Dzierzkowicach, Horodle, Bończy, Krężnicy Jarej, Gdeszynie i Księżomierzu, gdzie w latach 1976-1991 sprawował funkcję probosza.

cza. W wieku 73 lat, ze względu na pogarszający się stan zdrowia, przeszedł na zasłużoną emeryturę i zamieszkał w Domu Pomocy Społecznej w Nowinach koło Chełma. W ciągu pięciu lat pełnił tam funkcję kapelana oraz przygotowywał kolejne wiersze do wydania. W 1990 roku w Lublinie ukazał się pierwszy zbiór jego wierszy pt. „Gwiazdy i nieskończoność. Refleksje z lat 1984-1986”. Dwa lata później wydano tomik „Zamyślenia”. W 1993 roku ukazały się tomiki „Na falach istnienia” oraz „Ogród duszy”. Następny rok zaowocował pierwszą częścią „Modlitw poetyckich”, natomiast w 1995 ukazała się ich druga część oraz „Kazania literackie w świetle Ewangelii”. W sumie 7 tomików wierszy wydrukowano w Chełmie, Lublinie oraz Krasnymstawie, wśród których pierwszy miał dodatkowe poszerzone wydanie bez podtytułu „Refleksje z lat 1984-1986”. Pojedyncze wiersze ks. Edwarda Wolskiego można spotkać w kilku chełmskich almanachach i antologiach poezji, m.in. „A duch wieje kędy chce”, „Strofy sercem pisane”. W rękopisie pozostaje autobiografia.

Ostatnie dwa lata życia ks. kanonik Edward Wolski spędził w Domu Księży Emerytów w Lublinie, gdzie zmarł 10 sierpnia 1997 roku. Spoczął na cmentarzu w rodzinnej parafii Krupe koło Krasnegostawu.

Charakterystyka poszczególnych tomików

Twórczość ks. E. Wolskiego należy przede wszystkim do bogatego w Polsce nurtu poezji religijnej. Początkowo, w okresie młodzieńczym, autor pisał utwory o różnej tematyce: społecznej, obyczajowej, osobistej, nie zagłębiając się w tajemnice sacrum i profanum. Doznania z okresu wojennego wpłynęły na zagłębianie się w metafizyce, co ukazuje jeden z wierszy w zbiorze „Ogród duszy”, którego wyboru cytatu dokonał Longin Jan Okoń:

Wchodzę

*w głąb mego istnienia
w kształt mojej osoby
w istotę mego „ja”*

*w ciszy i kontemplacji
zaczynam poznawać
nicość istnienia
i wysokość przeznaczenia*

Cztery pierwsze tomiki poetyckie zawierają utwory ukazujące trudy ludzkiego bytowania na ziemi, kruchość życia, nieodczowność przemijania, więź z Bogiem oraz nadzieję życia wiecznego osoby głęboko wierzącej.

Pierwszy tomik „Gwiazdy i nieskończoność” zawiera 40 wierszy, kilka złożonych z numerowanych części, gdzie są stawiane liczne pytania dotyczące egzystencji człowieka, relacji z Bogiem, zastanowienia się, ujawnienia wątpliwości człowieka w drodze do tytułowej „nieskończoności”. Część utworów ma tradycyjną formę wierszy sylabicznych, inna to wiersze wolne. Utwory liryczne są czytelne, charakteryzuje je prostota myśli i łatwość w odbiorze. Można je uznać za kanwę rachunku sumienia jako narzędzia do autorefleksji, o czym świadczą poszczególne tytuły: „Szczerość”, „Dobroć”, „Nienawiść”.

Kolejny tomik „Zamyślenia” to 55 wierszy, przeważnie z narracją w pierwszej osobie. Składa się z dwu części: „Dom życia”, gdzie znalazły się wiersze z nazwami przedmiotów codziennego użytku z wyposażenia domu, takie jak: łóżko, krzesło, piec, okno, próg, oraz „Zamyślenia” nad przyszłością wieczną w określonej chwili dnia podmiotu lirycznego (w tym przypadku autora-kapłana), który jest schorowaną, starszą osobą, z problemem kardiologicznym, o czym mówi wiersz pt. „Dziękuję ci, serce”. W tym zbiorze został ukazany wymiar ostateczny i wieczny z refleksją głębokiej wiary osoby duchownej, czerpiącej mądrość z nauki Kościoła i Ewangelii.

Również trzeci tomik „Ogród duszy” składa się z 55 wierszy. Zawiera w sobie całość egzystencjalną człowieka z jego poszukiwaniami, wątpliwościami, pytaniami, upadkami, nadzieją i wiarą. W ten sposób autor ukazuje bogactwo duszy człowieka w relacji z Bogiem, bo we wszystkim, co stworzył jest sens, gdyż życie jest po to, by dążyć do zbawienia.

Z kolei w czwartym tomiku „Na falach istnienia”, zawierającym 62 utwory o tematyce egzystencjalnej, autor skupia się na sprawach ostatecznych i odwiecznych prawdach, gdzie godność ludzka, wiara i miłość stawiane są na pierwszym miejscu.

Z treści wierszy napisanych w stylu wolnym, bardziej przemawia Ewangelia, gdyż „w każdym tekście - jak zauważa we wstępie do tomiku poeta Henryk Radej - jest zawarty spory ładunek teologii, filozofii, psychologii i religijności dla prostego, ale myślącego człowieka”. Już pierwsze wersy rozpoczynające tomik w wierszu pt. „Narodziny” nawiązują do słów otwierających Księgę Rodzaju:

*Na początku było „Nic”
Był tylko Ten który zawsze „Jest”*

Również do treści Starego Testamentu, a szczególnie do Księgi Koheletha czyli Eklezjaste - nawiązuje wiersz pt. „Marność”:

*Obracam się wśród zwykłych
codziennych spraw
kręcących się w kółko
jak wskazówki zegara*

*Depczę szare ścieżki
różnych obowiązków
koniecznych i niekoniecznych
ważnych i nieważnych*

*Usuwam proch
spadających minut
by nie przypominał
że w proch się obrócę*

*Dotykam różnych rzeczy
które się zgromadziły
wokół mojej osoby
bezduszne i nieme*

*Ale owa marność
ma swoje istnienie -
należy do Rzeczywistości
i posiada pieczęć Możliwości*

Natomiast nawiązanie do treści Starego oraz Nowego Testamentu można zauważyć w ostatnich trzech zwrotkach wiersza pod tym samym tytułem, co nazwa tomiku „Na falach istnienia”:

*Od Niego pochodzę i wzięłam co mam
Do Niego wracam i oddaję co mam*

*Unoszę się na falach istnienia
podtrzymywany rękami Pana
który stworzył niebo i ziemię
i mnie - garstkę prochu
i moją duszę*

*Co za łaska mi darowana
trwać u stóp wszechmocnego
i miłosiernego Pana!*

Z kolei ostatnie utwory, na które złożyły się dwa tomy „Modlitw poetyckich” oraz „Kazania literackie w świetle Ewangelii” są szczególnym odzwierciedleniem głębokiej wiary autora oraz umiłowania Boga.

Jakże odmienne są „Modlitwy poetyckie” od klasycznej formy wiersza sylabiczno-rytmicznego, nawiązujące do motywów polskich pieśni ludowych i kościelnych, jako dokument literacki z lat 1942-1947, które powstały w okresie przedkapłańskim pod wspólnym tytułem ośmiotomowego maszynopisu „Pieśni pielgrzyma”. Tom pierwszy „Modlitw...” składa się ze 138 wierszy, przeważnie jako przejaw uwielbienia: Chrystusa i Pana Wszechświata, Prawdy, Kościoła i Eucharystii. Natomiast nieco skromniejszy drugi tom liczy 61 wierszy z podziałem na modlitwy o treści skruchy i przebłagania, dziękczynienia oraz prośby. Ta modlitewna poezja uczy pokory oraz wskazuje, w jaki sposób można być bliżej Boga oraz człowieka, chrześcijanina na każdą okazję i okoliczność.

Szczególnie na uwagę zasługuje ostatni tomik „Kazania literackie w świetle Ewangelii”, jak zauważa we wstępie Stefan Aleksandrowicz: „jako książka najważniejsza, wieńcząca trud pisarskich poszukiwań autora”. Zawiera 104 wiersze, każdy z nich poprzedza motto zaczerpnięte z Pisma Świętego Nowego Testamentu, ze wskazaniem autora jednej z czterech Ewangelii oraz Dziejów Apostolskich, rozdziału i wersu, by odbiorca mógł z własnej woli zagłębić się w treści Świętej Księgi. Powstały w latach 80. minionego wieku zbiór utworów lirycznych ukazuje historię Jezusa Chrystusa od poczęcia i narodzin, o czym informują wiersze na pierwszych stronach „Magnifikat” oraz „Boże Narodzenie”, do odejścia w „Pożegnaniu Zbawiciela”. Wiersze są wolne, bezrymowe, z przeważającą narracją w trzeciej osobie, w oparciu o treść tekstów biblijnych, jako owoce wieloletnich przemyśleń

autora jako kapłana, które wskazują drogi, którymi warto iść, naśladować Chrystusa. Jak podsumowuje we wstępie jego autor: „Daj, dobry Boże, żeby ziarna, które zasieje ta książka, dały zdrowy plon dla duszy i na chwałę Nieba”.

Trafnie podsumował twórczość poetycką ks. Edwarda Wolskiego Jacek Pomiankiewicz na łamach „Powinności”, która „...należy do nurtu współczesnej poezji religijnej. Jest zróżnicowana i niejednorodna zarówno w swojej formie jak i konstrukcji. Jest przekazem emanującym siłą i głębią wiary. Wzrusza, pobudza do refleksji, modlitwy i jednocześnie stanowi jej gotową formułę”.

Stylistyka (rodzaje wierszy, środki stylistyczne)

Warto bliżej przyjrzeć się budowie wierszy oraz pięknu środków artystycznych, jakimi się posłużył autor. Wszystkie utwory liryczne w siedmiu tomikach są wierszami stroficznymi. Wiersze, które powstały w okresie przedkapłańskim oraz zawarte w dwu tomikach „Modlitw poetyckich” są równe, rytmiczne, jako ośmio-, dziewięcio- oraz trzynastozgłoskowce. Jedenasto- oraz trzynastozgłoskowce można spotkać w tomiku „Gwiazdy i nieskończoność”, jego część oraz inne tomiki są wierszami wolnymi. W „Modlitwach poetyckich” autor często posługuje się bezpośrednimi zwrotami, czyli apostrofami, które można zauważyć w kolejnych tomikach, jak również w ostatniej strofie w wierszu „Głuchoniemy” w zbiorze „Kazań literackich”:

*Dotknij Panie moich uszu i mego języka
bym stał się w pełni człowiekiem
o zdrowym ciele i duszy*

Ks. Wolski lubił posługiwać się również anaforą, z którą można się zetknąć w każdym tomiku, jak choćby w ostatnim, np. w wierszu „Droga” w trzeciej strofie:

*Najgorsza jest ta:
Bez światła prawdy
bez ciepła dobra
bez obecności Boga
bez perspektywy wieczności*

Często w ostatnich tomikach można zetknąć się z oksymoronem, jak w „Kazaniach literackich” w wierszu „Trąd”, gdzie:

*Brud pragnie czystości
choroba - zdrowia
grzech - świętości*

oraz z epitetami, jak w wierszu „Miłość”, która jest:

*[...] piękna i zachwycająca
[...] bogata i hojna,
wdzięczna i dobra...*

Nie zabrakło również porównań, jak w wierszu „Dach” w zbiorze „Zamyślenia”, gdzie:

*Błogosławiona jest opieka
Tuli się do niej stworzenie
jak dziecię do matki
zimno do ciepła
mrok do światła*

oraz personifikacji w tymże tomiku, w wierszu „Próg”, gdzie pozioma listwa łącząca pionowe belki futryny w drzwiach wejściowych, wystająca nieco ponad podłogę:

*Upomina
bym rozpoczął wędrówkę
z rozważą i pokorą*

czy pytań retorycznych, jak w wierszu „Wezwani”:

*Wezwani zbawiennym nakazem
- Do czego?*

Bogactwo środków artystycznych oraz głębia treści zaczerpniętych z Ewangelii uszeregowuje twórczość poetycką ks. Edwarda Wolskiego wśród bardziej znanych w literaturze polskiej autorów poezji religijnej, jak Jan Kochanowski, ks. Jan Twardowski czy ks. Karol Wojtyła oraz jest warta uwagi.

dr Irena Kulik

Jan Henryk Cichosz

Z zakazem powrotu



Każdy poeta na swoje miejsce i czas. Dla poety Henryka J. Kozaka tym miejscem i czasem jest Podlasie, a dokładnie maleńka wieś Sitnik leżąca nieopodal Białej Podlaskiej, która w poezji Kozaka zajmuje poczesne miejsce i jest nieprzemijającą arkadią.

*Jeszcze kiedyś obudzę się wiosną
O świcie
W rodzinnym domu
W szparze pomiędzy belkami
Szpaki będą budować gniazdo
A ja pobiegnę boso przez sad
Na spotkanie wracającej skądś matki
I wszystko będzie jak dawniej
Młode jasne i piękne*

(„Przekonanie” s. 58)

W lipcu ubiegłego roku Kozak obchodził swoje 75-lecie i z tej okazji zafundował sobie - przy wsparciu Gminnego Ośrodka Kultury w Białej Podlaskiej, a także licznemu gronu przyjaciół - wybór wierszy „Imiona tęsknoty”, w którym znalazły się utwory z lat 1974-2020. We wstępie Józef F. Fert napisał, że *te wiersze-opowieści czyta się jak własne myśli, jak własne wspomnienia, jak własne refleksje nad niekoniecznie tak do końca „udanym życiem”... Stąd moje wrażenie, że przez całe pięćdziesiąt lat tych lektur (Kozak zadebiutował w 1967 roku) czytam ten sam na tysiąc sposobów obmyślany i opowiedziany życiorys. Gdyby to nie było trywialnym chwytem publicystycznym - z tych wierszy można by „wypreparować” nieomal kompletny kalendarz „życia i twórczości” Henryka Kozaka, który choć obiegł może i pół świata, zdarł tysiące piór i (długopisów), to tak naprawdę nigdy nie ruszył ani kroku za płot swego Sitnika i nie zna cenniejszego i piękniejszego miejsca pod gwiaździstym niebem jak mały, podlaski, zaryty w piachu, torfie z pozoru niebogaty Sitnik!*

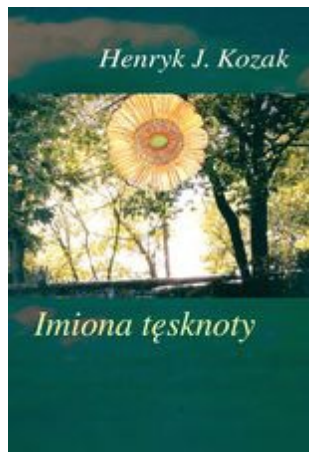
Dlatego poeta Henryk J. Kozak tak często staje w oknie swojego mieszkania na obrzeżach Lublina i patrzy w stronę Podlasia...

*Do świtu stałem w oknie
Myślałem o tym dniu wiosennym
Kiedy drózkami
Pośród łąnów kłoszącego się żyta
Płosząc skowronki
I wygrzewające się na pryzmach kamieni pliszki
Szliśmy do Leśnej Podlaskiej
Pokłonić się Pani Podlasia
I Sitnika
Nad ranem zatelefonowałem do brata
Niczego nie pamiętał
Ani drogi
Ani dali
Ani modlitwy
Nie było też nikogo komu
Mógłbym opowiedzieć to wszystko*

(„Stałem w oknie”, s. 139)

Kozak, stojąc w lubelskim oknie, doskonale wie, że tamten świat umarł bezpowrotnie. I wie, że jest jednym z niewielu współczesnych poetów polskich tzw. nurtu chłopskiego. Dobrze, że jeszcze mamy takich poetów i taką poezję z ich niepowtarzalnym autentyzmem, prostotą i szczerością, aż do przysłowiowego bólu.

Jan Henryk Cichosz



Henryk J. Kozak, „Imiona tęsknoty”, Norbertinum. Lublin 2021. ss. 172.

Henryk J. Kozak

Wigilijny wieczór

Grudniowy wieczór pada śnieg we wsi
 Jak świeczka za królowej Świeczki
 Wicher zdmuchnął uliczne latarnie
 Zasypał drogi i ścieżki
 A w zaspach za kościołem
 Utknął z paczkami Święty Mikołaj
 Tym razem bez niego zasiądziemy
 Do wigilijnej kolacji

Nie stój więc w oknie nie wypatruj
 Na podwórku w szaleńczym tańcu
 Wiruje zamieć
 Tak jakby przygrywał jej
 Sam mistrz Vivaldi

Dzisiaj nie zajadą przed dom saniami
 Kuzyni i krewni z sąsiedniej wioski
 I nie rozdzwoni się janczarami
 Tak jak przed laty
 Ten śnieżny wigilijny wieczór

Nim zapadnie noc

Wieczór
 Nad polami
 Poluje pustulka
 I wrony
 Powracają na noc legowisko
 Do Florii

Po latach wraca
 Sitnickim gościńcem
 Obieżyświat
 Syn marnotrawny
 Włóczęga

Też chce zdążyć
 Pod rodzinny dach
 Nim zapadnie noc

Miejsce urodzenia

A kiedy przeczytasz już większość książek
 Nauczysz się różnych języków
 I przemierzysz pół świata
 Ktoregoś dnia niespodziewanie
 Ktoś nagle zatrzyma cię na schodach

Niepotrzebnie powie
 Warte zapamiętania jest tylko miejsce urodzenia

Matka ucząca składania liter
 Śliwkowa droga do kościoła i szkoły
 A powtórzenia tylko
 Jeden świt
 Jedna noc
 Pierwsza miłość
 I pewien wieczór

Papierówki

Lipcowy wieczór burza
 Na łąkach płoną stogi
 Odejdź od okna prosi matka
 Nie wypatruj dzisiaj
 Nie przyjedzie już autobus
 A ja tymczasem uspokoję niebiosy
 Abyś mógł sobie nazbierać
 Jablek na drogę
 I z obrazem świętego Floriana
 Na podwórko wychodzi

I wtedy nagle cichnie burza
 Do remizy zjeżdżają smutne
 Strażackie wozy
 W zmierzchającym sadzie
 Pomiędzy rzędami jabłoni
 W trawie
 Zapalają się żółte światełka papierówek

Jakby ktoś niewidzialny
 Rozrzucił grudki złota

Znikąd

Tak to prawda
 Nie ma już wsi w której
 Prawdopodobnie
 Się urodziłem

To straszne
 Nie ocalał
 Nikt

Wszystko się rozpadło
 Rozsypało
 I zamieniło
 W proch popiół i pył

Także ja

I teraz
 Jestem znikąd

Waldemar Seroka

Najazd na Izbicę - dwie prawdy



Są takie książki, które zapadają głęboko w pamięć. Taka jest „Izbica, Izbica” Rafała Hetmana, dla mnie jedna z najważniejszych książek dekady - pisze znany dziennikarz Waldemar Kumór w „Newsweeku Historia” 4/2021. Jest to książka niewygodna, ale wierzę, że autor zadał sobie trud, by pokazać jak najwięcej prawdy - to z kolei głos w dyskusji na internetowym forum.

No właśnie! Czy autor przejmującej publikacji o zagładzie izybskich Żydów zadał sobie wystarczający trud? Czy w wątku odnoszącym się do Armii Krajowej i konspiracji poakowskiej dopełnił tego wymogu? *Torami sunęły sowieckie pociągi, a na Izbicę najechał poakowski oddział Delegatury Sił Zbrojnych por. Tadeusza Kuncewicza „Podkowy”, dowodzony przez jego zastępcę podchorążego Mariana Mijalskiego „Mafa”. Marceli Najder pracował już wtedy w Izbicy i opisał, co się wydarzyło.*

Była noc z 14 na 15 maja 1945 roku. Ludzie mówili, że na obrzeżach Izbicy pojawili się młodzi mężczyźni ubrani jak Wojsko Polskie, z automatami przy nogach. Szukali Tewiego Getzla. Poszli do rzeźnika Rysaka, bo za Niemców podobno chował się u niego Żyd. Ale Getzla nie było, mieszkał już w Lublinie, więc tylko pobili Rysaka. „Za to, żeś Żyda przechował i mu pomagał” - mieli powiedzieć. Potem poszli do Górzyńskiego, bo i on miał trzymać Żyda w czasie wojny, ale go nie zastali, więc pobili mu matkę. Rano przyjechała milicja z Krasnegostawu. Legitymowała ludzi na ulicach. Zatrzymała kilkanaście osób, część wypuściła, jedną postrzeliła, trzy zostały w areszcie. Po tym wszystkim z Izbicy jakby wyparowali ludzie. Nawet wójt uciekł na jakiś czas do Krasnegostawu, sekretarz się leczy itp.

Najder w pamiętniku zapisał: „Z angielską bronią i amunicją są teraz polowania na Żydów. Angielskie zrzuć broni nie poszły na walkę z Niemcami, ale na dobijanie resztek Żydów”. A potem: „Czekamy na konferencję Stalin - Churchill - Truman. Może ona wreszcie przyniesie wy-

klarowanie sytuacji w Polsce, może wtedy ustaną te nocne manewry. Bo w ubiegłym tygodniu podobne rzeczy jak w Izbicy odbyły się w ogromnej ilości okolicznych wsi. Mordy i pobicia, i rabunki. Za karę zabiera się zawsze gotówkę u delikwenta, rzeczy i bydło. Pola twierdzi, że i po unormowaniu stosunków będzie to samo, bo ci w grupach leśnych to z urodzenia bandyci, którzy - mając teraz okazję - wyżywają się. Szkółka u Niemców była dobra, he?”.

Taki opis pamiętnych zdarzeń znajdujemy na kartach rzeczony książki¹. Powyższy fragment to cytaty ze wspomnień ocalałego z Holocaustu Żyda - repatrianta z Kołomyi, teraz pomocnika aptekarza w Izbicy². Wynika z niego, ni mniej, ni więcej, że tydzień po zakończeniu wojny zjawił się w Izbicy oddział legendarnego „Podkowy”, by dokończyć „robotę” Niemców. Tylko, że do tej „roboty” - wymierzonej przeciwko dwóm bezbronnym Żydom - nie trzeba kilkudziesięciu, uzbrojonych w automaty ludzi. Cóż więc takiego miało się jeszcze zdarzyć tej majowej nocy, że zmobilizowano z placówek tak znaczne siły? Czy autor wspomnień i powtarzający jego słowa Rafał Hetman wiedzieli, co piszą, czy pisali co wiedzieli? Trudno uwierzyć, że mamy tu do czynienia ze zwykłą niewiedzą. Trudno też zrozumieć, dlaczego autor „Izbicy...” wystawił na szwank wiarygodność swojej pracy, dorabiając gębę współtwórców Holocaustu żołnierzom Armii Krajowej. Czy zadał sobie trud?...

W archiwum Sądu Rejonowego w Lublinie, Wojewódzka Delegatura UOP zdeponowała na początku lat 90. ubiegłego wieku, tajny dotąd i pilnie strzeżony przez SB, zbiór akt byłego Wojskowego Sądu Rejonowego - wśród nich akta Tadeusza Kuncewicza (Sr 1519/47). Ich pobieżna nawet lektura pozwala poznać kulisy tamtych zdarzeń:

Oficer śledczy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Biernat Bolesław, rozpatrzywszy sprawę przeciwko Kuncewiczowi Tadeuszowi ustalił, że w dniu 15.V.1945 roku, w Izbicy pow. Krasnystaw, w/w nakłonił swego podwładnego „Mafa” przez wydanie mu rozkazu

¹ R. Hetman, *Izbica, Izbica*. Wyd. Czarne 2021, ss. 136-137.

² M. Najder, *Rewanż*, Ośrodek Karta 2013, ss. 224-228.

do dokonania gwałtownego zamachu na posterunek MO w Izbicy, gdzie został zdemolowany budynek posterunku i zarządu gminnego. Z posterunku została zabrana broń: 1 pepesza i 11 karabinów oraz został uprowadzony porucznik żandarmerii z Zamościa Rudzoński Wiesław i milicjant Alfred J. Zabrano też pieczęcie i akta³.

O szukaniu Żydów i biciu ich wybawców nie ma ani słowa. Więcej światła na przebieg tej akcji rzuca jej uczestnik Ferdynand Orzechowski „Orlicz” - kapral podchorąży Armii Krajowej, podporucznik i dezterter z 31 pułku piechoty LWP w Białce:

Z posterunku w Żółkiewce została zabrana broń: 1 rkm, 1 pepesza i kilka kabeków. Stąd udaliśmy się w kierunku Izbicy i zatrzymaliśmy się w lesie wirkowickim, gdzie staliśmy przez cały dzień. Wieczorem wyruszyliśmy w siłę jednego plutonu „Mafa” do rozbicia posterunku MO w Izbicy. Rozkaz wydał „Podkowa”, który w akcji nie uczestniczył. Plan działania był następujący:

„Mał” z drużyną „Śmigi” poszedł na Tarnogórę w celu zatrzymania kilku podejrzanych o donoszenie na milicję i UB. „Gryf” miał zaatakować posterunek, a „Ogończyk”, podzieliwszy swoją drużynę na dwie grupy, ubezpieczał od strony Zamościa i Krasnegostawu. Ja otrzymałem gońca z zadaniem utrzymania łączności między „Mafem” a „Gryfem”.

Atak na posterunek rozpoczął się około godziny 23. „Gryf” rozbił go w 15 minut, zdobywając broń i pieczęcie. Stracił, tak z naszej strony, jak i ze strony milicji, nie było. Natomiast „Mafowi” robota się nie udała, gdyż nikogo z poszukiwanych nie było w domu. Po zakończeniu akcji oddział pomaszerował do lasu Pańska Dolina⁴.

Jednak „Orlicz”, ze zrozumiałych względów nie powiedział w śledztwie wszystkiego. Swoje zeznanie dokończył po... pięćdziesięciu latach. Dzięki temu, wiadomo dziś kogo szukano, kto i za co był bity, a kto zabity. Nieudana robota „Mafa” w Tarnogórze to błąd na potrzebę chwili. W rzeczy-

wistości kilku mieszkańcom tej miejscowości wymierzono chłostę za nadmierne sprzyjanie nowej władzy. Natomiast w domu nie było wspomnianego już wcześniej milicjanta, który niespodziewanie zastąpił kolegę na nocnej służbie. Ale „Mał” mający cynk, że powinien być - zaczął robić w domu kipsz. W tym samym czasie „Gryf” rozpoczął szturm na posterunek, co dało się słyszeć w całej okolicy. Zdesperowana takim obrotem sprawy matka milicjanta zaczęła się „stawiać” i zapewne wtedy mogła zostać uderzona lub popchnięta (według słów młodszego brata Alfreda J. - została pobita).

Akcje na posterunki MO w Żółkiewce i Izbicy przeprowadzono, zdaniem „Orlicza”, na skutek ich uciążliwości wobec okolicznej ludności. Powodem „polowania” na Alfreda J. była jego nadgorliwość w tropieniu dezterterów z Białki, wywodzących się w głównej masie z szeregów AK i BCh, a ukrywających się na terenie gmin Izbica i Tarnogóra.

Los uprowadzonych z posterunku był tragiczny. Milicjant, z wyroku Podziemia został zlikwidowany w Pańskiej Dolinie. Porucznika Rudzońskiego - po rozmowie z „Podkową” - przyjęto do oddziału. Zginął w Czechosłowacji w lipcu 1945 roku podczas słynnej wyprawy do Amerykanów.

Chyląc czoła przed bezmiarem tragedii narodu żydowskiego, w której nie brak też ciemnych kart naszych rodaków, nie możemy się godzić, by zagłada Żydów stała się parawanem, za którym upowszechnia się nieprawdę, opluwa Armię Krajową i lży Polaków. Mierzmy się z zaszłościami, lecz nie przez pryzmat prymitywnej propagandy i urojonych wizji: *W powietrzu czuć niepewność. Ludzie na coś czekają. Najder twierdzi, że na Mesjasza, który stworzy Polskę od Odry po Dniestr, Polskę, w której nikt nie będzie pracował tylko pił bimber gromadził dolary po Żydach* [sic!].

W styczniu 1948 roku „Podkowa” stanął przed sądem, oskarżony o wszystko, co się wydarzyło w tym czasie na terenie południowej Lubelszczyzny. Nikogo nie obciążał, całą odpowiedzialność wziął na siebie - za „najazd” na Izbicę też. Skazany (dziewiętnastokrotnie) na 10 lat więzienia odsiedział swoje co do jednego dnia. Przy wymiarze kary *sąd wziął pod rozprawę dotychczasową jego niekaralność, szeroką działalność za okupacji niemieckiej, współdziałanie z partyzantką sowiecką oraz - uwaga! - obronę ludności żydowskiej*

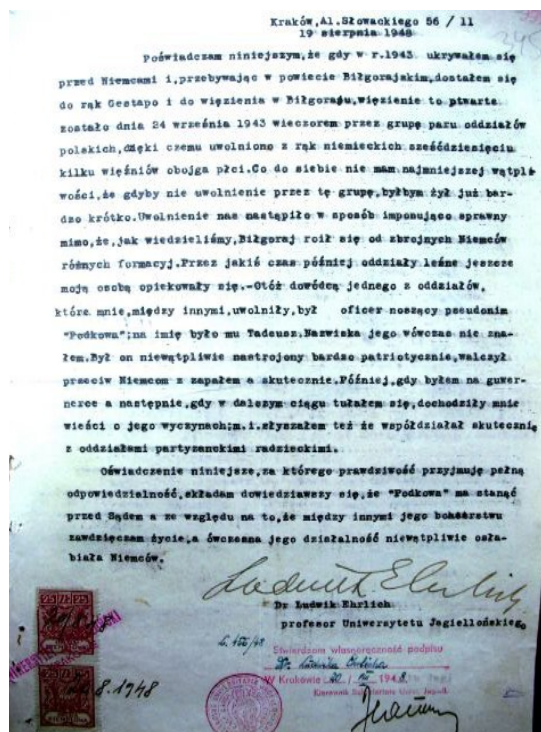
³ Postanowienie WUBP z 10 XI 1947 roku o pociągnięciu do odpowiedzialności karnej Tadeusza Kuncewicza.

⁴ Protokół przesłuchania podejrzanego Ferdynanda Orzechowskiego z 18 VII 1946 roku. (Akta WSR w Lublinie, Sr 1519/47, obecnie archiwum IPN Lublin).

przed Niemcami⁵. Warto też dopowiedzieć, że podczas procesu, na korzyść „Podkowy” świadczyło troje Żydów: Ludwik Ehrlich - profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i sędzia Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze, Bolesław Ałapin „Kwiatkowski” - lekarz oddziału „Podkowy” oraz Maria Wrzesińska vel Pelc - wychrzianka z Józefowa, która przed Wojtkowym Sądem Rejonowym w Lublinie wypowiedziała znamienne słowa:

Jako Żydówka przechowałam się w Majdanie Nepryskim dzięki Tadeuszowi Kunciewiczowi, który ostrzegał ludność żydowską przed Niemcami i udzielał pomocy rannym [...]. Jedną ranną Żydówkę przewiózł do szpitala, gdzie się wyleczyła i nikt nie wiedział, że jest Żydówką. Z lasu od „Podkowy” do wsi przychodziły ostrzeżenia o akcjach Niemców przeciwko Żydom. „Podkowa” tak mocno opiekował się Żydami, że nazwano go w końcu żydowskim rabinem.

Waldemar Seroka



Pismo dr. Ehrlicha do Wojtkowego Sądu Rejonowego w Lublinie w obronie „Podkowy”. Zdjęcie ze zbiorów Waldemara Seroki.



Andrzej David Misiura

Mandala klucznika

znudzone klucze
lamentują na pętl
otwierając splądrowane rewiry

jeden przypadkiem
zastygł pod klamką
zajął miejsce
tylko dla siebie

drugi zatrzaskał
drzwi od środka
rdzewieje

inny wpięty w naszyjnik
ludzi

kpią pomyłone zamki
oddane wytrychom
z bocznej kieszeni

niby czekają klucznika

Skryta rzeka

czas w którym poeta pogodny rozprawia
zaśmiewa się coraz bardziej
w krągłość cembrowiny
w lodowatość każdego kamienia
gdzie u kresu skryta rzeka
której nikt nie utopił
dna

wiadra spłoszone czyjąś dłońią
obdzierają w strzępy kołnierzyki
świętecznych koszul

a czas w rozbrykanych wierszach
dostrzega bezsens
flirtowania
z kostuchą

⁵ Patrz: wyrok WSR w Lublinie z 23 I 1948 r. k. 17.

Leszek Janeczek

Opowieści niezmyślone



Co wydarzyło się na Dworcu Północnym w Lublinie

Do dzisiaj się nad tym zastanawiam, chociaż minęło 40 lat. Byłem studentem czwartego roku Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Lublinie. Zaczęła w głowie dojrzewać myśl o porzuceniu medycyny i wstąpieniu do seminarium duchownego. Głowę zajmowały myśli o Bogu i zupełnie czymś innym, niż podsuwały studia medyczne. Pewnego razu, gdy jechałem do domu, udałem się na Dworzec Północny w Lublinie, skąd odjeżdżały autobusy na południową Lubelszczyznę. Na stanowisku, zdaje się 7, stał niebieski jelec i jak było napisane na białej tablicy zatkniętej u góry szyby, kurs był do Tomaszowa Lubelskiego. W autobusie wszystkie miejsca siedzące były zajęte i wielu szczęśliwców, którzy dostali się do wnętrza, w zupełności zadowolili się miejscami stojącymi. Przed drzwiami wejściowymi do pojazdu kłębił się tłum, bezładnie, bez kolejki, każdy chciał choć na siłę wdrzeć się do środka. Rozpychano się wtedy, nie zważając nawet na tych stojących bliżej wejścia. Kierowca stojący w drzwiach dobierał ostatnich już możliwych do zmieszczenia w pojeździe pasażerów, w sposób, jak najbardziej zresztą logiczny.

- Kto jest do Tomaszowa? - Jeśli nie było chętnych, to do Zamościa. Krasnystaw był najbliżej. Widząc z daleka sytuację, nie widziałem najmniejszej szansy na jazdę. Siedzący zajęli wszystkie miejsca, przejście wypełnione niemal całkowicie stojącymi, duży tłum kłębiący się przed drzwiami, do tego kurs aż do Tomaszowa. Zupełnie na luzie zbliżałem się do grupy przed autobusem, a do głowy przyszła czysto teoretyczna myśl, z kręgu tych, które w tamtym czasie zajmowały moją głowę.

- Co by Bóg zrobił, gdyby chciał mnie w tym autobusie umieścić?

Za sekundę znalazłem się przy masie ludzkiej przed samochodem. Ledwie przystanąłem

odwraca się do mnie starszy, niższy ode mnie mężczyzna i pyta.

- Chce pan jechać? W głowie natychmiast powstały dwie myśli i cisnęły się naraz do ust, niczym pasażerowie do wejścia. Pierwsza wyrażająca niepojęte zdziwienie tak natychmiastowym obrotem sytuacji, powstałym chwilę po wzbudzeniu może i bluźnierczej myśli. Druga trzeźwa i praktyczna, niepozostawiająca miejsca na dywagacje.

- No pewnie, że chcę.

Gdybym tego nie powiedział, bo na przykład żałowałbym kogoś, kto ma może i ostatni autobus do Tomaszowa, a jest już po południu, ja natomiast mam niemal co godzinę do Krasnegostawu, no więc gdybym miał tego rodzaju wątpliwości, nie poznałbym, co było dalej. Moje zdziwienie wynikające z pytania skierowanego do mnie i tak pozostałoby niewzruszenie wielkim. Więc gdy tylko wyraziłem życzenie, starszy pan sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i mówi do mnie wyciągając jakiś dokument.

- Jestem inwalidą pierwszej grupy, a pan jest moim przewodnikiem - legitymację dał mi do ręki i głośno zawołał, aby usłyszeli stojący obok i oczywiście kierowca.

- Ja z przewodnikiem, ja z przewodnikiem, jestem inwalidą! - Mnie puścił z dokumentem pierwszego, jakby dla torowania dla niego przejścia wśród ściśniętych ludzi. Tłumek do tej pory tkwiący silnie na swojej pozycji, posłusznie rozstał się, niczym Morze Czerwone przed Izraelitami, używając stosownie do sytuacji, terminologii biblijnej i po chwili byliśmy już w środku. Nic już później z nim nie rozmawiałem, rozdzielili nas jeszcze inni. Oddałem mu tylko legitymację, nie mogąc ochłonąć ze skrywanego wrażenia. Najdziwniejsze dla mnie wówczas było to, że człowiek ten w ogóle nie oglądał się do tyłu i nie miał pojęcia, że się zbliżam. Nie powiedziałem ani jednego słowa, do nikogo. Nic nie pytałem. Dlaczego ktoś mi zupełnie obcy, niemający pojęcia o mojej obecności i mojej chęci podróży, odwrócił się do mnie w tym momencie, gdy tylko w głowie powstała myśl i gdy podszedłem blisko? No i dlaczego nie uczynił wcześniej tego, co uczynił i dlaczego czekał na końcu tłumu, mając taki atut w kieszeni? Był on całkowicie sprawny. Nic dziwnego, że w takim momencie można popełnić grzech pychy. Czy ta sytuacja była zaaranżowana

właśnie dla mnie, aby mi coś przekazać? To zdarzenie jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu zmiany drogi życiowej. Może tak wygląda powołanie? Udałem się do seminarium duchownego w Lublinie, powiedziałem w jakim celu. Przyjął mnie ojciec duchowy. Wypytywał o różne sprawy, aby mnie wybadać. Delikatnie, jak to przewodnik duchowy, dał mi do zrozumienia, że nie widzi we mnie jeszcze materiału na kleryka, chociaż, jak wyraźnie podkreślił, w seminarium bardzo sobie cenią takie późne powołania. I tak zostałem ostatecznie doktorem. O sytuacji na dworcu oczywiście nie wspominałem. Dziś to zdarzenie dziwi mnie tak samo jak czterdzieści lat temu, a może i bardziej. A z drugiej strony, gdyby Bóg chciał, abym został księdzem, to i ojciec duchowy by mu w tym nie przeszkodził.

Nie wzywaj imienia Pana Boga swego nadaremno. Ale gdyby nie to, nigdy bym nie miał takiego doświadczenia.

Ludwik z Wielobycz, wiejski cudak

Z chłopów często się śmiano. W mieście oczywiście, bo z siebie chłopci gdzieby szydzili. Z ich mentalności, uporu, niewrażliwości, braku finezji i głębszej wiedzy. Nie tak dawno jeszcze, nieco ponad sto lat temu, to nie jest wcale dużo, wszyscy byli analfabetami. Prosty chłop od pług - to mówiło wszystko. Ale chłopci wiedzieli swoje i koniec.

Opowieść o Ludwiku Bortackim każe głęboko się zastanowić na tym, kim chłop być powinien. Mieszkał samotnie we wsi Wielobycz, niedaleko Gorzkowa, w powiecie krasnostawskim. Rodzice jego już umarli, nie ożenił się, rodzeństwo i rodzina osiedli po okolicznych wsiach, bratanek w Warszawie studiował na politechnice.

W czasie żniw, pod koniec lipca, a Ludwik miał ze trzy, może cztery hektary, od rana sposobił się w pole kosić zboże. Tak zresztą, jak wszyscy, z tą tylko różnicą, że na pole wyjeżdżał około godziny siedemnastej, niektórzy może już i wracali do domu. Na wóz brał pierzynę, pierzynę na żniwa - też coś (!), poza tym różne rzeczy z domu, a na sznurku szła przywiązana do fury krowa.

- Ludwik, gdzie ty się wybierasz? - pytali zdziwieni chłopci jadący już do wsi.

- Jade na żniwa. A co, w spieku będę kosił?
- właściwie nie do podważenia, całkiem logicznie tłumaczył.

Rano Cichoszowie, sąsiedzi Ludwika, przyszli znowu na pole. Ze zdziwieniem zobaczyli zżęty tylko... jeden snopek. Rażno zabrali się do swojej pracy, po to przecież przyjechali. Ludwik w tym czasie nie robił tego, co potrzeba, tylko coś chodził, stał, machał do nich ręką. Gdzieś, koło szesnastej ojciec wysłał Henia.

- Pomogę panu - zaproponował młodzieniec.

- Oj, Heniu, to bardzo dobrze - ucieszył się chłop.

Henio zaczął kosić kosą, robić powrósła, zbierać i wiązać w nie skoszoną słomę. A Ludwik w tym czasie zaczął opowiadać o wszystkim, jakby tylko czekał, aby zdobyć słuchacza.

- Heniu, jakie piękne jest gwiaździste niebo. Coś przepięknego. I jak tu cokolwiek robić!? A wieczerem ptaki mi śpiewały, to ja sobie leżałem na pierzynie, śpiewałem.

Jak zdążył skończyć żniwa? No, z ludzką pomocą. Sam też nikomu jej nie odmówił.

Kapustę i ziemniaki na wiosnę sadił najpóźniej ze wszystkich. Ale kapusta jego był najbardziej. Tak jak i kartofle. Ludzie utwierdzali się w przekonaniu o jego niezaradności. Gdy służył w wojsku, oficer powierzył mu do pilnowania harmonię. I ktoś mu ją ukradł. Ludwik trafił do aresztu. Służył w pułku artylerii konnej, zapewne w Hrubieszowie.

Żył biednie, chociaż był dość bogaty. Rąbał drewno i opowiadał o poezji. Pewnego razu, gdy tak uderzał o wysoki pień, zagadnął go chłopak z sąsiedztwa:

- Co tam, panie Ludwiku?

- Heniu, słyszysz? - zagadnął małego chłopca, który lubił mu się przyglądać. Pomimo uderzeń siekiery, usłyszał śpiew ptaka. Niedaleko siedł sąsiad.

- Pawle, Pawle słyszysz jak ptaki śpiewają?

- Jakie ptaki, jakie ptaki? - odburknął idący boso stary.

- O widzisz, o widzisz - zagadnął znowu do chłopca - nie słyszysz.

Kto na wsi interesował się astronomią, sztukami pięknymi? Ludwik uczył się niemieckie-

go. I lubił chodzić do Stanisława Cichosza, który całą wojnę przebywał w niewoli i dobrze nauczył się tego języka. Bratanek, student z politechniki, dawał stryjowi zadania matematyczne do rozwiązania. Ludwik siedział nad nimi po całych nocach, taki był zacięty. Nie wszystkie, ale wiele z nich potrafił rozwiązać. A nie był to poziom szkoły podstawowej czy średniej. Pewnie nikt inny we wsi tego by nie potrafił.

Ludwik miał rower, tak zwaną kozę. To oznaczało kierownik wygięty ku górze, na kształt rogów. Kiedyś rower pożyczyła od niego sąsiadka, młoda kobieta, ale te rogi przekreśliła w dół i w takim stanie oddała mu wehikuł. On tymczasem nie chce przyjąć swojej własności, mówiąc, że to nie jego rower. Kobieta, wróciwszy do domu mówi, że Ludwik chyba zgłupiał, nie chce przyjąć roweru. Mąż kobiety przekreślił kierownik z powrotem rogami do góry.

- O tak, teraz to jest mój rower - skonstatował Ludwik.

Pewnego razu, mogło to być w roku 1956, zaczął się pakować. Sąsiad Cichosz pyta:

- Ludwik, gdzie ty się wybierasz?

- Jade do Warszawy, podobać się jest telewizja.

Zapakował walizkę, a w niej 6 oselek masła, 3 kilo kielbasy, szynki. Sąsiad pyta:

- Ludwik, po co ci to jest potrzebne, do kogo to wieszysz?

- Tam może bedo jacyś znajomi.

Pojechał. Wszyscy byli ciekawi bardziej tego, co się stało z zawartością walizki, niż może samej telewizji, która była wtedy wielką sensacją. Po powrocie cała wieś słuchała, gdy opowiadał, jak to był i widział tę telewizję.

- No i jak? Dałeś te prezenty? - pyta Cichosz.

- No, oczywiście. W tramwaju, pięćkę była pani, to jej dałem dwie oselki masła, kilo kielbasy. Później jakaś pani mnie zagadała koło Pałacu Kultury - znowu coś jej tam wręczyłem.

Koniec końców, jak przyjechał do znajomych, zostało mu tylko kilo kielbasy i jedna oselka masła.

Gdy wybuchła wojna w 1939, już we wrześniu, może około dziesiątego, pojawiły się nad Wielobyczą samoloty. Ludwik w tym czasie poił konie na wygonie. Ludzie zaczęli się kryć, chować, gdzie kto mógł, uciekano za las. Wiadomo, czas wojny.

Tylko jeden Ludwik stanął na baczność. Rozumował, że to leci wódz Rydz-Śmigły. Oddawał honory wojskowe. Gdy z samolotu zaczęto strzelać, dopiero wtedy zaczął uciekać. Nic mu się nie stało. Ludzie bardziej niż swój strach zapamiętali jego postawę.

Ludwik nie pił wódki. Był spokojnym człowiekiem. Ale gdy ktoś mu nalał i trzy szklanki wódki, to wszystko wypił. Pytano go ze zdziwieniem:

- Ludwik, dlaczego to wypijeś? Przecież ty nie pijesz?

- Nie można odmówić.

Zdarzało mu się pójść do sklepu na wsi po chleb. Wiejskie zgrywusy zaraz częstowali go piwem. Wypił trzy, cztery kufle. W drodze powrotnej ten chleb mu wypadł na drogę, brał go niezgrabnie i znowu gubił.

- Po coś pił? - pytano.

- Częstowali - mówił to z takim tonem głosu, jakby to była jakaś siła wyższa.

Przed wojną, gdy miał może 18-19 lat, wziął bryczkę i pojechał z kolegami na randkę do Maszowa czy Mościsk. Ale gdzie? Nie na wieś, gdzie były wiejskie dziewczęta. Celem zalotów była córka samego dziedzica, właściciela dworu. Zapukali do drzwi. Wyszła służąca i pyta:

- Panowie po zebrany? - Dała im po parę groszy. Młodzieńcy wrócili. Ludwik nie wstydził się tego, sam o wszystkim, niczego nie ukrywając, opowiadał.

Kiedyś, mając ponad 50 lat zakochał się w młodziutkiej, bardzo pięknej Cichoszównie, dużo od niego młodszej. Pisał do niej listy. Pewnego razu dziewczyna pasła krowy na wygonie, gdy Ludwik jechał furmanką.

- Prrrrr! - zatrzymał parę koni. Zza pazuchy wyciągnął plik listów i wyrzucił jej pod nogi. Mogły wpaść w ręce innych. Ela Cichoszówna zabrała listy, tak było bezpieczniej, wszak była ich adresatką, i zaniósła ojcu. Ojciec z córką i rodzina cała kilka przeczytali. Były tam wiersze nie tylko Mickiewicza przepisane jako własne. I takie tam. Ojciec wziął je razem, związał sznurkiem i poszedł do zakochanego w jego córce. Okno było otwarte, był ciepły czerwcowy wieczór. Cichosz wrzucił je do środka. Ludwik, który tam siedział nawet nie drgnął, nawet się nie obejrzał. Ale nadzieję stracił i młódka mogła bez obawy pasać ojcowską chudobę.

W latach pięćdziesiątych w kraju było powszechne odwszawianie ludności. Jeździły takie ekipy wyposażone w wielkie przyrządy, podobne do pompki, wielkości rury wydechowej świdnickiej wueski, rozpylające zabójcze dla owadów środki. Kiedyś dwóch mężczyzn przyszło do Ludwika i mówią:

- Proszę pana, odkażamy wszystko. Kto ma wszy, pchły, mendi.

- W jaki sposób - słusznie zapytał zagadnięty, chcąc być świadomym procedury, jakiej ma się poddać.

- Dmuchamy za koszulę i tam, gdzie kto ma wszy.

Ludwik rozpiął rozporek. Ekipa wsadziła mu tam rurę, jak dmuchnęli aż portki rozdzęło i cały impet ruszył nogawkami. Nie wiadomo czy te insekty miał porwać ten wir powietrza, czy zabić jego zabójczy skład. Ludzie we wsi się śmiali z Ludwikowego wyboru. Chyba do końca nie mieli racji, nawet o tym nie wiedząc. Domyślać się należy, że przez swoje odczytanie wiedział więcej od innych i mógł doskonale rozumieć właściwe znaczenie słowa menda. W nomenklaturze medycznej jest to wesz, ale tylko łonowa. Gdy więc usłyszał to słowo, to natychmiast skojarzył i rozpiął spodnie, a ludzie myśleli co innego.

Ku zadziwieniu wszystkich, Ludwik zdobył prawo jazdy na motocykl, choć nie umiał na nim jeździć ani nie posiadał samego motoru. Niezwykle więc jest to, jak je uzyskał i jeszcze ciekawsze, jak je stracił, nie mając pojazdu. Gdy była jazda, na egzaminie posłużył się kimś, kto był za niego przebrany, tamten przejechał ze dwa razy dookoła i zdał. Genialnie proste. Po co mu było to prawko - nie wiadomo. Okoliczności jego zabrania były następujące. Dodać trzeba, że motoru ani nie ukradł, ani nie pożyczył. Pewnego razu wezwano go na milicję do Krasnegostawu, powód - jechał pijany na motorze. Tłumaczył, że był w mieście, motoru nie miał i nie ma, a do domu wracał piechotą. Szosy przez Niemienice nie było. Było po deszczu. Ludwik kluczył po drodze omijając kałuże. I ten zygzak, aby przejść suchą nogą wystarczył. Zapewne jakiś miejscowy ormowiec o tym musiał zameldować, domyślając się jego nietrzeźwości. A wódki, jako się rzekło, nie pił, chyba, że częstowali. Dla czego milicja tak postąpiła i to ludowa z prostym

człowiekiem z ludu, nigdzie nie zaangażowanym, żyjącym w swoim świecie - nie wiadomo. Może i ostatecznie, biorąc pod uwagę okoliczności egzaminu praktycznego na prawo jazdy, sprawiedliwości stało się zadość. Na zakup motoru nigdy się nie zanościło, a o zdobytym prawie jazdy wiedzieli wszyscy. Widać na Wielobyczy nie było ormowców, co by mogli o tym donieść, gdzie trzeba.

Pewnego wtorku trzech mężczyzn z Wielobyczy postanowiło jechać na targ do Krasnegostawu. Byli to Ludwik Bortacki, Stanisław Cichosz i Kwaśniewski. Wtorek był świętem dyszla, jak mawiano o dniu targowym w mieście. Ludwik dał wóz, ale jego koń był źle podkutty. Kwaśniewski zaoferował swoje konie, a trzeci - Cichosz tylko jechał, bez wkładu własnego, można powiedzieć. Rozmowa sąsiedzka zaczęła się stawać jakimś ostrym sporem. Po kilku kilometrach, gdy byli już w Niemienicach różnica zdań sięgnęła zenitu. Ludwik pokłócił się z Kwaśniewskim. A był wybuchowy.

- To jest moja fura, ty wyprzęgaj konie i idź sobie do domu, a ja na wozie zostaję - zażądał Ludwik od Kwaśniewskiego. Ten odpiął wałachy, nie wie, co ma robić, Ludwik siedzi na środku drogi, czekając nie wiadomo na co. Nazbierało się zaraz miejscowych, bo coś musiało się tu stać.

- Ludzie, nie wygłupiajcie się - przemawiał do rozsądku Cichosz.

- Ludwik, no i co, zostaniesz na wozie bez koni? Jak wrócisz do domu? Sam bedziesz ciągnął? - zaczął mu uświadamiać jego położenie. Negocjacje, choć nikt wtedy nie znał takiego pojęcia, doprowadziły do udobruchania Ludwikowego wzburzenia. Furmanka potoczyła się po ponad godzinie przestoju do miasta. Konie zapewne nawet się nie domyślały, o co chodzi.

Młócenie zboża na wsi, pomimo istnienia gospodarstw indywidualnych, odbywało się kolektywnie. Mówiono, że szło się „do maszyny”. Kiedyś przy takiej młócce był obiad, jak zwykle, wino także. Ludwik nalał sobie całą szklankę. Gdy wypił, zaczął recytować całą „Odeę do młodości”.

- Co on to plecie? Ludwik fioła ma? - powiedział poważny chłop, nie mając pojęcia o tekście.

- Patrz! Cholera dobrą ma pamięć - dorzucił drugi głosem pełnym podziwu.

Kiedyś na jego zagonie kuzyn pomagał w oraniu. Ludwik miał oprowadzać konia. Zaczął

mówić o poezji Mickiewicza. Zaniedbał pomoc i kuzyn namęczył się, ile wlezie. Ten portret Mickiewicza na ścianie nie na darmo tam wisiał.

Siostrzeniec z Zamościa, przyjechawszy do Ludwika, przeraził się warunkami, jakie zastał w jego domu.

- Wujku, ty biednie żyjesz!

Ludwik aż wstał oburzony.

- Tyś, k...a widział bide? Ty wiesz, co to jest bida?

Ale to mówi wiele o tym jak mogło być wcześniej.

Do czasu Soboru Watykańskiego II msze w naszych kościołach odprawiano po łacinie. Ludziska tak do końca nie rozumieli, co ksiądz mówi. Ludwik z książeczki do nabożeństwa nauczył się, gdzie i kiedy odpowiadać, po łacinie właśnie. Robił to z pamięci. W kościele ludzie tylko na niego się przyglądali i powtarzali za nim. Żaden z przykładnych i statecznych gospodarzy nie potrafił tego, co ten, który jak mawiano, miał trochę fisia.

Ale jedna z jego wypowiedzi zdaje się dowodzić głębokiej myśli u tego chłopca, o ile nie genialnego wizjonerstwa. Ot, kiedyś tak rzekł:

- Wymyślili telewizję. Ale człowiek też nadaje sygnały. I kiedyś to będzie tak, że człowiek wyśle z głowy myśl i będzie ekran i ona na nim się wyświetli.

Dziś nad tym jak to zrobić zastanawiają się najtęższe umysły na całym globie.

Gdzieś w listopadzie, śnieżek już lekko poproszył, Ludwik umarł. Cała wieś przyszła do domu. Trumna była otwarta, takie były wtedy zwyczaje. Odwiedzający dom żałoby, oprócz nastroju powagi chwili, ze zdziwieniem patrzyli na twarz zmarłego.

- Zobaczcie - mówili, każdy jakby szukając potwierdzenia u innych - Ludwik się uśmiecha. Patrzyli na nieboszczyka z niedowierzaniem. Przecież zmarli nigdy się nie uśmiechają. A jednak uśmiech zastyl na twarzy wiejskiego cudaka, jakby chciał ludziom coś przekazać z tamtej strony. Może po prostu swoją śmiercią, także tym razem - jak zwykle, chciał znowu zaskoczyć, tak jak zaskakiwał całą wieś ciągle za swojego życia. A teraz jeszcze jakby chciał powiedzieć:

- A widzicie?

Jego pogrzeb był jednym z ostatnich w starym zwyczaju, gdzie trumnę jeszcze niesiono

przez cały czas na ramionach, kilka kilometrów aż na cmentarz w Gorzkowie.

A swoją drogą teraz już jest jasne, dlaczego chłopu niepotrzebne są wiersze, zadania matematyczne, nauka niemieckiego czy poznawanie astronomii. Wielu może się tym parać i robią to, ale chłop wprost nie powinien. Prostota chłopca tak niemająca zrozumienia u wielu, jest tym, co pozwala mu zwyczajnie, bez zbędnego rozpraszania umysłu dać sobie radę i przeżyć. Także po to, abyśmy mieli co jeść.

Przeczytawszy to opowiadanie, miejmy nadzieję, że Ludwik tam w górze, uśmiechnął się ponownie, z pobłażliwą wyrozumiałością dla zauroczonego Nim autora, który chciał tylko ocalić pamięć o tym prostym a jednocześnie niezwykłym człowieku.

Krasnostawianin versus Pitagoras

Pitagoras twierdził, że świat jest oparty na liczbie. Do dzisiaj dla przytłaczającej większości nie wiadomo co to właściwie znaczy. Jednak losy pewnego człowieka z Krasnegostawu zdają się rzucać nieco światła na transcendentne przeczucie wielkiego matematyka. Nazywał się on Roman Kostrzanowski. Jego studia prawnicze przerwała wojna. Jako żołnierz walczył w wojnie obronnej w roku 1939. Polska przegrała, a on dostał się, niestety do niewoli niemieckiej. Trafił do oflagu w Woldenbergu na Pomorzu. Tam nadano mu numer jeniecki 357. Trzymano go całą wojnę, było mu tam jednak bezpieczniej, niż gdyby wrócił do domu. Co okazało się dopiero po powrocie z niewoli, gdy wielu kolegów już nie zastał przy życiu. Po wojnie dokończył studia prawnicze i został radcą. Prawnym oczywiście. Gdy w domu założono mu telefon, a było ich w mieście mniej niż tysiąc, otrzymał przydzielony numer. Było to 357. Tak się złożyło. Po jakimś czasie dorobił się samochodu. Jego czar czterech kółek, jak wtedy nazywano to tak luksusowe dobro, nazywał się Syrenka. Tablice rejestracyjne były wtedy znacznie skromniejsze niż dzisiaj, samochodów w mieście było mniej niż telefonów. Czytelnik już się pewnie domyśla do czego zmierza opowieść. Numer rejestracyjny, jaki widniał z tyłu i przodu auta to LK 357. Trafił się,

można powiedzieć całkowicie przypadkowo, bez żadnej ingerencji ze strony samego zainteresowanego. Telefon i samochód to niewątpliwie coś pozytywnego. A czy ten ciąg, trzy razy powtarzający się przypadkowo tych samych cyfr znaczy to samo? Przecież dostać się do niewoli, to dla żołnierza gorsze od bohaterskiej śmierci, którą ponosi na polu chwały. Żadna klęska nie jest ostateczna, żadne zwycięstwo nie jest definitywne. Alternatywą do niewoli niemieckiej była niewola sowiecka, do której mógł trafić. Gdy Roman zobaczył swoich kolegów na liście katyńskiej, wtedy zrozumiał ostatecznie, co dla niego znaczyło 357. A w zaświatach Pitagoras zapewne rzekł do niego: - Teraz już rozumiesz? Albo inaczej - może to krasnostawianin Roman Kostrzanowski sam zwrócił się do wielkiego Pitagorasa i powiedział: - Teraz już wiem, nadal tylko nie rozumiem, jak to działa.

Tak zresztą, jak chyba i my wszyscy.

Słowo, które było na końcu

Żona Romana przekonała się o potężnej sile słowa. To doświadczenie zostało z nią do końca jej dni. Miała koleżankę w szkole w Chełmie, Żydówkę. Była ona bardzo zdolna, знаła kilka języków, jakiś czas pracowała zdaje się w radiu. Gdy wybuchła wojna, znalazła się w Nowym Sączu. Razem z matką i siostrą ukryły się w tamtejszym szpitalu. Ale tak jawnie - pracowały tam. Z personelu chyba wszyscy wiedzieli, że są Żydówkami. Tak się szczęśliwie złożyło, że nikt nie doniósł. Gdy przychodzili do szpitala Niemcy, ktoś głośno ostrzegał i one natychmiast chowały się do piwnicy. Powtarzało się to wiele razy. Pewnego dnia, jak zazwyczaj, krzyknęto, że do szpitala idą Niemcy. A one jak zwykle szybko zaczęły biec do swojej kryjówki. Nagle ktoś z personelu zawołał z pogardą w głosie:

- O Żydówy, znowu się chowają.

Te słowa były gorsze od kuli. Żydowskie kobiety przestały biec. Zamiast się bezpiecznie ukryć, skrzyknęły do głównych drzwi i wyszły wprost na ulicę, na spotkanie hitlerowcom. Ich los był przesądzony. Czy ta osoba spowiadała się z tego, że zgrzeszyła słowem?

Dom państwa Kostrzanowskich, drewniany, z dwoma słupami podpierającymi ganek stoi

do dziś na ulicy Kościuszki, niestety nikt w nim nie mieszka. Nie mieli dzieci. Ale te ściany są nadal świadkami, już tylko niemymi, siły pierwotnych archetypów - liczby i słowa.

Topolański Matuzalem

Dzisiaj, w dobie wielkiej i wszelkiej rywalizacji w każdej dziedzinie życia, nastawieni jesteśmy na bycie najlepszym, najszybszym, najinteligentniejszym, najbogatszym, najdłuższym, najkrótszym itp. Świat jest pełny wszelkich ksiąg rekordów. Chyba śmiało możemy się tu włączyć i pochwalić. Warto powiedzieć o pewnym mężczyźnie ze wsi Topola w gminie Izbica. Otóż wyjątkowa jest długość jego życia. Gdy umarł liczył sobie 116 lat. Czy to może być rekord Polski? Bardzo prawdopodobne, przynajmniej miejsca na podium w tej dziedzinie trudno mu byłoby odmówić. Był to Stanisław Kleszowski. Gdy umarł w roku 1933, ksiądz w Krasnymstawie sprawdził w księgach parafialnych datę jego urodzenia. I tak wyryto w drewnie krzyża. Nikt wtedy takich rzeczy nie brał specjalnie do głowy. A gdy stary krzyż zmurzał po niecałych 90 latach, postawiono żelazny z blaszaną tabliczką, którą możemy do dzisiaj zobaczyć na cmentarzu w Orłowie Murowanym, na starej części, od strony Majdanu Krynickiego, gdyby ktoś chciał przekonać się o prawdziwości niniejszych słów. Niewiele wiadomości zachowało się o rekordziście. Ciekawe jest, jaki miał charakter, sposób życia, co jadł (pewnie to, co wtedy wszyscy), co i ile pił, że dożył takiego wieku. Był chłopem uprawiającym ziemię, której nie miał wiele. Może to oszczędziło jego ciało i siły. Zapamiętano go powszechnie ze śmiesznego wypadku. Mieszkał na skrzyżowaniu dróg. Tak na samym wysokim brzegu skarpy stał jego wychodek, koło stodoły. Dziś w tym miejscu też jest jakaś stodoła. I kiedyś z tym wychodkiem stoczył się na sam dół. Nic mu się nie stało. Pewnie miał do tego szczęście w życiu. O kondycji miejscowego matuzalema może świadczyć uwaga, wtedy młodego chłopaka, Józefa Janeczka, który był urodzony w 1912 roku. Gdy Józio się rodził, Stanisław miał 95 lat. Aby móc ocenić słowa starca, Józef Janeczek musiał dobrze podrosnąć i zrozumieć, o czym Kleszowski mówi. A Józef po-

dał niezwykle interesujący szczegół świadczący o kondycji fizycznej i psychicznej długowiecznego, ba nawet z medycznego punktu widzenia oceniając - o jego statusie hormonalnym. Józef podał, że podobały się Stanisławowi kobiety. Opowiadał mianowicie, jak to Kleszowski pasał z nim konie na pastwisku nad rzeką Wolicą. Gdy szła jakaś kobieta mówił, sądząc po zestawieniu słów, chyba z zachwytem w głosie:

- Ale łuda!

Miał na myśli nogi, a wtedy spod długich barchanek tylko widać było łydki. Gdy mówił te słowa, które niechby tylko 10-letni Józio słyszał i rozumiał, Kleszowski musiał mieć 105 lat, ale pewnie więcej. Interesującym jest, czy starik ciekawością swoją sięgał wyżej? I czy to przypadkiem nie jest sposób na długowieczność, której tak poszukujemy? Grób tego człowieka zachował się do dzisiaj, drewniany krzyż, jak wspominałem, już zmurszał, miał wyrzeźbione owe lata życia, teraz zastąpiono go metalowym z blaszaną tabliczką.

Widły dowodem na życie pozagrobowe

I to - zastanawiająco - całkiem na poważnie. Rzecz miała się pod Krasnymstawem, we wsi Wólka Orłowska. 1 czerwca - data dzienna i miesięczna tu akurat jest ważna, a to, że roku 1975 nie ma znaczenia, nagle zmarł Jan Prokop, gospodarz akuratny. Śmierć zabrała go niemal w ciągu sekundy, na podwórku, gdy wracał już do domu. Pozostała starsza wdowa, oboje byli już dobrze po sześćdziestce, na gospodarstwie, które prowadzili z całym dotychczasowym rozmachem. Za jakieś może 2 tygodnie córka zmarłego, mieszkająca ze sto metrów dalej, ma taki sen: zmarły ojciec mówi:

- Idź do matki, pójdźcie do stodoły. W zapolu leżą widły, bo na sianokosy nie będzie czym siana podawać na furę.

Prawda, pierwsze sianokosy zawsze są w czerwcu, w drugiej połowie miesiąca. Poszła matka z córką do rzeczonej stodoły, ale widel nigdzie nie widzą, chociaż widły nie igła. Stogu siana już nie ma. Patrzą obie w opustoszałe zapole, z którego już wszystko skarmiono. Na dnie leżały tylko marne resztki zeszłorocznej słomy. Ale kobiety, biorąc na poważnie rozkaz dany we śnie, tym bar-

dziej, że widel rzeczywiście nigdzie nie było, podnoszą to, co tam leżało i nagle ich oczom ukazują się... widły. Sen co do joty był proroczy.

Jakież szerokie pole do refleksji natury filozoficzno-teologicznej na fundamentalne tematy wywołało to zdarzenie! Gospodarz umarł, leży w grobie, ale skądś daje wskazówkę. Jest nadal w kursie dzieła, jak mawiają Rosjanie. Jako umarły wie nie tylko, że nastał już czas sianokosów, ale będąc gdzieś daleko w zaświatach, pamiętał i uznał za bardzo ważne przypomnieć najbliższemu o tak naprawdę lichym, w kontekście jego przejścia do wieczności, kawałku drewna z trzema żelaznymi zębami, przywalonym resztką słomy. Chyba że widły były porządne i całkiem nowe. Nie mówi, żeby się nie martwili jego niespodziewanym odejściem, bo on w jakiś sposób żyje, ale kłopotce się tym, że nie będą miały widel, a tu zaraz sianokosy. Nawet śmierć nie przeszkodziła mu w doglądaniu obejścia. To dopiero gospodarz co się zowie! Może był bardzo do tych widel przywiązany. Pamiętał i widział nawet to, co zakryte przed wzrokiem. Gdyby jako duch był obecny w stodole, to też nic by nie zobaczył. Można postawić hipotezę, że może stamtąd widzi się jakimiś innymi promieniami, które przenikają przez niewidzialne. Ergo, jego pamięć żyła dalej i przechowała zdarzenie sprzed roku, kiedy to zapewne przez nieuwagę widły zostały przysypane słomą i teraz po śmierci o nich sobie przypomni. Mógł je przecież wydobyć dwa tygodnie wcześniej, gdy żył. Na tamtym świecie miał świadomość, że tego narzędzia bliskie mu kobiety same nigdy nie odnajdą. Bardzo im pomógł. Nasuwa się też i taka uwaga: czy na tamtym świecie jest ta sama hierarchia ważności? Z drugiej strony, ktoś mógłby przewrotnie ironizować, że widły to atrybut diabła. A jak było w tym przypadku? Czy to aby nie aluzja?

Dzieci widzą więcej

Mieszkający na ulicy Jana Czuby w Krasnymstawie Zygmunt Korszla umarł w średnim wieku, miał 53 lata. Miesiąc później do sąsiadów przyjechała córka z Australii. Przywiozła ze sobą około trzyletniego synka, aby pierwszy raz pokazać go rodzicom w Polsce. Wszyscy rozmawiając, siedzieli razem na dworze, dziecko biegało sobie

po całym podwórku. Oddaliwszy się nieco, zaraz przybiegło i mówi, że tam jest jakiś pan. Nikt obcy nie zapowiadał się z wizytą, wszyscy byli sami swoi. Z ciekawości poszli zobaczyć, ale nikogo nie było. Może dziecku nie można tak do końca wierzyć?

- A co ten pan robił? - zapytano jednak. Dziecko przyłożyło palec do ust, tak jak ten pan i rzekło:

- Pan powiedział: - Cichooo!

Uczestnicy spotkania zdziwili się, sprawy jednak nie zaniechali. Mianowicie ktoś wpadł na pomysł i przyniósł z domu zdjęcia rodzinne.

- Wiesz, który to pan - podsunięto dziecku fotografię, na której było kilka osób.

- Tak, to ten - maluch bez zastanowienia pokazał osobę spośród kilku ujętych na zdjęciu.

Był to Zygmunt Korszla.

Michał Zwolak - prosty chłop, wielki synoptyk

Był gospodarz z Wólki Orłowskiej, który przeczytał tyle książek, aż stracił wzrok, jak mawiali ci, co go znali i nie rozumieli, po co to czytać. I widzieli tylko taki skutek tej czynności - nadaremne psucie oczu. Przecież chleba z tego ni ma, rozumowali twardo stąpający po ziemi chłopci. W latach pięćdziesiątych XX wieku, był taki czas, że wyznaczano ludzi ze wsi do zbierania stonki ziemniaczanej, którą mieli zrzucić z samolotów na polskie pola amerykańscy imperialiści. Kiedy grupa zmęczona poszukiwaniem owada na wóleckich kartofliskach odpoczywała w okolicach Kozich Dołów, jeden z nich - Michał Zwolak, starszy już człowiek, co miał brać udział w wojnie japońskiej, objaśniał, jakby od niechcenia albo w przypływie przeczucia lub prędszej może w wyniku nagromadzenia ogromnej wiedzy w swojej głowie. Mówił mianowicie, że Księżyc jest teraz w takiej fazie, słońce też w jakimś ważnym, jak wskazywał, miejscu, do tego dołożył coś, czego po latach uczestnicy już nie pamiętali, że za kilka dni zobaczycie, co tu będzie się działo. Był zagadkowy, konkretnie nie podał.

Szosa idąca przez wieś to była niegdyś droga z Warszawy do Lwowa, a w PRL-u z Lublina do Zamościa. Biegła niczym aleja w szpalerze starych drzew. Zapewne posadzonych wtedy, gdy została

wytyczona w połowie XIX wieku. Rosły przy niej wiekowe lipy i ogromne sokory, jak nazywano topole. Kilka dni po słowach Zwolaka przyszedł taki wiatr, burza, wichura, jakich musiało nie być od stu lat. Poprzewracał i połamał jak zapalki wszystkie stare drzewa, reszcie połamał gałęzie, ostały się tylko pojedyncze. Ludzie patrzyli z niedowierzaniem. Dziś powiedziano by o trąbie powietrznej czy tornadzie, ale wtedy ludzie nie znali jeszcze na wsi takiego słowa, bo takich zjawisk tu nie było, przynajmniej w najbliższej okolicy. Powiedziano więc, że przyszło coś takiego. Ale co to było? - zastanawiali się wszyscy. Było to niepojęte.

Równie zagadkowe było jednak skąd przewidział to prosty chłop, bez studiów, analiz, wykresów, satelitów, komputerów, całego sztabu meteorologów. Czy tylko siłą swojego umysłu? A dziś czy znalazłby się ktoś taki? Notabene, określenie „prosty chłop”, jest w kontekście Michałowego dokonania całkiem nieuprawnione, chciałoby się raczej powiedzieć geniusz, ale jak się nie ma dyplomów to się jest... Wielu z tytułami i dyplomami, których trudno nazwać prostymi chłopami, nie dałoby rady przewidzieć tego, co zrobił Michał. W chwili stawiania diagnozy miał już 73 lata, gdyby normalnie pracował, byłby na emeryturze. Tak naprawdę wszystko jest względne, tylko my wolimy przykleić innym etykiety i to tego rodzaju, żeby przez to mieli mniejszą wartość od naszej. Michał Zwolak - prosty Chłop z Wólki Orłowskiej. Chociaż tą jedną wielką literą w wyrazie „Chłop” oddajmy mu szacunek.

Podróże kształcą nawet wśród swoich

Rzecz działa się w latach 80. na przystanku autobusowym w Wólce Orłowskiej. Ludzie nie mieli wtedy tak wielu samochodów jak dziś i byli w większości zdani na autobusy oferowane przez, szczątkowo dziś zachowaną, firmę PKS. Dosyć, że zebrała się duża grupa mieszkańców wsi, a to znak, że autobus niedługo nadjedzie. Trzeba przyznać, trzymano się dosyć ściśle rozkładu jazdy. Prawie zawsze brakowało miejsc. Oczekiwano więc z niepokojem i wzrastającym napięciem. Nie wiadomo, czy wsiądzie się do środka. Pojazd nie przyjeżdżał przecież pusty i kierowca zwykle mógł zabrać tyle, na ile miejsce mu pozwalało, ze stoją-

cymi gęsto na przejściu pasażerami włącznie. Gdy tylko samochód zatrzymał się i drzwi się otworzyły, oczekujący tłum zaczął szturmować wejście. Ścisk, postękiwanie, sapanie z wysiłku. Gdzie tam jaka kolejka, przepuszczanie słabszych, kobiet czy starszych! Chociaż wszyscy to przecież bliscy znajomi, sąsiedzi, kuzyni. Które nogi silniejsze, tego korpus bliżej drzwi, łokcie też nie od parady. Każdy chce wsiąść, niczym do szalupy na Tytaniku. W końcu drzwi zamknęto. Autobus odjechał, prawie wszyscy wsiedli. Tylko na ziemi leżał przewrócony, starszy już mężczyzna Celek Piłat.

Wszystko to obserwował z niesmakiem, idący poboczem Stanisław Janeczek. Podróż kształcą nawet takie krótkie jak z Wólki do Krasnegostawu, raptem 8 kilometrów. Celestyn Piłat przekonał się wśród jakich samych swoich żyje. I nie była to budująca nauka zarówno dla leżącego, jak idącego.

Podróż kształcą. Wśród obcych

Tak się słożyło, że bierny obserwator zajścia na wóleckim przystanku wyjechał za kilka miesięcy do Ameryki, jak to się mówiło, czyli do Stanów Zjednoczonych. Pojechał do obcego kraju pierwszy raz, nie znając języka, zwyczajów ani tamtejszej mentalności, z bagażem podkrasnostawskich doświadczeń. Pewnego razu szedł ulicą w mieście Monroe pod Nowym Jorkiem, gdy zaczął padać rzęsy deszcz. Nie miał parasola, więc schronił się pod wielkim drzewem przy czyjejś posesji. Po chwili, z nieopodal stojącego dużego domu, wyszedł mężczyzna i zaczął zachęcająco machać w kierunku Stanisława.

- Mister, kaman - usłyszał stojący pod drzewem. Amerykanin zmartwił się, że Polak zmoknie. Choć wtedy oczywiście nie mógł wiedzieć, że to Polak. Ale to nie miało znaczenia, komu chciał pomóc. Tak jak na Wólce nie miało znaczenia, kto oczekuje na autobus. Janek zaczął wyciągać swój samochód z garażu, aby podwieźć zaskoczonego deszczem mężczyznę bez parasola. Janeczek nie znał angielskiego. Z niedowierzaniem jednak zrozumiał, co tamten chce zrobić. Zaskoczenie jego było ogromne. Cieszył się tylko z możliwości przeczekania pod drzewem, ale jechać specjalnie w tym celu wyprowadzanym mustangiem?

„Oj, po co tyle się fatygować?” - jak Kaźmirz Kargul zdawał się myśleć Janeczek. A uparty był z niego chłop i do przejażdżki nie doszło. Taka uczynność i miłosierdzie nie mieściły się w jego polskiej i chrześcijańskiej głowie. Potem zawsze porównywał oba te zdarzenia, żalując bardzo pana Celestyna i wyrzekając na ziomków.

Chociaż jeden chciał jechać a nie mógł, drugi mógł a nie chciał, to Celestyn Piłat na Wólce i Stanisław Janeczek w Ameryce, jednakowo na tym wyszli. Obaj zostali na miejscu. Z taką tylko różnicą, że jeden z nich leżał.

Wszystko to jednak nie jest takie czarno-białe, ale zależy od okoliczności. A gdyby ów Amerykanin, dajmy na to, przyjechał swoim dodge'm czy cadillakiem na wólecki przystanek, wtedy gdy stał tam tłum w napięciu czekający na autobus, czy też zaryzykowałby wspaniałomyślnie, z uśmiechem i bez obawy o nienaruszalność drzwi swojej limuzyny: can I help You?

- A no, widzicie!

Czasy się zmieniają nie tylko dla ludzi

Krasnystaw dawniej nazywał się Szczekarzewem ale z psami nie miało to wiele wspólnego, choć takie jest pierwsze skojarzenie. Przed wojną i po niej walczono jednak z psami w dawnym Szczekarzewie i to dosłownie. Młodemu pokoleniu zapewne nie mieści się to dziś w głowie, jakie to były czasy. Zresztą nie dziwiono się wtedy, gdy Urząd Bezpieczeństwa zabijał ludzi na ulicy w biały dzień. Przed wojną był ktoś, kto zajmował się zawodowo wyłapywaniem psów, nazywano go hyclem, a bardziej urzędowo rakarzem. Po wojnie nazwa profesji się nie zmieniła. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych, rzecz jasna ubiegłego wieku, wyłapywaniem zajmował się pan Romaniuk. Miał na kiju coś jak pętlę, chwycił psa za szyję i zdobywcę wpuszczał do specjalnego kojca wożonego na furze. Czasem psocący chłopcy, gdy nikogo nie było w pobliżu, podbiegali, unosili kłapę i wypuszczali mu te zwierzęta, robiąc na złość. Następnie były one zawożone na posesję hycla, gdzieś na Lubańkach i tam zabijane. Potem wytapiał on z nich tłuszcz. Były to lata szalejącej gruźlicy, wtedy często śmiertelnej choroby, antybiotyki jeszcze

w Polsce nie były szeroko dostępne, sprowadzane z zagranicy kosztowały majątek. Rakarz sprzedawał ten tłuszcz chorym na tę chorobę, do smarowania ciała na piersiach i plecach. Niektórzy temu specyfikowi zawdzięczali być może życie. Gdy ktoś kupił działkę Romaniuka i chciał postawić na niej dom, w czasie wykopów pod fundamenty odkryto dużą ilość kości, właśnie tych schwytych w Krasnymstawie psów.

Krótko po nim, może nie było komu być hylem, a schronisk wtedy nie było, milicjant o nazwisku Leszczyński chodził z karabinem i strzelał do psów, takie miał zadanie. Nie tylko bezpańskich. Potrafił zastrzelić u kogoś na podwórku czyjegós czworonoga. Po niedługim czasie jego „działalności” obserwowano dziwną rzecz. Gdy milicjant szedł z karabinem i był już na krasnostawskim moście, choć nie było go ani widać, ani słychać, to wszystkie psy żyjące na Grobli, jakby na komendę rzuciły się ze strachem do Wieprza, tu gdzie dziś jest starorzecze, i przepływając rzekę, biegły ukryć się na łąkach. Wracały po kilku godzinach.

Prawie 70 lat później. Jest rok 2021. W Krasnymstawie jakiemuś wypadkowi uległ dość duży pies. Wypadek odebrał mu władzę w tylnych łapach. Zamierzano go uśpić, nie znajdując wyjścia z trudnej sytuacji. Ale gdy spojrział proszącym wzrokiem na wolontariuszy krasnostawskiej sekcji Straży Ochrony Zwierząt, tak ich zauroczył, że ci postanowili go ratować. Rozpoczęto zbiórkę pieniędzy na operację i pobyt w szpitalu, a potem w hotelu. Dorobiono mu wózek na dwóch kółkach, który doczepiono do tylnej części ciała. Bob, bo tak został nazwany, był tak wdzięczny za pomoc, że liżał swoich wybawicieli po rękach. Teraz chodzi na przednich łapach, a tylne jeżdżą na małym specjalnym wózku. „Nowy Tydzień” napisał w tytule: „Jeździ na kółkach, łapie za serce”. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis* chciałoby się powtórzyć za starożytnymi - *czasy się zmieniają i my zmieniamy się z nimi*. Na szczęście mogą powiedzieć to także nie tylko ludzie. Chociaż, jak wtedy mawiali *Homo homini lupus est - człowiek człowiekowi wilkiem*. Mówi się, że pies jest najwerniejszym przyjacielem człowieka. A kim człowiek jest dla psa? Człowiekiem. I tylko od niego zależy czy przez duże, czy małe „c”.

dr Leszek Janeczek

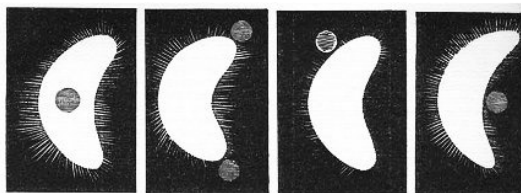
Wiesław Krajewski

Errare humanum est Część 2



Historia nauki pełna jest różnego rodzaju pomyłek, spektakularnych wpadek, zwykłych błędów, drobnych albo wręcz przeciwnie - piramidalnych potknięć, twierdzeń, które ostatecznie okazywały się niewypałem, przypadków, które niemal cudem ratowały reputację uczonych, albo na zawsze ją przekreślały. Przyjrzyjmy się niektórym z nich w dziedzinie astronomii.

Niezwykle ciekawie przedstawia się historia odkrycia księżycy Venus. Włoski astronom Francesco Fontana (ok. 1580-1656) 11 listopada 1645 r. wycelował swoją lunetę w Venus i ujrzał w centrum sierpa (Venus przybiera fazy jak nasz Księżyc, m.in. sierpa) „czerwoną plamę około 1/5 promienia”. Fontana znalazł ją na jednym z detali powierzchni. Kiedy ta „plama” wynurzyła się poza krawędź oświetlonej części Venus, uświadomił sobie, że tak poruszać się może tylko ciało niebieskie obiegające planetę, czyli księżyc.



Francesco Fontana (ok. 1580-1656) i jego obserwacje księżycy Venus.

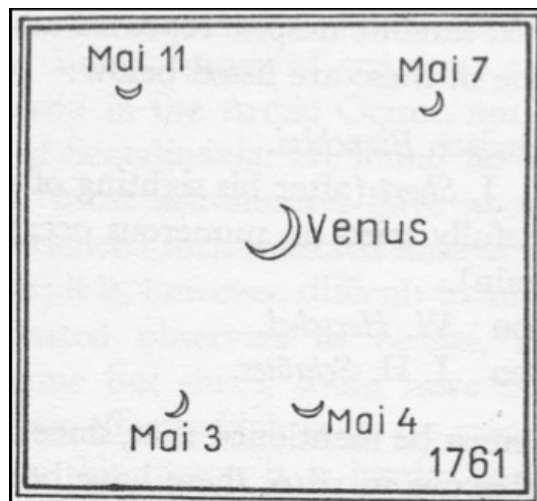
Okazuje się, że w roku 1672 słynny francuski astronom Giovanni Domenico Cassini również zauważył małego towarzysza w pobliżu Wenus. Cassini, będąc ostrożnym w obawie przed pomyłką, postanowił nie ogłaszać swoich obserwacji, ale 14 lat później, kiedy w 1686 r. zobaczył obiekt ponownie, złożył formalne ogłoszenie o możliwym księżycu Wenus: *18 sierpnia 1686 r., obserwując Wenus o 4.15 rano, zauważyłem na wschód od niej, w odległości 3/5 średnicy planety, jasny obiekt o niewyraźnych konturach. Wydawało się, że jest prawie w tej samej fazie, co Wenus, znajdująca się na zachód od Słońca. Średnica obiektu była równa prawie 1/4 średnicy planety. Uważnie go obserwowałem przez 15 minut. Takż sam obiekt widziałem 25 stycznia 1672 roku, w godzinach 06.52 - 07.02, po czym znikł on w promieniach zorzy. Wenus była w kształcie sierpa i obiekt miał taki sam kształt. Podejrzałem, że miałem do czynienia z księżycem niezbyt dobrze odbijającym słoneczne światło, znajdującym się w tej samej odległości od Słońca i Ziemi co Wenus, i powtarzającym jej fazy.*

Później, 23 października 1740 r. satelitę zaobserwował angielski konstruktor przyrządów optycznych James Short. W swoim dzienniku obserwacyjnym zanotował: *Po skierowaniu teleskopu na Wenus zauważyłem przy nim małą gwiazdkę. Potem wziąłem inny teleskop o powiększeniu 50-60 razy większym. Po upewnieniu się, że Wenus jest bardzo wyraźnie widoczna, a co za tym, że powietrze jest bardzo przeźroczyste, powiększyłem ją o 240 razy i ku mojemu wielkiemu zdumieniu zobaczyłem, że „gwiazda” ma tę samą fazę co Wenus. Jej średnica była w przybliżeniu 1/3 Wenus lub nieco mniejsza; nie świeciła tak jasno, ale kontury były bardzo wyraźne i odróżniały się. Linia łącząca środek Wenus i omawianego obiektu tworzyły z jej równikiem kąt rzędu 18-20 stopni. Tego ranka obserwowałem obiekt kilka razy przez godzinę, ale zbliżał się dzień i mniej więcej kwadrans po ósmej zniknął. Od tego czasu próbowałem go zobaczyć każdego poranka, ale nigdy więcej nie miałem tyle szczęścia.*

Później obiekt widzieli także inni astronomowie - Niemiec Andreas Mayer w 1759 r., Włoch J. L. Lagrange w 1761 r. Lagrange ogłosił, że płaszczyzna orbity satelity jest prostopadła do ekliptyki. W 1761 roku obiekt był oglądany 18 razy

przez pięciu obserwatorów. Obserwacje Abrahama Scheutena 6 czerwca 1761 r. były szczególnie interesujące. Widział Wenus przechodzącą przed tarczą Słońca, której towarzyszyła mniejsza ciemna plama po jednej stronie, która podążała za Wenus podczas jej tranzytu.

Obserwacje budziły jednak wątpliwości. Wielu astronomom nie udało się dostrzec księżycy Wenus. Astronom francuski Jacques Montaigne specjalnie obserwował niebo, by znaleźć satelitę Wenus, podejmując wszelkie środki ostrożności przed złudzeniami optycznymi. Najpierw zobaczył go 3 maja 1761 roku. Tak jak wcześniej, fazy satelity i planety były zgodne. 4, 7 i 11 maja (inne noce były pochmurne) Montaigne znów zaobserwował satelitę. Jego położenie w stosunku do Wenus zmieniało się, zaś faza zawsze była zgodna.



Obserwacje Montaigne'a z 3, 4, 7 i 11 maja 1761 roku.

Montaigne, odnosząc się dotąd dość sceptycznie do istnienia księżycy Wenus uwierzył w jego realność. Wkrótce do Akademii Nauk w Paryżu przedłożony został memoriał z wnioskiem o uznanie odkrycia satelity Wenus. Znalazły się w nim między innymi takie oto słowa: *Rok 1761 będzie się wyróżniał w historii astronomii tym, że 3 maja został odkryty satelita okrążający Wenus. Odkrycie to zawdzięczamy Montaigne'owi z Limoges. [...] Wiadomo, że to nowe ciało niebieskie ma średnicę równą 1/4 średnicy planety i że jest oddalone od niej prawie tak samo, jak Księżyc od Ziemi.*

Jego okres obiegu wynosi 9 dni i 7 godzin. Johann Heinrich Lambert z Niemiec obliczył dokładniej elementy orbity satelity i zamieścił je w „Berliner Astronomischer Jahrbuch 1777”: średnia odległość od planety - 66,5 promienia Wenus, okres obiegu - 11 dni 3 godziny, nachylenie do ekliptyki - 64 stopnie. Popenił jednak błąd w swych obliczeniach, ów satelita nie mógłby okrążyć Wenus w tak krótkim czasie.

Dopiero w XIX wieku bezimienny dotąd satelita Wenus otrzymał nazwę. Belgijski astronom Jean Charles Houzeau był dyrektorem Królewskiego Obserwatorium w Brukseli, w 1878 roku nazwał go na cześć Neith - staroegipskiej bogini polowania i wojny. Brytyjski admirał i astronom William Henry Smyth, wyraził pogląd, że najprawdopodobniej chodzi tu o niewielki obiekt i przypuszczalnie jego powierzchnia bardzo źle odbija światło słoneczne. Świeci bardzo słabo i w związku z tym niepodobna go dostrzec nawet przez większe lunety. Stąd częste niepowodzenia w jego obserwacjach.

Belgijska Akademia Nauk opublikowała w 1887 roku artykuł, w którym badano każdą zgłoszoną obserwację Neith. Ustalono, że większość obserwacji można wytłumaczyć gwiazdami, które znajdowały się w pobliżu Wenus lub były to iluzje optyczne wskutek odbić wewnątrz optyki poszczególnych konstrukcji teleskopów. Obiekt ten nie istnieje. Wenus nie ma księżycy.

A Merkury? Odkrycie i obserwacja ewentualnego księżycy Merkurego za pomocą teleskopu byłaby chyba praktycznie niemożliwa. Merkury jest małą planetą, dużo bliższą Słońcu (dalej od Ziemi), widać go tylko na jasnym jeszcze niebie tuż przed wschodem lub niedługo po zachodzie Słońca, jego księżyc byłby jeszcze mniejszy i słabiej widoczny. Nie, nie można by go zobaczyć przez teleskop. Można za to wysłać tam statek kosmiczny. To też nie było łatwe. Pierwszym pojazdem zbudowanym przez człowieka, który dotarł w okolice Merkurego był Mariner 10. Było to w marcu 1974 roku. Następnym - sonda Messenger, która zbliżyła się do planety dopiero w roku 2008. Podczas tej pierwszej wyprawy, 27 marca 1974 r., jeden z instrumentów Mariner 10 zaczął rejestrować jasne emisje światła w skrajnym promieniowaniu UV, które nie powinny tam być. Za trzy dni pojawiły się ponownie i „obiekt” ten zdawał się odrywać od Merkurego.

Zanosilo się na sensację. Na szczęście niedoszły księżyc ostatecznie został szybko zidentyfikowany jako gorąca gwiazda o oznaczeniu 31 Crt.

Księżyce innych planet także sprawiały kłopoty. W kwietniu 1861 r. Hermann Goldschmidt, astronom niemiecki, m.in. odkrywca kilkunastu planetoid, ogłosił odkrycie dziewiątego księżycy Saturna, który, jak powiedział, krążył między dwoma innymi - Tytanem a Hyperionem. Nadał mu nawet nazwę Chiron. Wspaniale, jednak... odkrycie Goldschmidta nigdy nie zostało potwierdzone, a Chirona nigdy więcej nie widziano.

W 1898 roku William Henry Pickering odkrył księżyc Phoebe, który jest obecnie uważany za dziewiąty w kolejności odkrycia księżyc Saturna. Kilka lat później, 28 kwietnia 1905 r. Pickering ogłosił odkrycie dziesiątego satelity Saturna, którego natychmiast nazwał Themis. Jednak żaden inny astronom nigdy nie potwierdził odkrycia Pickeringa. Themida również nigdy więcej nie została zauważona. Jednak zaskakujące jest, że jeszcze do lat 60. XX wieku, jak gdyby nigdy nic, księżyc ten wymieniany był w licznych almanachach i książkach astronomicznych. A sam Pickering otrzymał Nagrodę Lalande w 1906 roku za „odkrycie dziewiątego i dziesiątego satelity Saturna”. Nagrodę tę nadaje do dziś Francuska Akademia Nauk za najlepsze prace o tematyce astronomicznej. Rzeczywistym dziesiątym satelitą Saturna jest Janus, który został odkryty w 1966 r. i potwierdzony w 1980 r. Jego orbita jest daleka od przypuszczalnej orbity Themidy.

Okazuje się, że nawet w sąsiedztwie Ziemi pewne odkrycia mogą okazać się niewypałem. Frédéric Petit (1810-1865) był francuskim astronomem, pierwszym dyrektorem obserwatorium w Tuluzie. W 1846 r. ogłosił, że odkrył... drugi księżyc Ziemi. Także dwaj inni obserwatorzy, Lebon i Dassier, widzieli go w Tuluzie, a trzeci Lariviere w Artenac wczesnym wieczorem 21 marca 1846 r. Petit stwierdził, że orbita księżycy jest mocno eliptyczna: okres obiegu wokół Ziemi wynosi zaledwie 2 godziny, 44 minuty i 59 sekund; najdalej znajduje się w odległości 3 570 kilometrów, a najbliżej - zaledwie 11,4 km. Odkrycie to spopularyzował François Arago, francuski astronom, dyrektor obserwatorium paryskiego, w „Astronomie populaire” oraz Amédée Guillemin, dziennikarz w „La Lune”. Rewelacje te zostały odrzucone już przez wielu

jemu współczesnych astronomów, chociaż koncepcja drugiego, mniejszego satelity Ziemi została wykorzystana przez Juliusza Verne'a w jego powieści „Wokół Księżyca”:

- *Zatem Ziemia ma dwa księżyce, tak jak Neptun?*

- *Tak, mój przyjacielu, dwa księżyce, chociaż na ogół sady się, że posiada tylko jeden. Jednakże ten drugi księżyc jest tak mały, a jego szybkość tak wielka, że mieszkańcy Ziemi nie są w stanie go dostrzec. Na podstawie pewnych perturbacji w biegu Księżyca francuski astronom, pan Petit, zdołał określić istnienie tego drugiego satelity i obliczył jego elementy. Według jego obserwacji ów bolid dokonuje obiegu dookoła Ziemi w trzy godziny i dwadzieścia minut, co sugeruje wręcz niewiarygodną prędkość¹.*



Frédéric Petit (1810-1865) i doniesienie o drugim księżycu Ziemi.

Drugi księżyc Ziemi to jeszcze nie ostatnie słowo astronomów. W 1898 r. naukowiec z Hamburga dr Georg Wilhelm Waltemath (1840-1915) ogłosił, że zlokalizował system małych księżyców krążących wokół Ziemi. Rozpoczął poszukiwania księżyców wtórnych w oparciu o hipotezę, że coś grawitacyjnie oddziałuje na orbitę Księżyca. Waltemath opisał, że jeden z księżyców obiega Ziemię w odległości 1 030 000 km (to prawie 3 razy

dalej niż Księżyc) i ma średnicę 700 km (5 razy mniej niż Księżyc), zaś okres obiegu trwa 119 dni. Odkrywca twierdził także, że księżyc nie odbija wystarczającej ilości światła słonecznego, aby można go było obserwować bez teleskopu, chyba że oglądany w określonych porach, i dokonał kilku prognoz jego następnego pojawienia się. „Czasami świeci w nocy jak słońce, ale tylko przez około godzinę”. Przewidywał, że będzie widoczny między 2 a 4 lutego 1898 r. I rzeczywiście - dwunastu obserwatorów potwierdziło, że widziało go w tym czasie. Waltemath twierdził również, że księżyc został wcześniej zaobserwowany przez Adolfa Greely'ego na Grenlandii 24 października 1881 r. oraz przez malarza i przyjaciela C. Wallera w Monachium 16 lutego 1897 r. Całkiem dużo tych „obserwacji”.



Później naukowiec ten twierdził, że Ziemia ma jeszcze inny - trzeci księżyc. Według wzmianki w czasopiśmie naukowym „Science”, jest oddalony 427 250 km od Ziemi, bliżej niż poprzedni „jego” księżyc i ma 746 km średnicy. Ponieważ twierdzenie Waltematha o drugim księżycu było ogólnie uważane za fałszywe, rewelacje o trzecim były w większości wyśmiewane. W tym samym artykule w „Science” stwierdzono, że „być może jest to także Księżyc, który rządzi obłędem”.

W 1918 roku astrolog Walter Gornold, znany również jako Sepharial, ogłosił, że potwierdził istnienie księżycy Waltematha. Nazwał go Lilith - od średniowiecznej żydowskiej legendy, w której jest opisywana jako pierwsza żona Adama. Sepharial twierdził, że Lilith przez większość czasu był „ciemnym”, niewidzialnym księżycem, ale utrzymywał, że widział go, gdy ten przemieszczał się przed tarczą Słońca, czyli wtedy, gdy doszło do tzw. tranzytu. Jednak takiego księżycy po prostu nie ma.

No cóż - *errare humanum est*.

¹ J. Verne, *Wokół Księżyca*, Wydawnictwo JAMAKASZ, 2017, s. 32.

Zaproszenie do współpracy

W 2022 roku pod auspicjami Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie planowane jest wydanie **Krasnostawskiego słownika biograficznego**.

Na przestrzeni wieków dzieje „Małej Ojczyzny”, takiej jak powiat krasnostawski - ziemia krasnostawska tworzyły tysiące osób. Wśród nich byli tacy, którzy na trwałe wpisali się w historię regionu czy Polski. Wielu z nich znajdziemy w słownikach tematycznych czy encyklopediach. Jest też liczna grupa osób zapomnianych lub wręcz nieznanych, anonimowych i w żaden sposób niefunkcjonujących w przestrzeni publicznej. Dostrzegając potrzebę - zebrania, napisania od podstaw czy też opracowania na nowo rozproszonych biografów krasnostawian w jednym miejscu, przystępujemy do pracy nad **Krasnostawskim słownikiem biograficznym**. Do współpracy zapraszamy wszystkich, którym bliska jest nie tylko biografistyka regionalna czy historia regionu, ale i potrzeba zachowania w pamięci tych, których nie ma już z nami. Stwórzmy wspólnie **Krasnostawski słownik biograficzny**. Pod względem zakresu chronologicznego cezurę wyjściową dla Słownika umownie wyznaczać będzie lokacja Krasnegostawu. Z kolei granica końcowa nie jest określona na sztywno, tworzy ją współczesność zmieniająca się każdego dnia. Ramy terytorialne wyznacza natomiast obszar powiatu krasnostawskiego w historycznych granicach, a konkretnie po reformie z II poł XIX w., czyli miasto Krasnostaw i gminy: Czajki (Kraśniczyn), Fajstawice, Gorzków, Izbica, Krasnostaw, Łopiennik, Rudka (Siennica Różana), Rudnik, Rybczewice, Turobin, Wysokie, Zakrzew, Żółkiewka.

Biogramy składające się na Słownik muszą spełniać następujące warunki:

- bezwzględnie dotyczą osób zmarłych,
- urodzonych na terenie powiatu w ww. granicach i tutaj działających,
- urodzonych na terenie powiatu w ww. granicach, ale działających poza nim,
- nieurodzonych na ww. terenie, ale na jego terenie działających.

Interesują nas postacie realne, historyczne, a nie mityczne. Nie ma złych, negatywnych bohaterów, dlatego też nie oceniamy, nie wartościujemy, a przedstawiamy fakty. W przypadku osób o bogatych życiorysach, skupiamy się przede wszystkim na wątkach lokalnych, uzasadniających obecność w Słowniku. Zależy nam na szerokiej reprezentatywności biografów, zarówno co do epok historycznych, gmin wchodzących w skład powiatu, jak innych kategorii: społeczno-zawodowych, etnicznych czy religijnych. Słownik stworzony będzie w tzw. układzie holenderskim (czyli od A do Z) i z założenia jako opracowanie wielotomowe. Oczywiście jest, że nie wszystkie postacie, a tych planujemy ok. 180, znajdują się w I tomie, dlatego też będą powstawały kolejne tomy.

Wszelkich niezbędnych w tym zakresie informacji udzielają redaktorzy publikacji - **Artur Borzęcki** (tel. 692-235-251) i **Sławomir Franc** (tel. 697-718-397) lub za pośrednictwem poczty e-mail: ksp24pl@gmail.com.



rys. Urszula Gierszon

Zmarł redaktor dr Kazimierz Stolecki



Kazimierz Józef Stolecki urodził się 19 marca 1948 r. w Krasnymstawie. Jego ojciec pracował w inspektoracie PZU, matka nie pracowała zawodowo. Miał siostrę Marię, żonę Marię, czworo dzieci i wnuki.

W rodzinnym mieście ukończył Szkołę Podstawową nr 1 im. Adama Mickiewicza (1962) i Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Jagiełły (1966), natomiast studia - na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej w roku 1971, z tytułem magistra inżyniera w specjalności technologia chemiczna nieorganiczna. Przewód doktorski „Badania procesu uwodornienia benzeny” przeprowadził w Instytucie Nawozów Sztucznych i Zakładzie Technologii Chemicznej Wydziału Chemii UMCS pod kierunkiem prof. dr. hab. Tadeusza Borowieckiego, Puławy-Lublin 2006. Uroczysta promocja doktoratu nastąpiła 26 czerwca 2007 r.

W latach 1971-2014 pracował w Instytucie Nawozów Sztucznych w Puławach, początkowo w dziale dokumentacji naukowo-technicznej, a następnie w Zakładzie Katalizatorów, jako adiunkt i kierownik Pracowni Badań Kinetycznych. Brał udział w opracowaniu metodyki i aparatury do badań aktywności i selektywności katalizatorów w trudnych warunkach przebiegu procesów przemysłowych (ciśnienia 1-300 atm, temperatury 120-800°C). Współdziałał w opracowaniu kilkunastu technologii wytwarzania katalizatorów.

Dorobek zawodowy Kazimierza Stoleckiego obejmuje publikację ponad 70 artykułów naukowych w czasopismach krajowych i zagranicznych (w tym 30 opublikowanych w czasopismach z tzw. Listy Filadelfijskiej). Ponadto w dorobku ma 19 patentów, 2 wzory użytkowe oraz ponad 170 wystą-

pień na konferencjach krajowych i międzynarodowych, a także współudział w kilkunastu grantach i wdrożeniach prac badawczo-rozwojowych.

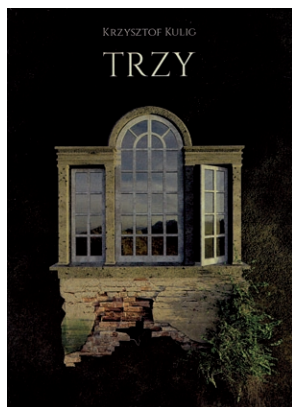
Od dawna interesował się genealogią rodzinną i historią Krasnegostawu. W związku z tym utworzył stronę internetową o tematyce historycznej. Na jej podstawie opracował pierwszą monografię miasta, a następnie wydał ją własnym staraniem w formie książkowej pod tytułem „Krasnystaw. Rys historyczny”. Książka doczekała się czterech edycji (ostatnio w 2018 r.). Kazimierz Stolecki nieustannie uzupełniał ją, dzięki czemu od pierwszego wydania kilkakrotnie zwiększyła swoją objętość. O wartości opracowania świadczy fakt, że do tej pory podobnego zadania nie podjęli się nawet zawodowi humaniści, ani instytucje, w których zakresie mogłoby się ono znaleźć.

Kazimierz Stolecki za oddanie sprawom naszego miasta odznaczony został w 2009 roku przez redakcję Czasopisma artystycznego „Nestor” - Orderem Nestorii. Od tamtej chwili do ostatnich dni nieprzerwanie współpracował z krasnostawskim czasopismem oraz od 2013 roku z siennickim „Ziarnem”. W 2017 roku otrzymał dyplom „Strażnika Kultury” oraz zaszczytne Honorowe Obywatelstwo Miasta Krasnegostawu.

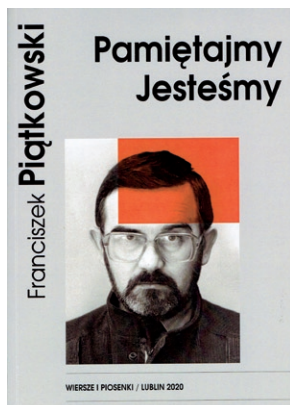
Dr Kazimierz Stolecki zmarł 29 września 2021 roku. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 4 października w kościele parafialnym pw. św. Brata Alberta w Puławach. Żegnali go przyjaciele, sąsiedzi i rodzina. Pod koniec mszy świętej wysłuchali ciepłych słów Marii Stoleckiej, małżonki Kazimierza, która opowiedziała o wzajemnych relacjach, upodobaniach i codzienności. Nie zabrakło delegacji z Krasnegostawu. Wieniec w imieniu mieszkańców rodzinnego miasta osobiście złożył burmistrz Krasnegostawu Robert Kościuk, natomiast wieniec w imieniu zespołu redakcyjnego Czasopisma artystycznego „Nestor” Tadeusz Kiciński i Andrzej Misiura.

Krasnostawską społeczność spotkała niepowetowana strata. Trudno nam będzie w zespole redakcyjnym zastąpić Kazimierza z jego doświadczeniem, wiedzą i kulturą. Żegnaj, Kolego!

*Zespół redakcyjny
Czasopisma artystycznego „Nestor”*



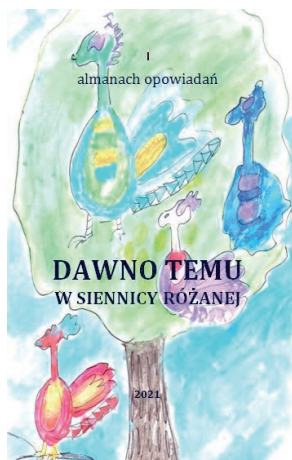
Krzysztof Kulig, „Trzy”,
Radawczyk Kolonia Pierwsza 2021,
ss. 178.



Franciszek Piątkowski, „Pamiętajmy
Jesteśmy”, wiersze i piosenki,
AKAPIT, Lublin 2020, ss. 120.



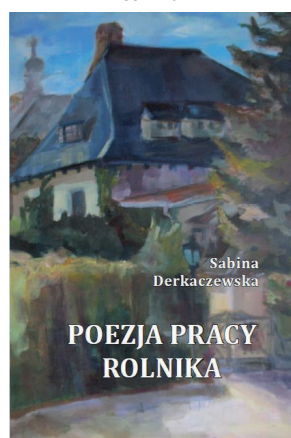
Janina Grzesiak, „Pieśni serca”,
wiersze, ELIPSA, Krasnystaw 2021,
ss. 120.



„Dawno temu w Siennicy Różanej”,
almanach opowiadań, CK, Siennica
Różana 2021, ss. 36.



Wojciech Bielun (Targosz),
„Wiersze z Bończy”, wiersze,
ASTRUM, Wrocław 2021, ss. 149.



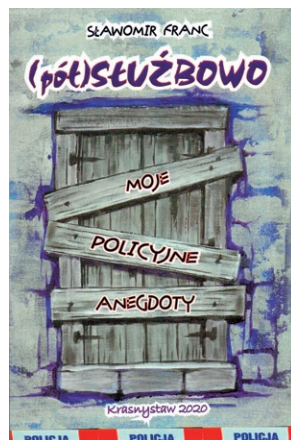
Sabina Derkaczewska, „Poezja pracy
rolnika”, CK, Siennica Różana 2021,
ss. 112.



Ewa Klajman-Gomolińska
„Śsie. Tom 2”, Rideró,
Olsztyn 2021, ss. 48.



Wanda Jadwiga Włoch, „Świetlistą
nitką utkana”, wiersze, CK, Siennica
Różana 2021, ss. 76.



Sławomir Franc, „(pół)SŁÓŻBOWO.
Moje policyjne anegdoty”, Krasnystaw
2020, ss. 211.



Jeżeli jesteś osobą z niepełnosprawnością,
członkiem jej rodziny lub osobą bliską
a w związku z pandemią COVID-19 znajdujesz
się w trudnym położeniu życiowym
i potrzebujesz wsparcia psychologicznego

kontakt@fundacjazew.pl



**ZADZWOŃ POD NUMER 515 286 157 I UMÓW SIĘ
NA BEZPŁATNE SPOTKANIE ON-LINE Z JEDNYM
Z NASZYCH DOŚWIADCZONYCH PSYCHOLOGÓW.**

Depresja, uzależnienia, trudności z opieką nad dzieckiem z niepełnosprawnością, wyczerpanie psychiczne i lęk o przyszłość - to dzisiaj doświadczenie wielu osób. Samotność często wzmacnia te problemy i odbiera nadzieję na zmiany. Nie zawsze wystarcza wsparcie przyjaciół, czasami wydaje się, że ich w takich sytuacjach brakuje. Nie wahaj się i zwróć się po pomoc.

PROJEKT TRWA DO KOŃCA GRUDNIA 2021, LICZBA MIEJSC OGRANICZONA



Państwowy Fundusz
Rehabilitacji Osób
Niepełnosprawnych

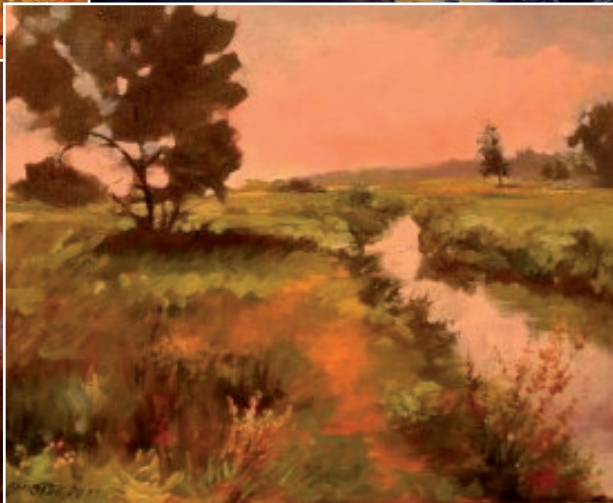
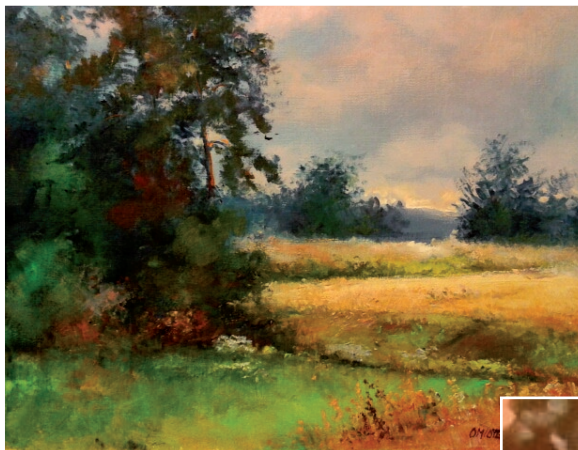


Zadanie jest finansowane przez Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych a realizowane przez Fundację ZEW zgodnie z umową o realizację zadania publicznego nr ZZO/000273/03/D.

www.fundacjazew.pl



Antoni Omiotek (1958) - pochodzi z Bilgoraja, mieszka w Mokrem koło Zamościa. Z wykształcenia technik mechanik. Pracował jako: mechanik, kierowca, zaopatrzeniowiec, referent, kierownik hotelu, technik kryminalistyki. Przygodę z malarstwem rozpoczął podczas służby wojskowej w 1981 r. Próbował pracować w różnych technikach, ale pozostał przy malarstwie olejnym, które stało się odskocznią i przyniosło odprężenie. Brał udział w dziesiątkach plenerów malarskich, a prace prezentował na wielu wystawach zbiorowych oraz indywidualnych. Obrazy trafiły m.in. do zbiorów prywatnych w Kanadzie, Niemczech, Włoszech, Węgrzech, USA oraz publikowane były w albumie „Pasje”, „Encyklopedii Policji” i „Zamojskim Kwartalniku Kulturalnym”. Należał do Stowarzyszenia Plastyków Nieprofesjonalnych Wojsk Lotniczych „Dedał” w Poznaniu, Związku Artystów Plastyków w Pile, Podkarpackiego Oddziału Stowarzyszenia Marynistów Polskich w Rzeszowie, Stowarzyszenia Twórców i Sympatyków Kultury przy KWP w Poznaniu.





mal. Antoni Omiotek